PRESSJE

NUMER 1/2019

CZASOPISMO ELEKTRONICZNE KLUBU JAGIELLOŃSKIEGO

Niech żyje Polska Ludowa!

BARSZCZ — HUBER — KASZCZYSZYN — TRUDNOWSKI
KĘDZIERSKI — MAZUR — PILAWA — WÓJCIK — JAZDON

WWW.KLUBJAGIELLONSKI.PL

PRESSJE

1/2019

Bez patosu

Stanisław Ostrowski

Zawiesiwszy na wierzbach niepotrzebne lutnie.

Dłonie na kolby kładąc, chcemy śpiewać czyny.

Jak pod Kockiem, Warszawą, Westerplatte, Kutnem –

Niech nie z słów, lecz z krwi naszej wzrastają wawrzyny.

Dość mitów o ojczyźnie – Rzeczą Pospolitą

Ma być, a nie monstrancją wzniesioną do nieba.

I nie krzyżem z narodem jak Chrystus przybitym,

Ale chlebem powszednim dla zjadaczy chleba.

Krew cudza i krew nasza niech płynie jak słowa

I niech kule śpiewają – dźwięczniejsze od pieśni!

Bo walka to już prawie wolności połowa –

Nawet walka bez jutra, jak wtedy, we wrześniu.

Ci, co zginęli i my, co jeszcze zginiemy,

Bez patosu, w tę polską noc od grozy parną –

(Żadni bohaterowie – przechodnie) – idziemy,

Wiedząc, że trzeba i – że nie na darmo.

Wiosna 1944 r.

REDAKCJA

Agnieszka Barszcz
Jakub Brola
Bartosz Brzyski
Daria Chibner
Piotr Kaszczyszyn
(współredaktor naczelny)
Filip Leśniewicz
Konstanty Pilawa
(współredaktor naczelny)
Michał Rzeczycki
(szef warszawskiego kolegium)
Błażej Skrzypulec
Kamil Wons
Jan Woźniak

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Gawlikowski
Marcin Kędzierski
Krzysztof Mazur
Paweł Musiałek
Piotr Popiołek
Mateusz Tondera
Piotr Trudnowski
Bartosz Wójcik

ZAŁOŻYCIELE PISMA

Jadwiga Emilewicz
Arkady Rzegocki

KOREKTA

Jakub Brola
Magdalena Kędzierska-Zaporowska

SKŁAD I ŁAMANIE

Rafał Gawlikowski

PROJEKT OKŁADKI

Rafał Gawlikowski

WYDAWCA

Klub Jagielloński

KONTAKT

Pałac Spiski
Rynek Główny 34, 30-013 Kraków
tel. 124290273
pressje@klubjagiellonski.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Spis treści

PRESSJA REDAKCJI

W polskiej historii kryje się opowieść o naszej własnej, samodzielnej nowoczesności. Innej niż ta wbita kolbami radzieckich karabinów do polskich zacofanych łbów, wydrukowana w kserokopiarce bądź importowana z Zachodu lub Wschodu. To opowieść o alternatywnej Polsce Ludowej, której wyroki Historii nie pozwoliły na zaistnienie. Polska nowoczesność była możliwa.

11 Piotr Kaszczyszyn
NASZA WŁASNA POLSKA NOWOCZESNOŚĆ

NIECH ŻYJE POLSKA LUDOWA!

Jak w praktyce mogłaby wyglądać nasza alternatywna, samodzielna nowoczesność? Czy „III Rzeczpospolita bez Jałty" byłaby polskim odpowiednikiem zachodniego „państwa dobrobytu"? Przedstawiamy polityczny oraz społeczno-gospodarczy projekt Polski Ludowej i publikujemy swoisty dokument programowy naszej własnej polskiej nowoczesności.

19 Bartosz Wójcik
SPOŁECZNE OBLICZE POLSKI WALCZĄCEJ

26 Rada Jedności Narodowej
O CO WALCZY NARÓD POLSKI?

32 Piotr Trudnowski
MAZOWIECKI I OLSZEWSKI. PREMIERZY Z POLSKI LUDOWEJ

39 Grzegorz Jazdon
ZAPOMNIANA „RZECZPOSPOLITA WIELKOPOLSKA"

TEKA ROWIŃSKIEGO

Na warsztat wzięliśmy książkę *Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych*. Praca Tomasza Rowińskiego była dla nas okazją do krytycznego pochylenia się nad tożsamościową koncepcją „Polaka-katolika".

52 Konstanty Pilawa
SZKODLIWY PROJEKT „POLAKA-KATOLIKA”

58 Agnieszka Barszcz
OD MESJANIZMU NIE DA SIĘ UCIEC

63 Ze Steffenem Huberem rozmawia Konstanty Pilawa
METAFIZYCZNA OTCHŁAŃ POLSKIEJ POLITYKI

SPÓR O III RP

Patrzymy na Okrągły Stół niczym na kłótnie rozwiedzionych rodziców. Na końcu każą nam wybierać: Michnik czy Kaczyński? Nas ten wybór już nudzi, bo Polska i stojące przed nią wyzwania już od dawna są poważniejsze niż rozstrzyganie personalnego sporu elit, które walczyły 30 lat temu o polityczną władzę w rodzącym się państwie. Dzisiaj nie ma już sensu spierać się o Okrągły Stół.

71 Krzysztof Mazur
OKRĄGŁY STÓŁ TO SYMBOL WASZEJ ZŁEJ POLITYKI

CYWILIZACYJNE WYZWANIE NA XXI WIEK

Jest takie wyzwanie, z którym stykamy się na co dzień, ale i tak pozostaje dla nas niewidzialne. Tymczasem może to być jedno z kluczowych politycznych zadań XXI wieku. Tym wyzwaniem jest konieczność wypracowania solidarności międzypokoleniowej w ramach naszej politycznej wspólnoty.

83 Marcin Kędzierski
SOLIDARNOŚĆ MIĘDZY POKOLENIAMI

Pressja redakcji

W polskiej historii kryje się opowieść o naszej własnej, samodzielnej nowoczesności. Innej niż ta wbita kolbami radzieckich karabinów do polskich zacofanych łbów, wydrukowana w kserokopiarce bądź importowana z Zachodu lub Wschodu. To opowieść o alternatywnej Polsce Ludowej, której wyroki Historii nie pozwoliły na zaistnienie. Polska nowoczesność była możliwa.

Nasza własna polska nowoczesność

Piotr Kaszczyszyn

Jest taka opowieść o polskiej historii XX wieku, która nie pozostawia nadziei ani złudzeń. Opowieść o tym, że potrzeba było dopiero kolb radzieckich karabinów, aby wbić wreszcie Polakom nowoczesność do ich zacofanych łbów. Opowieść o tym, że jedyna dostępna nam nad Wisłą modernizacja to ta z kserokopiarki, importowana ze Wschodu lub Zachodu, zawsze w nieznośnej skali 1:1. Na szczęście to wszystko nieprawda.

Pierwsze zdania *Prześnionej rewolucji. Ćwiczenia z logiki historycznej*, głośnej książki Andrzeja Ledera, jak w soczewce skupiają argumentację obecną w całym eseju: „W Polsce w latach 1939-1956 dokonała się rewolucja społeczna. Okrutna, brutalna, narzucona z zewnątrz, ale jednak rewolucja". Dalsza część pracy, płynnie łącząca psychoanalizę z historią społeczną i gospodarczą, jest już jednym wielkim przypisem, poszerzoną artykulacją i głębszym uzasadnieniem wyjściowych założeń. Bez narzuconej obcymi rękoma rewolucji na zawsze zostalibyśmy uwięzieni w chłopskich czworakach i „przedłużonym średniowieczu".

Zagłada Żydów, która umożliwiła etnicznym Polakom zajęcie ich miejsca w strukturze społeczno-zawodowej; komunistyczna reforma rolna, eliminująca ostatecznie klasę ziemiańską; forsowna industrializacja, która pociągnęła za sobą masowe migracje ze wsi do miast i stworzyła warunki do przyspieszonej urbanizacji kraju – to wszystko tylko elementy składowe wielkiej rewolucji społecznej przeprowadzonej rękoma niemieckich okupantów i podporządkowanych Sowietom polskich komunistów. Dla Ledera ta rewolucja jest synonimem wejścia Polski do nowoczesności. Wejścia, a może raczej wepchnięcia, biorąc pod uwagę gwałtowną przemoc towarzyszącą latom 1939-1956.

Z brutalną faktografią trudno dyskutować. Najważniejszy w *Prześnionej rewolucji* nie jest jednak wcale opis historycznych wydarzeń, lecz to, co Andrzej Leder „prześnił" i to, co w książce pominął.

SKAZANI NA KSEROKOPIARKĘ?

Przedstawiając historyczne okoliczności i poddając opisywaną rewolucję społeczną psychoanalitycznej interpretacji, autor wytworzył poczucie bezalternatywności. Tak jakby ta nowoczesność, która się nam przydarzyła w połowie XX wieku, była jedyną dostępną, jedyną, która w porządku polskich dziejów mogła się wydarzyć. Tyle że to nieprawda.

Leder w *Prześnionej rewolucji* pominął jeden fundamentalny kontekst. Komunistyczny etap zrekonstruowanej przez niego rewolucji społecznej był – podobnie jak transformacja ustrojowa z lat 90. – przykładem kseromodernizacji. I tak jak w przypadku III Rzeczpospolitej typ idealny znajdował się na Zachodzie, tak w latach 40. kopiowaliśmy ordynarnie z modelu stalinowskiego.

Różnica dotyczyła okoliczności. Plan Balcerowicza był wyrazem politycznej woli elit niepodległego państwa, a wyrzucanie dziedziców z dworów i realizacja założeń „sześciolatki" wynikały z pełnego podporządkowania Polskiej Partii Robotniczej (PPR) centrali politycznej w Moskwie. Nie zmienia to jednak zasadniczego faktu: w 1944 i 1989 roku w Polsce rozpoczęły się projekty kseromodernizacji.

Czy istniała alternatywa dla nowoczesności z radzieckiej kserokopiarki? Czy mogliśmy wyjść z „przedłużonego średniowiecza" o własnych siłach, własnym pomysłem i bez importowania gotowych rozwiązań z zewnątrz? Jak najbardziej. Tylko tę możliwość Andrzej Leder „prześnił".

ALTERNATYWNY PROJEKT POLSKI LUDOWEJ

Michał Pospiszyl w książce *Zatrzymać historię. Walter Benjamin i mniejszościowy materializm* stwierdził, że celem pracy z przeszłością, tzw. użytkowania historii, jest poszukiwanie w niej „nigdy nie zrealizowanych potencjalności", „egalitarnych marzeń" i „zapomnianych rewolucji". Konsekwencją tak rozumianego wysiłku intelektualnego może być konstruowanie historii alternatywnych – opowieści o tym, jak mogły potoczyć się dzieje „gdyby". Nie jest to jednak beztroskie fantazjowanie, lecz poszukiwanie w naszej przeszłości takich niezrealizowanych scenariuszy na lepszą Polskę, które mają konkretne osadzenie w historii politycznej, gospodarczej czy społecznej. Chodzi o budowę alternatywnej wyobraźni historycznej, innej opowieści o naszej trudnej historii.

Taką alternatywną narracją jest nieopowiedziana historia naszej własnej, polskiej – nie stalinowsko-polskiej – nowoczesności. Tej nowoczesności, która ze względu na Jałtę nigdy nie mogła zostać spełniona. Jest to opowieść o politycznym, gospodarczym i społecznym projekcie Polski Ludowej, która mogła zostać po wojnie zbudowana siłami elit politycznych Polskiego Państwa Podziemnego, Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) i Stronnictwa Ludowego (SL).

Co więcej, jest to opowieść o społecznych oczekiwaniach, domagających się narodzin takiej właśnie Polski. Marzeniach o polskiej hybrydzie „państwa rozwojowego" – mającego za zadanie przezwyciężyć strukturalne bariery rozwoju, z którymi zmagała się również komunistyczna modernizacja – i „państwa socjalnego" budowanego równolegle do powojennego „państwa dobrobytu" z Zachodu.

Taka alternatywna nowoczesność byłaby ewolucyjna, nie rewolucyjna; łagodna i demokratyczna, a nie brutalna i okrutna; budowana oddolnie, a nie narzucona z góry; łącząca rozwiązania socjalistyczne i agrarne zamiast kopiowania wzorca komunistycznego z Moskwy.

Podejmując się próby rekonstrukcji niezrealizowanego projektu alternatywnej Polski Ludowej, można wyróżnić dwie jego zasadnicze płaszczyzny. Z jednej strony mamy wymiar polityczny reprezentowany przez dziedzictwo myśli społecznej i gospodarczej Rządu RP na Uchodźstwie, Delegatury Rządu na Kraj, PPS i SL, który prezentuje w obszernym eseju *Społeczne oblicze Polski Walczącej* Bartosz Wójcik. Drugim filarem tej innej nowoczesności jest aspekt społeczny – wykazanie, że samo społeczeństwo było już gotowe i zmobilizowane do stworzenia nowego państwa po II wojnie światowej. Do budowy Polski Ludowej gotowe były dwie najliczniejsze grupy społeczne: chłopi i robotnicy.

ZAPOMNIANY CZAS PRZEŁOMU

Odgórny, narzucony i przemocowy charakter komunistycznej nowoczesności skutkował tym, że chłopi i robotnicy byli jej przedmiotem, nie podmiotem. Modernizacja niejako „się" działa – jakby obok, bez udziału i woli jej bezpośrednich beneficjentów. Taką narrację można wyczytać z kart *Prześnionej rewolucji*. Znów jest to prawda tylko częściowa. Andrzej Leder zbyt łatwo bowiem z lat 1939-1956 stworzył jeden spójny okres historyczny. Tymczasem podzielić go należy na trzy krótsze odcinki.

Pierwszy to lata 1939-1944, kiedy miały miejsce trzy kluczowe wydarzenia. W Polskim Państwie Podziemnym wypracowano – stanowiące ewolucyjną kontynuację i radykalizację koncepcji przedwojennych – programowe założenia powojennej Polski Ludowej. Doszło do zasadniczej transformacji polityczno-społecznego oblicza polskiej wsi, o czym piszę niżej. Wreszcie, ekstensywna i rabunkowa gospodarka niemieckiego okupanta oraz zniszczenia wojenne jako takie stworzyły warunki do powojennej nacjonalizacji zrujnowanego przemysłu oraz do wprowadzenia planowania gospodarczego na poziomie państwa w celu podźwignięcia kraju z ruiny.

Te trzy czynniki sprawiają, że rok 1944 może być momentem pełnej dojrzałości owej „niezrealizowanej potencjalności" i „egalitarnego marzenia" o alternatywnej Polsce Ludowej i alternatywnej polskiej nowoczesności. Mieliśmy gotowe projekty polityczne, sprzyjające nastroje społeczne i powszechne przekonanie, że nie ma już powrotu do sanacyjnej przeszłości, a powojenna III RP musi być diametralnie inna od swojej poprzedniczki. Wreszcie – istniały strukturalne uwarunkowania gospodarczo-społeczne stanowiące obiektywną podstawę dla nowej Polski Ludowej.

Drugi okres to lata 1944-1947, swoisty „czas pomiędzy". Już nie wojna, ale jeszcze nie stabilne państwo. Okres chaosu i rozmyślań nad tym, co przyniesie przyszłość. Z jednej strony rozpoczęto realizację projektu kseromodernizacji (reforma rolna i industrializacja), z drugiej – wciąż działały PSL i PPS, chociaż proces infiltracji i podporządkowywania partii komunistom już trwał.

Dopiero okres trzeci, lata 1947-1956 i czas stalinizmu, to właściwy moment pełnego wdrażania projektu nowoczesności à la Moskwa z pełnym podporządkowaniem wzorcom kseromodernizacji.

CHŁOP PRZEJMUJE „LEJCE HISTORII"

Dla chłopstwa jako grupy społecznej, jak i dla ruchu ludowego jako politycznej reprezentacji wsi, II wojna światowa również była czasem przełomowym na trzech płaszczyznach.

Po pierwsze, chłopi jako grupa społeczna stali się wreszcie w przeważającej mierze Polakami. Jak w pracy *Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmiącej* przekonywał Michał Łuczewski, okupacja była cza-

sem, w którym chłopi na masową skalę porzucali wyłączną tożsamość jako „tutejsi" i zaczynali sami siebie określać mianem Polaków. Za ten przyspieszony proces unaradawiania mieszkańców wsi, trwający już przecież na ziemiach polskich od wielu dekad, odpowiadali… niemieccy okupanci.

To właśnie hitlerowski terror sprawił, że identyfikacja „Polak" nie była już dłużej wyłącznie abstrakcyjną kategorią socjologiczną, lecz czymś dla chłopów jak najbardziej konkretnym i namacalnym. W oczach Niemców byli Polakami i za swoją polskość mogli stracić życie. Tak więc w wyniku II wojny światowej Polska „zyskała" kilka milionów nowych Polaków, już nie tylko mieszkańców geograficznego terytorium państwa polskiego.

W II Rzeczpospolitej właściwa historia „działa się" w miastach. Wieś była problemem, obciążeniem, wyzwaniem, z którym należało sobie poradzić: albo reformą rolną, albo industrializacją i urbanizacją kraju. Wieś z jej strukturalnymi bolączkami, przeludnieniem, doskwierającą biedą była synonimem „życia poza historią".

Tymczasem w trakcie okupacji to właśnie wieś zaczęła dominować jako przestrzeń historycznych zmagań Polaków. To przede wszystkim na wsi (poza warszawskim „sercem"), a nie w mieście działała antyniemiecka konspiracja. To chłopi, dzisiaj bezimienni i anonimowi, ukrywali partyzantów, dawali im jeść, leczyli ich rany, wspomagali w bieżącej walce z okupantem. Na wsi ukrywali się przedwojenni działacze polityczni. Pomocą materialną obejmowano rodziny aresztowanych w działalności podziemnej. Ratunek na wsi znajdowali także wysiedleńcy z innych części Polski. Jak przekonywał w pracy *Chłopi polscy 1944-1948. Perspektywa psychohistoryczna* Wojciech Jakubowski, wieś zmieniała się również wewnętrznie. Organizowano tajne nauczanie, gromadzono księgozbiory, tępiono bandytyzm i pijaństwo, ingerowano w relacje między dworem a robotnikami rolnymi.

Do polityki zaczęło także wchodzić nowe pokolenie chłopów, które dojrzewało już w II RP. Jak wyjaśniał to Kazimierz Przybysz, badacz polskiej myśli politycznej czasów wojennych, była to generacja, która „bardziej niż ojcowie rozumiała wartość wolności, a także wykazywała większe uświadomienie narodowe i polityczne. Tak więc w okresie okupacji nastąpił niejako proces obywatelskiej nobilitacji młodzieży wiejskiej".

Efekty tej nobilitacji widać było w konkretnej działalności politycznej. Na przełomie 1942 i 1943 r. konspiracyjne Stronnictwo Ludowe „Roch" stało się najliczniejszą partią polityczną podziemia, a Bataliony Chłopskie drugą siłą militarną Polski Walczącej. Wojenna wieś w praktyce zrealizowała dewizę „Żywią i Bronią" wypisaną na sztandarach kosynierów walczących w insurekcji kościuszkowskiej.

Nastąpiła także fundamentalna, ewolucyjna zmiana w filozofii politycznej ludowców. W II RP dominowały cztery wizje pożądanej wspólnoty politycznej: solidarystyczna, ponadklasowa koncepcja konsolidacji społeczeństwa wokół państwa autorstwa sanacji; drobnomieszczańska wizja Polski endeków; wyobrażenie robotniczego narodu socjalistów oraz chłopska, agrarystyczna Rzeczpospolita w propozycji ludowców. W trakcie wojny PSL przeszedł jednak z koncepcji stricte klasowej na pozycje ogólnonarodowe. Ruch ludowy gotów był wziąć na swoje barki polityczną odpowiedzialność za losy całego kraju. Że nie były to tylko teoretyczne dywagacje pokazały lata 1944-1947, kiedy Polskie Stronnictwo Ludowe Stanisława Mikołajczyka stał się dominującą reprezentacją polityczną „niepodległej Polski". Wieś gotowa była po wojnie budować Polskę Ludową.

RZECZPOSPOLITA ROBOTNICZO-FABRYCZNA

Wyodrębniony wcześniej „czas przełomu" z lat 1944-1947 może nam nakreślić pewien kontur czy też potencjalny kierunek, w jakim mógłby rozwinąć się projekt alternatywnej Polski Ludowej. Czytana z takiej właśnie perspektywy praca historyka Padraika Kenneya *Budowanie Polski Ludowej. Robotnicy a komuniści 1945-1950* pozytywnie weryfikuje gotowość polskiej klasy robotniczej do budowy nowoczesności w sposób samodzielny i podmiotowy.

Bohaterami książki Kenneya są robotnicy i robotnice oraz ich walka o własne miejsca pracy w pierwszych latach po wojnie, gdy ostateczny kształt go-

spodarki nie był jeszcze wypracowany. „Państwo komunistyczne trudno rzec jasna uznać za twór powstały w wyniku dążeń polskiego społeczeństwa; a przecież społeczeństwo to wywierało wpływ na charakter transformacji z lat 1945-1950" – pisał autor *Budowania Polski Ludowej*.

To właśnie w fabrykach istniała przestrzeń dla suwerennego, podmiotowego i twórczego współkształtowania praktycznego wymiaru porządku społeczno-ekonomicznego nowej Polski – oczywiście w skali dopuszczalnej przez zewnętrzne, geopolityczne okoliczności. Nie tylko stawiania reaktywnego oporu, jak to miało miejsce w przypadku zbrojnego podziemia antykomunistycznego, lecz także wywierania określonego i skutecznego wpływu na czynniki rządowe.

Zaczęło się od przejmowania i uruchamiania fabryk na własną rękę – kluczem była kontrola nad własnym miejscem pracy. Kenney skupia się na dwóch miastach, stanowiących jego zdaniem pewne symbole całej powojennej Polski: Łodzi – starym mieście robotniczym, gdzie wśród proletariatu nie doszło do opisanego przez Ryszarda Legutkę „zerwania ciągłości" – oraz Wrocławiu jako polskim „Eldorado", mieście pionierów, tworzonym od podstaw, z gruzów odchodzącego w przeszłość niemieckiego Breslau.

W Łodzi po uruchomieniu produkcji robotnicy wybierali spośród siebie rady zakładowe i dyrektorów oraz mocno sprzeciwiali się administracji partyjnej i państwowej narzucanej im przez PPR. Podmiotowości robotników sprzyjały dwa zasadnicze czynniki.

Po pierwsze, była to ciągłość biologiczna, której nie przerwała wojna i okupacja – Łódź wciąż tworzyła hierarchiczną wspólnotę robotniczą, ponadzakładową, z określonymi tradycjami pracy oraz codziennego życia. Majstrowie z przedwojenną przeszłością i autorytetem wśród załogi i starsze robotnice swoim doświadczeniem zdobywające posłuch i wysokie miejsce w fabrycznej hierarchii nieraz inspirowali nie tylko powstawanie demokracji robotniczej w zakładach pracy, ale w późniejszym okresie także strajki przeciwko niekorzystnej sytuacji ekonomicznej.

Drugim czynnikiem wzmacniającym pozycję i podmiotowość robotników była w latach 1944-1947 słaba obecność PPR-u w fabrykach. Niewielu robotników posiadało partyjne legitymacje, a często nawet ci, co mogli się nimi pochwalić, wspierali strajki inicjowane przez przedwojennych robotników.

Komuniści szybko, bo już dekretem z lutego 1945 r., zaczęli walczyć z podmiotową pozycją rad zakładowych, osłabiając ich kompetencje kierownicze i nominacyjne, przekształcając instytucje samorządu robotniczego w ciała o charakterze doradczym. Nie chodziło już o wybór władz i kontrolę nad fabryką, lecz dbanie o warunki pracy, umowy zbiorowe czy procedury zatrudnienia. Rady fabryczne zredukowano do roli biura do spraw pracowniczych, działającego w ramach administracji fabrycznej. Dekret podzielił politykę fabryczną i robotniczą na dwie sfery: gospodarczo-produkcyjną i socjalną. Rady zakładowe przypisano do tej drugiej. Z czasem najbardziej krnąbrne rady były rozwiązywane przez związki zawodowe, także podporządkowane PPR-owi.

Skoro robotnicy zostali wyrzuceni poza obręb mechanizmów decyzyjnych i zarządczych, wybierali nowe formy sprzeciwu i nacisku, aby realizować własne interesy. Zaczęły się kradzieże w fabrykach w celu uzupełnienia braków finansowych powodowanych niskimi płacami, pojawiły się całe serie strajków domagających się podwyższenia płac oraz lepszej aprowizacji żywnościowej. W przypadku postulatów żywnościowych znów istotną rolę odegrały robotnice będące jednocześnie matkami oraz odpowiedzialnymi za zakupy i znającymi praktyczne realia gospodarcze.

Ostatnim etapem konfliktu przed okresem stalinizmu była walka o kontrolę nad miejscem pracy, rozumianym jako kontrola sposobu pracy, jej narzędzi, czasu i intensywności, połączona z kontrolą nad sposobem konstruowania wypłaty (kwestia kryteriów ustalania premii, praca na akord).

Po roku 1947 i wejściu na drogę stalinizacji, następowało stopniowo odpodmiotowienie robotników. „Zjednoczona" już partia robotnicza przejęła i podporządkowała sobie całkowicie rady zakładowe i związki zawodowe. Za strajki zaczęły grozić surow-

sze konsekwencje, z wyrzuceniem z fabryki włącznie. Wprowadzono współzawodnictwo w pracy. Coraz istotniejszą rolę zaczęli odgrywać migranci ze wsi, co pomogło rozbijać solidarność tradycyjnej wspólnoty robotniczej. Nie zmienia to faktu, że pomimo postępowania tych procesów robotnicy – nie tylko ci z Łodzi – przez swoją niechęć do spekulantów, wysokich cen czy problemów z aprowizacją mieli istotny wpływ na rozpoczęcie w 1947 r. przez Hilarego Minca, ministra przemysłu, tzw. bitwy o handel.

Kenney w podsumowaniu swojej pracy domaga się przywrócenia robotnikom historycznej sprawczości, sprzeciwiając się postrzeganiu ich wyłącznie jako biernych przedmiotów komunistycznej rewolucji, „dokonanej odgórnie lub przyniesionej z zewnątrz". Robotnicy „nie byli bezradnymi ofiarami wszechmocnego państwa i diabelskiej ideologii: byli zaradni, kształtowali własny los, potrafili wykorzystać system dla własnej korzyści i łagodzić jego najokrutniejsze aspekty. (...) Każde działanie podjęte przez państwo w jakiejś mierze odnosiło się do społecznych potrzeb lub nacisków; każde działanie robotników i robotnic albo wpływało na sposób, w jaki państwo wdrażało swoje plany, albo przyczyniało się do poszukiwania przez państwo sposobów wyrażenia ludowej legitymacji".

Wszystkie opisane wyżej działania robotnicze pozbawione były rozmachu politycznego. Ich perspektywą nie było nigdy dokonanie całościowej, systemowej zmiany. Pozostając w horyzoncie wyznaczanym przez pozostających u władzy komunistów, stanowiły grę na warunkach i w skali narzuconej przez istniejące w Polsce warunki społeczno-ekonomiczne. Ich minimalizm (a może właśnie realizm?), specyfika, ograniczona do granic własnej fabryki nie może jednak odebrać tej walce o „podmiotową codzienność" jej symbolicznego, ale i najbardziej praktycznego znaczenia. Jednocześnie pokazują one gotowość robotników do budowy porządku nowoczesnego, odpowiadającego bardziej socjalistycznemu modelowi alternatywnej Polski Ludowej, niż temu komunistycznemu.

INNA, LEPSZA NOWOCZESNOŚĆ BYŁA MOŻLIWA

„Szlak wrześniowej wędrówki z moich okolic prowadził przez dumne nazwy – Wiślica, Stopnica, Oleśnica, Połaniec, Rytwiany, Baranów, Koprzywnica, Dzików, Sandomierz. Po raz pierwszy ujrzałem podówczas nazwy – Racławice, Dziemierzyce, Janowiczki. Rzeczywistą stała się historyczna i aktualna mapa ojczyzny. A jednocześnie? Kto jej nie znał, temu spod znakomitych nazw odsłoniła się Polska w ubóstwie i wegetatywnym trwaniu między kurną chałupą a cmentarzem. Bliskie i dalekie wioszczyny, nędza dróg, działeczki lichych zbóż".

To fragment z okupacyjnego dziennika słynnego historyka literatury Kazimierza Wyki. Z jego relacją rymują się słowa gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, przywódcy Związku Walki Zbrojnej, poprzednika Armii Krajowej: „Polska wczorajsza nie była zawsze Polską w pełnym tego słowa znaczeniu. Za wiele było zakłamania i niesprawiedliwości w jej życiu wewnętrznym. Za wiele jedni mieli w niej wygód, za mało inni chleba i opieki państwowej".

W trakcie wojny dojrzewała świadomość konieczności radykalnej zmiany. Dojrzewała wśród elit politycznych i intelektualnych, wśród chłopów i robotników. Alternatywna, nigdy nie zrealizowana Polska Ludowa mogła być odpowiedzią na tę konieczność.

Czy ta nasza własna, polska, samodzielna nowoczesność spełniłaby wszystkie oczekiwania? Oczywiście, że nie. Byłaby jednak nowoczesnością na naszych zasadach. Bez kserokopiarki, z własnymi ograniczeniami i błędami, ale też z własną podmiotowością i odpowiedzialnością. Ta opowieść, chociaż z dziedziny historii alternatywnej, zasługuje na obecność w naszej wyobraźni politycznej. Polska nowoczesność była możliwa.

Piotr Kaszczyszyn

współredaktor naczelny czasopisma idei „Pressje" oraz redaktor naczelny portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego. Doktorant w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Niech żyje Polska Ludowa!

Jak w praktyce mogłaby wyglądać nasza alternatywna, samodzielna nowoczesność? Czy „III Rzeczpospolita bez Jałty" byłaby polskim odpowiednikiem zachodniego „państwa dobrobytu"? Przedstawiamy polityczny oraz społeczno-gospodarczy projekt Polski Ludowej i publikujemy swoisty dokument programowy naszej własnej polskiej nowoczesności.

Społeczne oblicze Polski Walczącej

Bartosz Wójcik

Z Polskim Państwem Podziemnym na ogół łączymy walkę o wyzwolenie polityczne. Znacznie rzadziej dostrzegamy towarzyszącą hasłu niepodległości, a po wojnie zawłaszczoną przez komunistów, obietnicę wyzwolenia społecznego – głębokiej przebudowy gospodarczej i definitywnego zerwania z rzeczywistością przedwojenną.

„Dość mitów o ojczyźnie – Rzeczą Pospolitą / Ma być, a nie monstrancją wzniesioną do nieba / I nie krzyżem z narodem jak Chrystus przybitym / Ale chlebem powszednim dla zjadaczy chleba" – wołał Stanisław Ostrowski. „Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem / O, chwyć za miecz historii i uderz! I uderz!" – wzywał Warszawę, „miasto Kilińskich i Okrzejów", Krzysztof Kamil Baczyński. „My, co żyjemy byle jak / My, którym się nie szczęści / Z radością powitamy znak / Znak zaciśniętej pięści" – pisał najmłodszy z przywołanych tu poetów Armii Krajowej (AK), niespełna osiemnastoletni Jan Romocki.

Wiosną 1944 r. kwestią otwartą pozostawało nie tyle, czy gruntowna zmiana stosunków społecznych nastąpi, ale czyimi rękami się dokona. Z każdym miesiącem niemieckiej okupacji radykalizacja nastrojów i przekonań ogarniała coraz szersze warstwy polskiego społeczeństwa. Nie była obca także części przywódców podziemia, co znajdowało wyraz zwłaszcza w konfrontacji z Moskwą. To zdecydowany program głębokiej przebudowy gospodarczej w duchu wyraźnie lewicowym, a nie zachowawcza retoryka antyrewolucyjna, był odpowiedzią Polski Podziemnej na rosnące zagrożenie ze strony sowieckiego komunizmu.

„Jest faktem, że tak jak na całym świecie, tak i u nas poglądy znacznie się zradykalizowały (na lewo)" – stwierdzał na krótko przed powstaniem warszawskim szef wywiadu Komendy Głównej AK, płk cichociemny Kazimierz Iranek-Osmecki, w liście do jednego z oficerów Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Krytykując zbyt zachowawczą postawę władz na uchodźstwie, dodawał: „W tej sytuacji wydaje się, [...] że tylko walka [prowadzona] przez ugrupowania lewicowe może być skuteczną przy rozładowywaniu nastrojów »K« [komunistycznych – red.]". W podobnym tonie już ponad rok wcześniej oficjalnie wystąpił sam zwierzchnik podziemnej armii, gen. Stefan Grot-Rowecki. Wzywając rząd do zdecydowanych kroków, zaznaczał: „Wykonanie przebudowy nie jest jeszcze możliwe, ale konieczne byłoby dostatecznie wczesne nie tylko ogłoszenie bardzo radykalnego i postępowego programu reform, ale i zapoczątkowanie ich pewną ilością aktów prawnych. Półśrodki i obietnice tutaj nie wystarczą".

Analogiczne „przesunięcia na lewo" obserwowano wówczas w całej okupowanej przez hitlerowskie Niemcy Europie. O ile w państwach takich jak Francja, Włochy czy Grecja inspirowali je i dyskontowali w dużej mierze komuniści, w realiach polskich rolę awangardy wspomnianego procesu odgrywały radykalne społecznie, ale wyraźnie antysowieckie niepodległościowe nurty: ludowy oraz socjalistyczny.

DWIE WIZJE POWOJENNEJ POLSKI

Szok wywołany wrześniową klęską nie tylko pozbawił legitymizacji obóz sanacyjny, ale także spotęgował narastający od lat – jego symbolem był brutalnie stłumiony wielki strajk chłopski z 1937 r. – sprzeciw wobec dotychczasowej rzeczywistości ekonomicznej. Idea oparcia cywilnych struktur podziemia na porozumieniu głównych ugrupowań niedawnej opozycji – Stronnictwa Ludowego (SL), Stronnictwa Narodowego (SN), Polskiej Partii Socjalistycznej „Wolność – Równość – Niepodległość" (PPS-WRN) oraz chadeckiego Stronnictwa Pracy (SP) – gwarantować miała nie tylko możliwie szeroką konsolidację, ale także definitywne odcięcie od stosunków przedwojennych. Zarówno politycznych, naznaczonych piętnem autorytaryzmu, jak i społeczno-gospodarczych, w powszechnym odczuciu anachronicznych i głęboko niesprawiedliwych.

Podjęcie współpracy na platformie „jedności narodowej" nie oznaczało jednak przyjęcia tej samej optyki. Obok prozaicznej rywalizacji o wpływy, na łamach konspiracyjnej prasy szybko rozgorzała fundamentalna dyskusja o to, jak wyglądać ma powojenna Polska. Spośród dziesiątek wizji, kreślonych nie tylko przez czołowe partie, ale także ośrodki mniejsze, niekiedy kanapowe, wyraźnie wyłaniały się dwa kierunki zasadnicze: forsowana przez nieformalny sojusz socjalistów, ludowców i lewicującej inteligencji egalitarystyczna koncepcja Polski Ludowej oraz postulowana przez szeroko rozumiany ruch narodowy, którego główny nurt stanowiło konspiracyjne SN, wizja katolicko-narodowej Wielkiej Polski.

Pierwsza, afirmatywna wobec wzorców zachodnich, zakładała odbudowę kierowanego parlamentarnie – korzystny wynik powojennych wyborów zdaniem przywódców lewicy był przesądzony – państwa o ustroju demokratyczno-republikańskim, dysponującego planem radykalnych reform społecznych. Zasadnicze kroki w kierunku zażegnania głodu ziemi widziano tu w natychmiastowej, nieuwzględniającej odszkodowania, parcelacji wielkiej własności ziemskiej. Zjawisko znacznego przeludnienia wsi rozwiązać miał z kolei program gruntownego uprzemysłowienia miast i towarzysząca mu urbanizacja. Kluczowe zadania w procesie uspołecznienia majątku narodowego przypisano ruchowi spółdzielczemu oraz rozbudowanym strukturom samorządu; w rękach prywatnych, poza indywidualnymi gospodarstwami rolnymi, pozostawić zamierzano głównie drobną wytwórczość. Podstawę tak skonstruowanego organizmu stanowić miało planowanie. Charakterystyczne, że głoszony program lewica wiązała z ideą wytłumienia, wyrosłych częściowo na gruncie ekonomicznym, antagonizmów narodowościowych.

Z odmiennych założeń wychodziła wizja czołowego nurtu prawicy. Zakładając polityczną dominację jednego obozu, podważała – jako wytwór obcy duchowi polskiemu – wzorowany na rozwiązaniach zachodnich ustrój demokratyczny. Narodowcy, nie

krępowani jego ograniczeniami, ujścia dla potężnych napięć społecznych szukali w maksymalistycznym programie granicznym oraz rozwiązaniu, drogą akcji kolonizacyjno-wysiedleńczej, problemu mniejszości. To nowe nabytki terytorialne – w zapowiedziach SN dość pokaźne, na zachodzie sięgające Odry, a na wschodzie nawet Dniepru – zaspokoić miały ogromny głód ziemi. Drugi filar zapowiadanej przez nich przebudowy stanowił postulat masowego napływu spauperyzowanego żywiołu polskiego do handlu i rzemiosła, dotąd „blokowanych przez element obcy" – zwłaszcza Żydów. Główny nurt polskiego nacjonalizmu odrzucał przy tym wizję radykalnej industrializacji. Fundament odrodzonej gospodarki widział w gęstej sieci rozmieszczonych możliwie równomiernie po kraju przedsiębiorstw prywatnych. Planistyczna rola państwa ograniczała się tu do wytyczania zasadniczych celów dalekosiężnych, a zachowawcza, przewidująca system rekompensat reforma rolna stanowiła raczej dopełnienie procesów priorytetowych – kolonizacji kresów Wielkiej Polski oraz polonizacji handlu i rzemiosła.

Zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne okoliczności w realiach trwającego konfliktu przemawiały na korzyść pierwszej z wizji. Lewicy sprzyjały uwarunkowania międzynarodowe – stolice alianckie, od których po klęsce wrześniowej uzależniony był los polskiej państwowości, sceptycznie odnosiły się zarówno do utożsamianego z antysemityzmem rodzimego nacjonalizmu, jak i potencjalnych roszczeń terytorialnych Warszawy; sprzyjały jej również zjawiska lokalne – postępująca radykalizacja zubożałego społeczeństwa oraz poparcie ze strony kierownictwa AK. To ostatnie, przez narodowców atakowane jako sanacyjne ze względu na częściowo piłsudczykowski rodowód, od początku okupacji orientowało się raczej na lewo. Nie bez znaczenia pozostawała wreszcie rosnąca aktywność komunistów.

Za stroną ludowo-socjalistyczną przemawiało jednak coś jeszcze. O ile syntetyczny *Program Polski Ludowej*, opracowany wspólnie przez czołowych działaczy różnych nurtów lewicy, ukazał się staraniem PPS-WRN już w 1941 r., narodowcy swoje rozważania ograniczać musieli do mniejszej wagi broszur i wystąpień publicystycznych. Jednoznaczna deklaracja wykazać mogła bowiem sprzeczność między – bliskimi portugalskim rozwiązaniom reżimu Salazara – tendencjami rzeczywiście biorącymi górę w SN a przestrzenią oficjalną. W niej dominująca na prawicy siła występowała jako jeden z gwarantów koalicji „jedności narodowej", stanowiącej krajowe oparcie legalnego rządu. Ten, choć kwestię społeczno-gospodarczego oblicza powojennej Polski długo pozostawiał względnie otwartą, od początku wyraźnie formułował warunek fundamentalny – odrodzona Polska musi być państwem demokratycznym. Narodowcy, chcąc utrzymać się w grze, a zarazem nie utracić dotychczasowej bazy społecznej, zmuszeni byli prowadzić swoistą „grę na dwa fortepiany".

W STRONĘ NOWEGO CENTROLEWU

Kluczową rolę w procesie wykuwania społecznego oblicza Polski Podziemnej odegrała datowana na rok 1943 krystalizacja stanowiska ruchu ludowego. Wyraźną przewagę w zmaganiach o kierunek najsilniejszego w kraju ugrupowania osiągnęli wówczas politycy chłopskiej lewicy. Szczególnie wzrosło znaczenie „wiciowców" – działaczy bardzo popularnego przed wojną, radykalnego społecznie i wyraźnie antyklerykalnego Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici".

Dotąd stanowisko ludowców pozostawało niejednoznaczne. Obok nurtu bliskiego socjalistom swoje cele forsować próbowała również partyjna prawica, wykazująca zainteresowanie ewentualnym sojuszem z obozem narodowym. Tu, poza zdecydowanymi na pełną realizację programu Wielkiej Polski „młodymi", funkcjonowali bowiem i politycy starszej daty, przejawiający skłonności do kompromisu. Z każdym jednak miesiącem coraz jaśniejsza stawała się ich faktyczna, choć niekoniecznie nominalna, marginalizacja. Opanowanie kluczowych pozycji w SL przez lewicę przekreślało podobne koncepcje. Oznaczało powrót do popularnych zarówno przed wybuchem wojny, jak i w pierwszych miesiącach konspiracji, haseł sojuszu z PPS.

Zapowiedzią obranego kierunku była wspólna deklaracja stronnictw „jedności narodowej" ogło-

szona w rocznicę zwycięskiej bitwy warszawskiej – 15 sierpnia 1943 r. Obok republikańskiego ustroju, demokratycznej ordynacji wyborczej czy równouprawnienia mniejszości narodowych w sferze politycznej, w sposób ogólny wskazywała też kierunki powojennej przebudowy społeczno-ekonomicznej. Pojawiły się wzmianki o systemie gospodarki planowej oraz zapowiedź „niezwłocznego przystąpienia do reformy rolnej" i „przejęcia do dyspozycji państwa wszystkich gospodarstw przeznaczonych na [jej] cele". W dokumencie wyraźnie wybrzmiała obietnica uprzywilejowania sektora spółdzielczego oraz hasło likwidacji bezrobocia przez realizację polityki pełnego zatrudnienia.

Choć odezwie daleko było do literalnej adaptacji wspomnianego *Programu Polski Ludowej*, w zasadniczych punktach wyraźnie się nim inspirowała. Znamienne, że gdy prasa socjalistyczna i chłopska witały ją z umiarkowaną satysfakcją, podkreślającą kompromisową zachowawczość projektu, „Walka" – oficjalny organ SN – początkowo przemilczała jej ogłoszenie. Narodowcy wprawdzie podpisali dokument, ale było to posunięcie wymuszone trudnym położeniem politycznym. Wobec zbliżenia ludowców i socjalistów oraz niejasnej postawy zdecydowanie słabszego SP pozostawali coraz wyraźniej osamotnieni. Problemem stawała się nie tyle ewentualna dominacja, co utrzymanie wpływów w podziemnym aparacie – o tyle ważne, że na wychodźstwie SN już od dłuższego czasu znajdowało się poza rządową koalicją.

GŁOS ZABIERA ARMIA KRAJOWA

Niebawem do kwestii kierunku, w jakim zmierza Polska Walcząca odnieść postanowiła się także konspiracyjna armia. Z początkiem września 1943 r. na pierwszej stronie najpoczytniejszego pisma podziemia, „Biuletynu Informacyjnego", pojawiło się charakterystyczne pytanie – *O jaką Polskę walczymy?*

W części politycznej dość utopijnego tekstu podkreślano demokratyczny charakter ustrojowy odrodzonej Rzeczpospolitej, odwołując się do haseł wolności, równości i chrześcijańskiego braterstwa. Uderzający był tu jednak przede wszystkim fragment poświęcony przebudowie gospodarczej państwa. Wołano w nim: „Walczymy o Polskę sprawiedliwości społecznej i dobrobytu najszerszych mas. O Polskę, która wyzwoli z niedostatku i nędzy milionowe rzesze niedożywionych i głodujących. O Polskę, która podniesie stopę życiową najbiedniejszych i obniży niesprawiedliwie wysokie zyski warstw dotąd uprzywilejowanych. O Polskę, która szanując w rozsądnych granicach własność prywatną – wyzwoli kraj z bezsensu kapitalizmu i uspołeczni wielkie warsztaty pracy". Na koniec, zapowiadając wprowadzenie mechanizmu planowania gospodarczego, „Biuletyn" zastrzegał: „Polski ideał sprawiedliwości społecznej jest przeciwieństwem sowiecko-komunistycznej nędzy, w której niewolnicze swe życie pędzi chłop i robotnik rosyjski".

Choć podobne stanowisko w niektórych nurtach zróżnicowanej politycznie AK musiało budzić kontrowersje, wyrażenie go – a był to pierwszy na łamach oficjalnego pisma Komendy Sił Zbrojnych w Kraju tekst o tak wyraźnych aspiracjach programowych! – było posunięciem znamiennym. Nie mogło bowiem nastąpić bez akceptacji ścisłego kierownictwa. Odtąd to właśnie AK stać się miała ośrodkiem szczególnie naciskającym Londyn w sprawie odważniejszych kroków społeczno-gospodarczych – nie tylko deklaratywnych, ale i prawnych.

W tym względzie zaznaczała się zresztą charakterystyczna różnica między wojskiem a bardziej zachowawczą, w niektórych obszarach nadal kontrolowaną przez ludzi dalekich od radykalizmu społecznego, podziemną administracją – Delegaturą Rządu. Znajdowała ona wyraz nie tylko w korespondencji z emigracyjnymi władzami, ale także w propagandowym zwalczaniu moskiewskiej dywersji. O ile Delegatura stawiała tu raczej na tradycyjny antykomunizm i straszenie konsekwencjami bolszewickiej rewolucji, propaganda AK niejako „obchodziła komunę z lewej" – na łamach specjalnie powołanych dla tego celu pism, takich jak „Wolność Robotnicza" czy „Głos Ludu", redagowanych z udziałem pepeesowców i radykalnej inteligencji, piętnowała w swej istocie antydemokratyczny sowiecki totalizm, przeciwstawiając mu hasła niepodległościowej lewicy.

O CO WALCZY NARÓD POLSKI?

Przełomowym momentem w trudnym procesie wypracowywania klarownego programu podziemnego państwa, akceptowalnego także dla prawej strony, był marzec 1944 r. Wtedy właśnie ukazała się oficjalna, sygnowana przez wszystkie stronnictwa Rady Jedności Narodowej (RJN), deklaracja ideowa *O co walczy Naród Polski?* Mimo że stanowiła wynik ucierania różnych stanowisk, jej głównym architektem był przywódca PPS-WRN i przewodniczący konspiracyjnej namiastki polskiego parlamentu, Kazimierz Pużak.

Choć w przeciwieństwie do publicystycznych zapowiedzi ludowców i socjalistów nie użyto tu wprost hasła Polski Ludowej, kierunek manifestu był jednoznaczny. Część poświęconą przebudowie społeczno-ekonomicznej państwa – w sferze politycznej zasadniczo potwierdzono dotychczasowe postulaty głębokiej demokratyzacji – otwierało stwierdzenie: „Państwo obejmie funkcje kierownicze i kontrolne w gospodarce, celem zapewnienia realizacji planu gospodarczego Polski. […] będzie miało prawo do przejmowania lub uspołeczniania przedsiębiorstw użyteczności publicznej oraz kluczowych przemysłów, a także aparatu transportu oraz wielkich instytucji finansowych – w wypadku gdy tego będą wymagały potrzeby ogólne".

Dalej zapowiadano: natychmiastową parcelację własności ziemskiej przekraczającej 50 hektarów (o przyznaniu bądź nie ewentualnego odszkodowania zdecydować miał dopiero przyszły parlament; zarówno ludowcy, jak i socjaliści rekompensacie byli przeciwni); uspołecznienie znacznej części przemysłu i nacjonalizację obszarów strategicznych; upaństwowienie lasów; politykę pełnego zatrudnienia. Gospodarce planowej poświęcono osobny podrozdział. W jego zakończeniu nawiązywano do bliskiej chadekom społecznej nauki Kościoła: „Własność prywatna [ta stanowić miała podstawę funkcjonowania rolnictwa oraz drobnej wytwórczości – red.] traktowana będzie nie jako nieograniczany niczym przywilej osobisty, lecz jako podstawa do pełnienia zleconych funkcji społecznych i państwowych".

I tym razem deklarację formalnie poparło także SN. Narodowcy szybko jednak zaczęli się od niej dystansować, a – w obliczu alarmu podniesionego przez prawicową prasę – nawet publicznie ją atakować. W stronę RJN popłynęły oskarżenia o ignorowanie postulatów obozu narodowego i chęć „wymalowania Polski na czerwono". Przełomowy dokument demaskowano jako próbę oderwania narodu od chrześcijańskich korzeni, konsekwencję podszeptów żydowsko-masońskich, a w skrajnych przypadkach – jako przejaw bolszewizmu.

W takich okolicznościach główna siła prawicy, po blisko dwóch latach organizacyjnego rozbicia zjednoczona, zdecydowała się na próbę politycznego kontrataku. Kierunek „natarcia" dobrze oddawała wydana w tym czasie przez SN ulotka informująca o konsolidacji obozu narodowego. Jej autorzy, konstatując, że podziemie wyłoniło ostatecznie trzy główne siły: sanacyjno-lewicową, komunistyczną i narodową, wnioskowali: „Objęcie władzy przez ośrodki sanacyjny lub komunistyczny to nowa tragedia narodu i państwa polskiego. […] Jedynym czynnikiem w naszym życiu politycznym, który może i musi przeciwstawić się tym dążeniom jest Stronnictwo Narodowe, reprezentujące sobą narodowy ośrodek dyspozycji". Planowano infiltrację pozostałych ugrupowań „grubej czwórki" oraz odbicie AK spod wpływów lewicowo-piłsudczykowskich.

Rzeczona kontrofensywa nie trwała jednak długo. Ostatecznie „Kwadrat" – pod takim kryptonimem występowało w podziemiu SN – ponownie musiał skoncentrować się na obronie stanu posiadania. W obliczu zbliżających się rozstrzygnięć rozgorzała bowiem bezpardonowa „wojna w rodzinie" – do przewodzenia obozowi narodowemu aspirowało nie tylko SN, ale także działający na własną rękę, otwarcie dążący do samodzielnego uchwycenia władzy ośrodek oenerowski.

ODSUNĄĆ „ENDEKÓW I ENDEKOIDÓW"?

W krytycznych miesiącach temperatura rosła także na lewicy. Coraz częściej pojawiały się głosy krytykujące celowość podtrzymywania, osłabiającego dynamizm i wiarygodność głoszonych haseł, poro-

zumienia z narodowcami. Wskazywano na dysonans między społecznymi postulatami Polski Walczącej a realiami konspiracyjnych struktur, zwłaszcza Delegatury, wciąż na wielu odcinkach „trzymanych przez siły wsteczne". „Przy zetknięciu się z wieloma działaniami oficjalnego aparatu trudno obronić się przed wrażeniem, że duch tam panujący daleko odbiega od wymogów naszej epoki. Raz po raz, to na tym, to na innym odcinku ujawniają się nawet tendencje sprzeczne z [...] treścią publikowanych deklaracyj" – alarmował oficjalny organ prasowy PPS-WRN.

Podobne głosy dobiegały także z najwyższych szczebli podziemia. Zastępca Delegata Rządu na Kraj z ramienia SL, Adam Bień, w wewnętrznym, obszernym i bardzo gorzkim dla własnego stronnictwa memoriale sugerował konieczność odrzucenia fikcyjnej współpracy z różnego rodzaju „endekami i endekoidami". Wskazywał, że poza hamowaniem podziemia w kwestiach społeczno-gospodarczych, właściwie uniemożliwia ona rozwiązanie palących problemów natury politycznej, takich jak porozumienie z mniejszościami narodowymi czy kwestia przyszłych granic.

Jako przeciwwagę proponował zacieśnienie związków z PPS-WRN, utworzoną niedawno przez szereg mniejszych ugrupowań lewicowych Centralizacją Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych (Centralizacja), a nawet lewicą piłsudczykowską. „Stawiam znowu niedyskretne pytanie. Z kim byłoby nam łatwiej dogadać się na temat przebudowy ustroju rolnego? Z Endekami czy z Poniatowskim? [Juliusz Poniatowski, minister rolnictwa zabiegający przed wojną o przyspieszenie reformy rolnej – red.]" – pytał retorycznie, krytykując antypiłsudczykowski dogmatyzm własnego ruchu. Domagając się odcięcia od prawicy i już jednoznacznego przewartościowania linii Polski Podziemnej w duchu lewicowo-demokratycznym, konstatował: „Wolimy [...] płynąć bezwolnie z prądem płytkiej ideologicznej łatwizny, aby nie być posądzonym o zapłaconą zdradę na rzecz tego, czy innego wroga [...]. Ten stan nieodwołalnie musi się skończyć".

Uderzająco zbieżny w ocenach był w tym czasie płk Jan Rzepecki, w ramach Komendy Głównej AK odpowiadający za newralgiczny obszar propagandy i informacji. Późniejszy współzałożyciel i pierwszy prezes Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" w tajnym, utrzymanym w emocjonalnym tonie i krytycznym wobec „zasady świętej zgody narodowej" memoriale do dowódcy podziemnej armii pisał: „Jeśli zasada Jedności Narodowej bankrutuje i daje w wyniku tylko marazm, zacofanie i niezdolność do skutecznej walki, to trzeba wyrzucić zasadę na szmelc [...]. Natarciu obcej agentury – PPR [komunistyczna Polska Partia Robotnicza – red.] – trzeba przeciwstawić zwarty front polskiej lewicy w składzie PPS, SL i »Centralizacji«. [...] Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że rewoltę pepeerowską mogą rozbić tylko lewicowe masowe ruchy społeczne, a nie mięczakowate mieszczaństwo lub synkowie rodzin nawet o wspaniałych rycerskich tradycjach [sam, co ciekawe, był synem znanej działaczki endeckiej, Izy Moszczeńskiej – red.]". Podziemnej armii Rzepecki postulował nadać wyraźny charakter rewolucyjno-powstańczy. W odniesieniu do środowisk, które nie uznałyby przywódczej roli bloku ludowo-socjalistycznego, pisał: „Bóg z nimi – niech obrażone idą »ścieżką obok drogi«".

„MASY LUDU POLSKIEGO WALCZĄ". 63 DNI III RP

Do przełomu jednak nie doszło. Mimo krytyki podjętego kierunku narodowcy pozostali na dotychczasowej platformie. W obliczu zagrożenia sowieckiego koncepcja „jedności narodowej" wszystkim jawiła się jako najbardziej wymowny fundament polskiego sprzeciwu. Niemniej, znaczenie lewicy w podziemnym państwie rosło. Gdy latem 1944 r. do RJN zdecydowano się dokooptować przedstawicieli trzech kolejnych ugrupowań, poza katolicko-narodową, ale autonomiczną wobec głównego ugrupowania prawicy wielkopolską Organizacją „Ojczyzna", dwa kolejne miejsca zajęły radykalne społecznie Zjednoczenie Demokratyczne oraz Chłopska Organizacja „Racławice".

Jeszcze zanim do tego doszło, dowodzący podziemną armią gen. Tadeusz Bór-Komorowski – sam, co nie bez znaczenia, związany ze sferami ziemiańskimi – depeszował do Londynu: „Duże przesunięcie światopoglądów na lewo. Silna radykalizacja, zwłaszcza wśród chłopów i uboższej inteligencji. Niemal powszechne żądanie kontroli społeczeństwa nad życiem gospodarczym, likwidacji skupie-

nia dóbr w rękach prywatnych ponad określone minimum i uprzywilejowania jednostek lub grup społecznych. Władza, która by próbowała zahamować ten proces, naraziłaby Kraj na ciężkie wstrząsy". Nie była to jedyna tego typu wiadomość odebrana przez Londyn w gorących tygodniach. Tuż przed wybuchem powstania komendant AK zaapelował o zgodę rządu na natychmiastowe wydanie przez konspiracyjną Krajową Radę Ministrów stosownych aktów prawnych.

Tak też się stało. Jednymi z pierwszych, ogłoszonych jeszcze na łamach drukowanego tajnie Dziennika Ustaw, posunięć wychodzącej na powierzchnię Polski Podziemnej było przejęcie – na potrzeby reformy rolnej – wszystkich majątków przekraczających 50 ha oraz wprowadzenie instytucji zakładowych rad robotniczych, mających współzarządzać przedsiębiorstwami. Zgodnie z zapowiedziami rozbudowano również struktury samorządu, znacznie poszerzając przy tym ich niezależność od władz centralnych.

1 sierpnia 1944 r. Warszawa stanęła do walki. Choć stołecznych barykad bronili ludzie różnych wyborów ideowych, witającą powstanie odezwę, opublikowaną po pierwszych dniach starć w oficjalnych organach walczącego o zachowanie podmiotowości państwa, kończyła charakterystyczna deklaracja: „Masy ludu polskiego – chłopów, robotników i inteligencji, walczą o Polskę demokratyczną, Polskę Sprawiedliwości Społecznej, Polskę ludzi pracy. Niech żyje Polska Niepodległa! [Podpisano:] Delegat Rządu na Kraj – Wicepremier Rządu Rzeczpospolitej; Przewodniczący Rady Jedności Narodowej; Dowódca Armii Krajowej".

* * *

Niestety. Zasięg ogłoszonych w tragicznym sierpniu posunięć w praktyce ograniczył się do wyzwolonych przez powstańców dzielnic stolicy. Dla jakiejkolwiek koncepcji niepodległego państwa polskiego ówczesny układ sił był bowiem bezwzględny. Główna rola w przełomowym i powszechnie wyczekiwanym procesie przypaść miała nie czołowym ugrupowaniom polskiej lewicy, ale dysponującym patronatem Kremla komunistom.

Ci ostatni zrobili wiele, by okraść tradycję Polskiego Państwa Podziemnego z postulatów głębokiej demokratyzacji i przebudowy społecznej. Dziś są one marginalizowane, a niekiedy wręcz wymazywane w imię fałszywie rozumianego antykomunizmu. Chcąc poważnie traktować tamto dziedzictwo, powinniśmy o nich pamiętać. Na sztandarach Polski Walczącej hasło niepodległości, choć kluczowe, nie było bowiem jedynym.

Bartosz Wójcik

stały współpracownik czasopisma idei „Pressje" oraz portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

O co walczy naród polski?

Jak przyszłą, ostatecznie nigdy nie zrealizowaną, Polskę Ludową wyobrażały sobie elity Polskiego Państwa Podziemnego? Publikujemy dokument programowy dla projektu alternatywnej polskiej nowoczesności.

15 marca 1944 roku podziemna Rada Jedności Narodowej ogłosiła poniższą deklarację:

Naród Polski pierwszy w tej wojnie chwycił za broń przeciwko agresji niemieckiej i trwa niezłomnie w tej walce od r. 1939 w zespole wielkich swych sojuszników. Zwycięstwo okupowane codziennie strumieniami polskiej krwi i niezmiernymi cierpieniami najszerszych mas społecznych — zbliża się. Dla ostatecznego jego osiągnięcia potrzebne są dalsze ofiarne, powszechne wysiłki całego narodu; wysiłkom tym towarzyszyć musi pełna świadomość celów tej walki, dla których ponosimy najcięższe w naszych dziejach ofiary.

Program polskich celów obecnej wojny tkwi głęboko w sercach wszystkich Polaków; wywodzi się on z naszych wielowiekowych tradycji narodowych oraz ze zrozumienia roli polskiej w rodzinie wolnych ludów Europy i świata. Dwa są główne kanony tego programu:

a) wolność, całość, suwerenność, siła i bezpieczeństwo oraz zdrowy rozwój wewnętrzny Rzeczypospolitej;

b) trwały pokój międzynarodowy, sprawiedliwość międzynarodowa, zgodna współpraca wszystkich narodów dla powszechnego dobra całej ludzkości.

Wychodząc z powyższych założeń naczelnych, wola Narodu Polskiego reprezentowanego przez legalne

władze państwowe w Londynie, tzn. przez Prezydenta Rzeczypospolitej, Rząd Polski oraz Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych, w kraju zaś skupionego przy Pełnomocniku na Kraj — Wicepremierze Rządu Rzeczypospolitej i Komendancie Armii Krajowej, a politycznie wyrażającego swą wolę w warunkach okupacji w Radzie Jedności Narodowej, formułuje następujące zasadnicze cele wojny.

WARUNKI TRWAŁEGO POKOJU

Cierpienia całej ludzkości, spowodowane przez tę wojnę, wymagają poczynienia skutecznych kroków natury między narodowo-politycznej, które by zapewniły światu trwały i rzeczywisty pokój. W tym celu niezbędne jest nie tylko bezkompromisowe i całkowite pokonanie państw napastniczych, w pierwszym rzędzie Niemiec, lecz i całkowite, wszechstronne rozbrojenie Niemiec na polu militarnym, gospodarczym, politycznym i społecznym.

Niemcom muszą być odebrane bazy strategiczne wypadowe. Na Zachodzie i Wschodzie oraz na Bałtyku musi być zlikwidowany niemiecki przemysł zbrojeniowy, umiędzynarodowione porty morskie i żegluga. Trzeba zniszczyć ducha pruskiego i hitlerowskiego w tym narodzie, rozczłonkować Rzeszę Niemiecką, poddać kontroli międzynarodowej wychowanie młodzieży i wszelkie przejawy życia zbiorowego celem niedopuszczenia do powstania w Niemczech szowinistycznych tendencji do odwetu i nowej agresji.

Surowe ukaranie wszystkich przestępców wojennych oraz zmuszenie Niemiec do odbudowy zniszczonych przez nie krajów winno na długie lata budzić w społeczeństwie niemieckim lęk przed prowokowaniem konfliktów wojennych. Pycha i samolubstwo niemieckie, brutalność ich i egoizm muszą być zniweczone i wytępione doszczętnie. Polska jako kraj bezpośrednio narażony na agresje i okrucieństwa winna mieć należyty głos i udział w kontroli Niemiec.

Pozytywnym działaniem na rzecz trwałego pokoju powinna się zająć nowa międzynarodowa organizacja politycznego współżycia narodów, oparta na zasadach demokratycznych, wyposażona w realną siłę wykonawczą, gwarantującą posłuch dla jej nakazów. Podstawą tej organizacji winno być rzeczywiste równouprawnienie mniejszych narodów i dopuszczenie ich do współdecydowania o przyszłym ustroju i stosunkach międzynarodowych. Dalszym istotnym i zasadniczym warunkiem dla zapewnienia Europie trwałego pokoju jest niedopuszczenie do czyjejkolwiek hegemonii w Europie środkowej i południowo-wschodniej.

Jedną z najważniejszych dróg prowadzących ku temu jest łączenie się państw tej części Europy w związki federacyjne. Od początku tej wojny Polska stała się wśród państw sprzymierzonych pionierem idei dobrowolnego związania się ze sobą państw w celu zapewnienia swobodnego rozwoju politycznego, kulturalnego i gospodarczego, w szczególności zaś w celu zastąpienia separatyzmu politycznego przez współdziałanie oraz w celu wspólnego zorganizowania wzajemnego bezpieczeństwa. Wszelkie te związki oraz powszechne współżycie międzynarodowe winny być trwale oparte na zasadach etyki chrześcijańskiej przy potępieniu wszystkiego, co operuje siłą, podstępem, demagogią lub fałszem publicznym.

Odrodzone państwo polskie opierać będzie swą politykę zagraniczną na ścisłym sojuszu z Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, Francją oraz Turcją i na ścisłej współpracy z innymi krajami sprzymierzonymi. Na tych samych zasadach Polska pragnie oprzeć swoje stosunki z sąsiadem wschodnim — Unią Sowiecką — pod warunkiem uznania z jego strony integralności przedwojennego terytorium Rzeczypospolitej oraz zasad nieingerowania w sprawy wewnętrzne.

GRANICE PAŃSTWA POLSKIEGO

Zgodnie zarówno z uzasadnionymi prawami dziejowymi i interesami Polski, jako też zgodnie z warunkami trwałego pokoju w Europie, winno państwo uzyskać odpowiednie ramy terytorialne.

Do Rzeczypospolitej winny być więc włączone całe Prusy Wschodnie, zniemczone siłą i podstępem, odwieczny port dorzecza Wisły Gdańsk, przylegający do dawnej granicy Polski klin pomorski pomiędzy Bałtykiem i ujściem Odry a Notecią, ziemie między Notecią i Wartą, wreszcie Śląsk Opolski z odpowiednim

pasem bezpieczeństwa. Na terenach tych powinno nastąpić niezwłocznie zabezpieczenie w sposób trwały interesów Polski. Na całej Odrze i w portach nadodrzańskich winny być trwale zabezpieczone żywotne, gospodarcze interesy Polski. Szeroki pas ziem położonych na zachód od nowej granicy Polski winien być poddany długotrwałej okupacji polskiej. Granica polsko-czeska powinna być uregulowana w zgodnym porozumieniu między Polską i Czechosłowacją na podstawie układu z dnia 5 X 1918 r. zawartego między ówczesną Polską Radą Narodową dla Księstwa Cieszyńskiego a Czeskim Narodnim Vyborem Pro Slezsko.

Na wschodzie Polski utrzymana być musi granica polska ustalona w traktacie ryskim. Wzajemne stosunki Polski i Litwy winny być oparte na zasadach jak najbliższego współżycia i współdziałania, przy uwzględnieniu aspiracji narodu litewskiego do niepodległego bytu. Naród polski widzi w tym podstawowy warunek wzajemnego bezpieczeństwa i wszechstronnego rozwoju gospodarczego.

USTRÓJ POLITYCZNY RZECZYPOSPOLITEJ

Odrodzona Rzeczpospolita, nawiązując do swoich dawnych tradycji oraz zgodnie z ideałami demokratycznymi, oprze swój ustrój na systemie demokracji parlamentarnej przy działaniu silnych rządów. W możliwie najrychlejszym czasie zostaną przeprowadzone wybory do parlamentu na podstawie nowej, demokratycznej ordynacji wyborczej. Parlament ten dokona zmiany konstytucji, która sformułuje zasady wszechstronnej wolności obywatelskiej, swobody religii, sumienia, przekonań politycznych, słowa, druku, zgromadzeń i stowarzyszeń oraz zasady równości praw obywatelskich przy równości obowiązków i niezależności wymiaru sprawiedliwości.

Organizacja władzy wykonawczej zostanie oparta zostanie na zasadzie:

a) decentralizacji wielu funkcji administracyjnych i przekazania maksimum funkcji administracji państwowej szeroko rozbudowanym organom samorządu terytorialnego, gospodarczego i zawodowego;

b) zasadzie praworządności na wszystkich szczeblach i odpowiedzialności wobec prawa.

Zbrojnym ramieniem Rzeczpospolitej będzie Armia Narodowa, stojąca poza polityką i poświęcona zadaniom zewnętrznego bezpieczeństwa Państwa i Narodu, Armia, przesiąknięta duchem demokratycznym, otoczona miłością i zaufaniem całego społeczeństwa.

Tymi drogami Rzeczpospolita dążyć będzie do przeniknięcia całego polskiego życia publicznego duchem prawdziwej wolności i prawdziwej demokracji. Najszersze warstwy społeczeństwa – zgodnie ze swoimi potrzebami i zgodnie ze swoją wolą – rządzić będą swoimi losami poprzez organy państwowe, podlegające ich stałej i rzeczywistej kontroli.

STOSUNEK DO INNYCH NARODOWOŚCI

Naród Polski mieć będzie na względzie w całej pełni interesy innych narodów mieszkających na terenie państwa. Wymagając od nich lojalności i wierności w stosunku do Państwa Polskiego i życzliwego stosunku do praw i interesów Narodu Polskiego, Polska oprze swój stosunek do tych narodowości na zasadzie równouprawnienia politycznego oraz zapewnienia im warunków pełnego rozwoju kulturalnego, gospodarczego i społecznego w ramach jedności państwowej i wspólnego dobra wszystkich obywateli.

PRZEBUDOWA STRUKTURY SPOŁECZNO-GOSPODARCZEJ

Dążąc do podniesienia potencjału gospodarczego Polski i usunięcia krzywdzących dysproporcji socjalnych, odrodzone Państwo Polskie przystąpi do gruntownej odbudowy struktury życia gospodarczego, która by uczyniła zadość interesom szerokich mas ludu wiejskiego i miejskiego. W tym zakresie upowszechnienie własności, tj. rozszerzenie jej na możliwie największą liczbę jednostek gospodarujących, będzie najważniejszym zadaniem państwa.

Drugim zadaniem państwa będzie podniesienie dochodu społecznego i sprawiedliwy jego podział. Państwo obejmuje funkcje kierownicze i kontrolne w gospodarce, celem zapewnienia realizacji planu

gospodarczego Polski. Państwo będzie miało prawo przejmowania lub uspołeczniania przedsiębiorstw użyteczności publicznej oraz kluczowych przemysłów, a także aparatu transportu oraz wszelkich instytucji finansowych — w wypadku, gdy tego będą wymagały potrzeby ogólne.

W okresie przejściowym będą przejęte pod zarząd państwowy przy udziale czynnika społecznego przedsiębiorstwa przemysłowe zarządzane podczas okupacji przez Niemców, jak również wszelka własność poniemiecka i bezpańska. Przyszły parlament zdecyduje, czy przejęcie ziemi oraz przedsiębiorstw przez państwo nastąpi za odszkodowaniem, czy bez odszkodowania.

GOSPODARKA PLANOWA

Gospodarstwo narodowe polskie we wszystkich jego dziedzinach, a więc w rolnictwie, w produkcji surowców i przemyśle przetwórczym, rzemiośle i handlu oraz w finansach publicznych i prywatnych, będzie prowadzone według zasad gospodarki planowej, przy czym uwzględnione będą następujące cele i zasady podstawowe:

a) szybka odbudowa warsztatów pracy zniszczonych podczas wojny;

b) planowa rozbudowa przemysłów opartych na krajowych surowcach kopalnianych, rolniczych, leśnych, obok rozbudowy przemysłu, służącego celom obronności państwa;

c) pełne zatrudnienie wszystkich stojących do dyspozycji sił roboczych i właściwe ich użycie;

d) wyrównanie poziomu gospodarczego Polski z państwami zachodu Europy w drodze celowych inwestycji publicznych i prywatnych.

Własność prywatna traktowana będzie nie jako nieograniczony niczym przywilej osobisty, lecz jako podstawa do pełnienia zleconych funkcji społecznych i państwowych.

Planowa szybka rozbudowa przemysłu w Polsce związana będzie z energiczną akcją Państwa Polskiego w kierunku uzyskania dla Polski należytego udziału w obrotach wymiany międzynarodowej, a zwłaszcza w obrocie surowcami światowymi.

PRZEBUDOWA USTROJU ROLNEGO

W milionowych masach chłopskich widzimy niespożytą siłą przyszłości i źródło energii narodowej. Polska, jako kraj o przewadze elementu rolniczego, musi zwrócić szczególną uwagę na rozwiązanie zagadnienia zdrowego i twórczego ustroju rolnego. Za podstawę poczynań w tej dziedzinie przyjęta zostanie zasada upowszechnienia własności rolnej oraz upełnorolnienie gospodarstw karłowatych. Będzie więc niezwłocznie podjęta szeroka akcja przebudowy ustroju rolnego, oparta na następujących zasadach:

a) Państwo przejmie natychmiast po wojnie – na planowe zabezpieczenie przebudowy ustroju rolnego – wszelkie prywatne obszary ziemi przekraczające 50 ha;

b) Z zapasów ziemi będą tworzone jednorodzinne gospodarstwa chłopskie od wielkości od 8 do 15 ha w zależności od gleby, uprawy i położenia, dające możność pracy racjonalnej, wydajnej i zaspokajającej potrzeby rodziny;

c) Do tych norm zostaną powiększone gospodarstwa karłowate;

d) Lasy zostaną upaństwowione;

e) Państwo otoczy specjalną opieką całokształt gospodarki rolnej celem podniesienia produkcji i spożycia wsi oraz celem ułatwienia wymiany płodów pracy rolniczej. Wieś otrzyma wszelkie możliwe pomoce pośrednie w postaci dróg, regulacji rzek, melioracji, elektryfikacji, budowy elewatorów, rozwoju sieci spółdzielni, wreszcie w formie należytej oświaty zawodowej.

Ta część ludności wiejskiej, która nie znajdzie zatrudnienia na wsi, będzie miała zapewnione masowe przeszkolenie fachowe i zostanie skierowana do pracy w przemyśle, rzemiośle, spółdzielczości, handlu i komunikacji.

Tymi drogami Państwo Polskie zmierzać będzie do likwidacji objawów biedy wiejskiej i upośledzenia społecznego wsi oraz do podniesienia gospodarczego i kulturalnego milionowych rzesz ludności wiejskiej, stwarzając w ten sposób warunki dla ogólnego podniesienia poziomu społeczno-gospodarczego całego kraju.

UPOWSZECHNIENIE WŁASNOŚCI W MIASTACH

Celem przebudowy struktury gospodarczej stworzone zostaną warunki, aby pracownik umysłowy i fizyczny – obok gwarancji znalezienia odpowiedniej i należycie honorowanej pracy – mógł uczestniczyć w akcji upowszechnienia własności. Dla realizacji tego celu nastąpi:

a) poparcie przez Państwo prywatnej inicjatywy gospodarczej przy zakładaniu nowych, gospodarczo zdrowych warsztatów przemysłowych, rzemieślniczych i handlowych typu średniego i małego;

b) poparcie przez Państwo akcji udoskonalania pracy w drobnych warsztatach istniejących;

c) szeroka akcja budowalna po miastach i miasteczkach, mająca na celu zapewnienie ludności pracującej własnych mieszkań, gwarantujących kulturalne i zdrowie warunki mieszkaniowe;

d) krzewienie idei spółdzielczej i pomoc w organizowaniu spółdzielczości.

POLITYKA SPOŁECZNA

Celem polityki społecznej będzie pełne wyzwolenie człowieka pracy, jej zadaniem – takie kształtowanie społecznych warunków, aby jego wola, chęć i zamiłowanie do pracy oraz, co za tym idzie, możliwość ujawnienia swych wartości stale się potęgowały. Człowiek poczuje się wolnym od troski o pracę, o środki utrzymania, będzie mógł rozwijać się w obranym kierunku działalności. Pozbędzie się tak niszczących go dotychczas uczuć życiowej niepewności i zbędności; drogi do awansu społecznego staną przed nim otwarte. Praca będzie jego życiowym zadaniem, funkcją społeczną, prawem i obowiązkiem.

Człowiek, jego stan fizyczny i duchowy, jego kwalifikacje wysuną się na czoło spraw społecznych. Praca sam nie będzie towarem, człowiek pracy uzyska należną mu godność, wyzwoli się z jarzma najmictwa. Zależność pracownika będzie tylko sprawą organizacji, wynikającej z podziału pracy, przestanie zaś być przejawem władzy człowieka nad człowiekiem. Stopniowo zatrą się różnice między pracą samodzielną a zależną, sprowadzą się do różnic w kwalifikacjach. Sztuczny przedział między pracą fizyczną a umysłową zostanie zarzucony, praca wykwalifikowana będzie specjalnie honorowana; zapewniona zostanie możność przechodzenia od pracy mniej do więcej kwalifikowanej. Prace przykre i ciężkie będą w miarę możliwości tak organizowane, by rozkładały się swym ciężarem na wszystkich.

Zorganizowany w związkach zawodowych i samorządzie pracy, pracownik będzie uczestniczył w planowaniu społecznym i gospodarczym, w nadzorze i kontroli życia gospodarczego, w kontroli nad podziałem dochodu społecznego. Przez powołanie rad zakładowych jego życie i praca w zakładzie pracy staną się pełniejsze. Wzmocnienie reglamentacji w zbiorowym prawie pracy doprowadzi do zobiektywizowania płac, więc zapobiegnie nieuzasadnionym ich przerostom. Upowszechnienie ubezpieczeń społecznych i pomocy leczniczej oraz urealnienie opieki społecznej, zwłaszcza w zakresie pomocy rodzinie oraz opieki nad matką i dzieckiem, dopełnią system urządzeń , zabezpieczających człowiekowi pracy wolność od niedostatku.

W okresie przejściowym – po zrzuceniu okupacji – polityka społeczna szczególny nacisk położy na regenerację sił biologicznych najszerszych warstw ludności i na ich pełne zatrudnienie. Pomoc lecznicza, pomoc i opieka nad powracającymi do kraju lub do swych siedzib, pomoc i opieka nad ofiarami terroru okupanta, zaopatrzenie w żywność i odzież, zapewnienie dachu nad głową i skierowanie do pracy, to najpilniejsze zadania tego okresu. Szczególnym zaś zadaniem będzie roztoczenie opieki nad dzieckiem i młodzieżą oraz pomoc rodzinie, zwłaszcza licznej, w jej dążeniach do wyrównania zniszczeń fizycznych, duchowych i moralnych, jakich doznała młodzież podczas tej wojny.

ODBUDOWA I ROZBUDOWA KULTURY I SZKOLNICTWA

Do naczelnych zadań odrodzonego Państwa Polskiego należeć będzie usunięcie wiekowych zaniedbań w dziedzinie kultury i oświaty najszerszych mas społeczeństwa, spowodowanych przez niewolę, a pogłębionych przez rządy okupacyjne. Akcja Państwa Polskiego obejmie w tym zakresie następujące działania:

a) szybką i szeroką odbudowę sieci szkolnictwa powszechnego, zawodowego, średniego i wyższego, udostępnienie go młodzieży wszystkich warstw społecznych i zapewnienie bezpłatnego kształcenia niezamożnym;

b) szeroką pomoc dla kształcącej się młodzieży, umożliwiającą zdobywanie jej wiedzy bez względu na zamożność i środowisko, w szczególności zdobywanie wykształcenia zdolnej młodzieży ze sfer chłopskich i robotniczych, gwarantującego jej równy start życiowy;

c) szeroką akcję oświaty pozaszkolnej;

d) zapewnienie warunków w najwyższym stopniu sprzyjających szybkiemu i samodzielnemu rozwojowi wszystkich gałęzi i dziedzin kultury, nauki sztuki tak barbarzyńsko zniszczonych przez okupanta;

e) uspołecznienie i jak najszersze upowszechnienie kultury, zapewniające wszystkim obywatelom Państwa korzystanie z dóbr duchowym Narodu Polskiego i całej ludzkości;

f) utworzenie samorządu kulturalno-oświatowego, celem zmobilizowania sił społecznych dla realizowania powyżej nakreślonych zadań.

***

Podane powyżej zasady dotyczą tylko spraw najgłówniejszych: ich celem jest pokazanie drogi, po której pójdzie w przyszłości Naród Polski.

Dokonanie tego olbrzymiego dzieła będzie możliwe tylko wtedy, kiedy Polska uzyska należne jej ramy terytorialne, kiedy będzie silna i mocna. Tymczasem okres walki jeszcze trwa. Nie skończyła się ona jeszcze z odwiecznym wrogiem z Zachodu, gdy wschodni nasz sąsiad, nie zważając na wielki wkład Polski do walki Demokracji świata o wolność, nie zważając na czteroletnią bez przerwy walkę Polski z krwawym okupantem – sięga po odwieczne polskie Ziemie Wschodnie Rzeczpospolitej i chce narzucić Polsce swe wzory rządzenia.

Naród Polski jest zjednoczony w stanowczym przeciwstawieniu się tym niesłychanym uroszczeniom wschodniego sąsiada tak, jak zjednoczony jest w walce z wrogiem zachodnim.

Naród Polski wierzy głęboko w zwycięstwo prawa i sprawiedliwości i zdecydowanie odrzuca wszelką myśl ustępstw terytorialnych na Wschodzie.

Naród Polski, zjednoczony w umiłowaniu wolności i w dążeniu do niepodległości, przeciwstawia się również jednomyślnie i zdecydowanie wszystkim próbom narzucania nam wzoru rządzenia ze Wschodu.

Odrębność naszą w zestawieniu z rosyjskim wschodem i germańskim barbarzyństwem cechuje tysiącletnia tradycja wolności i kultura chrześcijańska. Nasz obecny hart ducha ma swe źródło również w tysiącletniej tradycji walk w obronie wolności i kultury Zachodu Europy.

Czekają nas jeszcze dni ciężkich prób i ofiar; w tym okresie musimy zachować: jedność i karność, wiarę we własne siły, wiarę w słuszność naszej sprawy i wiarę w naszą świetlaną przyszłość.

Rada Jedności Narodowej

Warszawa, dnia 15 marca 1944 r.

Mazowiecki i Olszewski. Premierzy z Polski Ludowej

Piotr Trudnowski

Trudno o wymowniejszy symbol zawiłości polskich powojennych losów oraz paradoksów naszej polityczności niż stosunek liberałów do Tadeusza Mazowieckiego i konserwatystów do Jana Olszewskiego. Ścieżki, którymi dochodzili do premierowskich stanowisk nie mieszczą się w głównym nurcie zbiorowej wyobraźni o życiu Polaków w Polsce Ludowej.

REALISTYCZNA ALTERNATYWA DLA WYKLĘTYCH

Chyba przegapiliśmy już moment, w którym publiczna celebracja tragicznego doświadczenia Żołnierzy Wyklętych była jedynym uprawnionym sposobem przywracania pamięci bohaterów i oddawaniem im dziejowej sprawiedliwości. Po „upaństwowieniu" kultu Wyklętych za rządów Prawa i Sprawiedliwości zaczął on wspierać również konstruowanie po części fantastycznego, a więc szkodliwego dla zbiorowej pamięci, mitu. Ma rację Piotr Kaszczyszyn, który konsekwentnie w swoich tekstach przekonuje, że opowieść o chłopcach i dziewczętach, którzy poszli do lasu, jest jedynie wycinkiem opowieści o powojennej Polsce. To zaledwie jedna z – i w praktyce marginalna – ścieżka życia, na jaką decydowano się w komunistycznej Polsce. Tymczasem takich ścieżek było więcej, a wybór losu innego niż tragiczna decyzja o „pójściu do lasu" zwykle okazywał się dla Polski dużo bardziej brzemienny w historycznych skutkach.

Niedawna śmierć premiera Jana Olszewskiego przywróciła w zbiorowej pamięci również te nieco mniej znane fragmenty jego biografii. Cechą charakterystyczną życiorysu Olszewskiego w Polsce Ludowej była konsekwentna chęć prowadzenia „działalności naziemnej" – z tego powodu zaangażował się w powojenny ruch ludowy, z tego samego powodu wybrał adwokaturę i również z tego powodu wreszcie, by móc działać z otwartą przyłbicą, angażował się w życie opozycyjne przede wszystkim jako obrońca w procesach politycznych.

Dosłownie kilka dni przed śmiercią twórcy Ruchu Odbudowy Polski z ust Andrzeja Dudy padła zaskakująca deklaracja. Przy okazji wywiadu z okazji 30. rocznicy rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu prezydent powiedział, że jest zwolennikiem postawienia w Warszawie pomnika Tadeusza Mazowieckiego. Parę tygodni później umiarkowanie pozytywnie o tym pomyśle wypowiedział się – tu chyba jeszcze większe zaskoczenie – sam Jarosław Kaczyński. Przypomniał przy okazji, że przyłożył do uczynienia Mazowieckiego premierem „rękę, jeżeli nie obie ręce".

Biografie obu premierów czasu przełomu – choć w ostatnich tygodniach doceniane „ponad podziałami" – nie wpisują się w sposób myślenia o życiu Polaków w Polsce Ludowej, jaki umacniany jest przez naszą politykę symboliczną, historyczną czy kulturalną.

Rekonstruując ich życiorysy można choćby uznać, że los Mazowieckiego w komunistycznej Polsce to wręcz jawna kontra wobec postawy Wyklętych, a wybory Olszewskiego – wyrazista wobec nich alternatywa. Jednocześnie ich równoległe i przecinające się wielokrotnie życiorysy to arcyciekawa, trudna i prawdziwa opowieść o nocy komunizmu – jakże inna od tej, którą karmi nas dzisiaj turbopatriotyczna propaganda…

OD ZNISZCZENIA PLURALIZMU DO JEGO ODBUDOWY

Nie jest to czas i miejsce, by kreślić szczegółowe biografie obu premierów. Warto jednak wspomnieć przynajmniej kilka intrygujących momentów i motywów – podobieństw i różnic – w ich życiorysach.

Tadeusz Mazowiecki urodził się w Płocku w 1927 r. w rodzinie aktywnie zaangażowanego w katolicką działalność społeczną lekarza o poglądach – przynajmniej według niektórych źródeł – jednoznacznie prawicowych. Olszewski przyszedł na świat trzy lata później w Warszawie, w rodzinie kolejarzy zaangażowanych w działalność Polskiej Partii Socjalistycznej, spokrewnionej blisko z samym Stefanem Okrzeją.

Ich losy po raz pierwszy mogły się skrzyżować na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie obaj trafili w końcówce lat 40. Mazowiecki rozpoczął studia trzy lata wcześniej niż Olszewski i ich nie ukończył. Angażował się za to w uniwersytecką działalność charytatywną (katolickie Caritas Academica) i wydawniczą (przewodniczył Akademickiej Spółdzielni Wydawniczej). Olszewski studia rozpoczął w 1949 r., gdy Mazowiecki był jeszcze aktywny w życiu uniwersyteckim.

Nim jednak obaj trafili na studia, jeszcze jako nastolatkowie, szukali partyjnej afiliacji, wierząc najpewniej, że w odbudowywanej po wojnie Polsce będzie dopuszczona jakaś doza pluralizmu politycznego. Spotkało ich bolesne rozczarowanie.

W 1946 r. Olszewski wstępuje do cieszącego się po wojnie masowym poparciem i szerokim aktywem mikołajczykowskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego, zaś Mazowiecki – do niszowego, chadeckiego Stronnictwa Pracy. Sfałszowane wybory, rozwiązanie zinfiltrowanego przez agentów Urzędu Bezpieczeństwa SP oraz prześladowania działaczy ludowych, a następnie rozbicie PSL – to znów historia w polskim wyobrażeniu o czasach powojennych niemal nieobecna, a niezwykle ważna i wstrząsająca. Dla „premierów przełomu" musiało to być w jakimś sensie doświadczeniem formującym.

Być może tutaj szukać można zrozumienia dla faktu, że obaj pół wieku później sceptycznie podchodzili do ustaleń Okrągłego Stołu, które do startu w wyborach dopuszczały właściwie jedynie jedną z opozycyjnych „koterii". Właśnie z tego powodu Mazowiecki odmówił startu w wyborach kontraktowych, opowiadając się za koncepcją większego pluralizmu lansowaną wówczas przez innego kontestatora „historycznego porozumienia", czyli Aleksandra Halla. Olszewski zaś nie chciał początkowo uczestniczyć w samych obradach – namówił go do tego ostatecznie Adam Strzembosz – a w wynegocjowanych przy Okrągłym Stole wyborach również nie wziął aktywnego udziału.

CZY TO JUŻ KOLABORACJA?

Wróćmy do czasów powojennych. Pierwszą pracę po studiach Olszewski znajduje w komunistycznym, by nie powiedzieć stalinowskim – kieruje nim nieprzerwanie od 1945 aż do 1956 r. Henryk Świątkowski – Ministerstwie Sprawiedliwości. Dopiero w 1954 r. Olszewski trafił do budzącego mniejsze etyczne wątpliwości Zakładu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Mazowiecki działa już wówczas w Stowarzyszeniu PAX – koncesjonowanym środowisku katolików, kierowanym przez Bolesława Piaseckiego, przywódcę przedwojennego Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga".

Z perspektywy dzisiejszej polskiej polityki historycznej nie sposób, analizując równoległe żywoty dwóch „premierów czasu przełomu", nie wspomnieć o ich stosunku do podziemia antykomunistycznego. Obaj patrzyli na nie z dużym krytycyzmem, choć Olszewski z bliska obserwował tragiczne wybory swoich przyjaciół, a Mazowiecki – z dystansu piętnował je publicznie.

Poglądy Olszewskiego wobec decyzji o „pójściu do lasu" oraz jego osobiste losy w tym kontekście przypomina Piotr Zaremba. Kilka tygodni temu poświęcił temu zagadnieniu wstrząsający szkic *Jana Olszewskiego przyjaciele z lat młodości. Wyklęci, torturowani, zamordowani, złamani*, który przeczytać można (i zdecydowanie należy!) na łamach Tygodnika TVP.

OLSZEWSKI: „TRZEBA ZATAMOWAĆ WYLEW POLSKIEJ KRWI"

W największym skrócie: przypadek sprawił, że najbliżsi przyjaciele Olszewskiego, z którymi epizodycznie (ze względu na bardzo młody wiek) angażował się w Szarych Szeregach, a później razem działali jako nastolatkowie w powojennym ruchu ludowym, wybrali antykomunistyczną partyzantkę, a Olszewski – pozostał w Warszawie.

Oddajmy na moment głos Zarembie: „Oto w październiku 1947 roku grupa około 20 licealistów i gimnazjalistów, głównie z praskiego koła młodzieżowego PSL znalazła się przypadkiem w budynku centrali Stronnictwa w Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Nie wiedzieli, że Stanisław Mikołajczyk zbiegł właśnie z Polski, nie wtajemniczając w to nawet większości najbliższych współpracowników. Spodziewał się aresztowania. A oni poszli do partyjnej centrali na wykład działaczki PSL Barbary Matus. Olszewskiego z nimi nie było – znów przez przypadek. Ponieważ prokomunistyczna grupa ludowców Czesława Wycecha i Kazimierza Banacha chciała ten budynek natychmiast zająć, członkowie mikołajczykowskiego kierownictwa PSL poprosili, aby chłopcy go bronili. Więc najpierw w nocy z 26 na 27 października odparli w walce na kije i drągi szturm pijanej bojówki. Ale potem przyjechało UB. Uczniów pobito, zatrzymano (…) Wyrzuceni ze szkół, wzywani na UB, pozbawieni w jednej chwili życiowych perspektyw, spotykali się w mieszkaniach lub w świetlicy harcerskiej w liceum Lisa-Kuli. Zastanawiali się co dalej. Próbowali organizować coś na kształt konspiracji – o zabarwieniu narodowym". W marcu 1948 r. grupa zdecydowała się na partyzantkę i wyjechała z Warszawy „do lasu", by dołączyć

do jednego z oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych. Co istotne i szczególnie dramatyczne – działo się to w chwili, gdy widać już było coraz wyraźniej, że wojskowy opór antykomunistycznego podziemia skazany jest na porażkę i traci wsparcie również ludności cywilnej. Liderem grupy był Jan Braun – od 1946 r. agent komunistycznej bezpieki, który według raportów ubeków, idąc do lasu, „urwał się". Ostatecznie jednak w 1948 r. skontaktował się z przełożonymi, a grupę ukrywającą się we wsi w okolicach Mińska Mazowieckiego – rozbito.

Pięć osób zginęło w trakcie akcji UB, pozostałych – aresztowano, torturowano, ostatecznie wydano wyroki śmierci. Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski, a wyrok wykonano na Józefie Łukaszewiczu, najbliższym przyjacielu Olszewskiego (z którym dzielił szkolną ławkę!), ich koledze z klasy Edwardzie Marosiku oraz Czesławie Gałązce. Gdy mężczyzn tracono, mieli po 19-20 lat.

Dlaczego Olszewski nie poszedł z nimi do lasu? Najpewniej z dwóch powodów. Po pierwsze, przez nieobecność w czasie pacyfikacji siedziby PSL jego sytuacja w Warszawie nie była tak bezalternatywna („Ja nie znalazłem się w budynku PSL tamtego feralnego październikowego dnia. Nie wiem, jak bym postąpił, gdybym był na jego, na ich miejscu. To przerażająca władza trafu, ślepego losu" – mówił po latach Zarembie). Po drugie, chociaż spotykał się z przyjaciółmi, gdy konspirowali jeszcze w stolicy, wizja wojskowego oporu go zwyczajnie nie przekonywała.

„Ja czytałem takie książki jak *Sprawy Polaków* Edmunda Osmańczyka. Przemawiał do mnie argument, że trzeba zatamować wylew polskiej krwi. Ważny był też moment. I ja i oni, uważaliśmy, że trzecia wojna światowa musi wybuchnąć. Ale ja sądziłem, że wybuchnie jeszcze nie teraz, a rola Polski w zwycięstwie Zachodu nie będzie pierwszorzędna. Dlatego mówiłem, że trzeba czekać, przetrzymać represje" – wspominał w rozmowie z autorem powieści *Zgliszcza* Olszewski.

MAZOWIECKI: „STRASZLIWE, NIEBEZPIECZNE NARAŻANIE MŁODYCH LUDZI"

Stosunek Tadeusza Mazowieckiego do podziemia komunistycznego był dużo trudniejszy do usprawiedliwienia. Ma on w swoim życiorysie wstydliwy epizod dołączenia do propagandowej nagonki na antykomunistyczne podziemie. W 1952 r. – a więc trzy lata po tym, jak szkolnych kolegów Olszewskiego stracono – opublikował wraz z Zygmuntem Przetakiewiczem, przedwojennym falangistą i powojennym PAX-owcem oraz kilkoma innymi autorami z kręgów koncesjonowanej opinii katolickiej, broszurę *Wróg pozostał ten sam*.

Autorzy jednoznacznie krytycznie oceniali wszelkie przejawy „reakcji" – od wojskowej partyzantki, przez „dających wiarę Głosowi Ameryki i BBC, tym wszystkim niezdecydowanym i apolitycznym" aż po rząd londyński – wskazując, że wchodzą „na pochyłą drogę zdrady". „Rozeznać wyraźnie to niebezpieczeństwo, ujawnić jego obce źródła, obcą Polsce i wrogą postępowi społecznemu treść i – mocno, po męsku się im przeciwstawić – jest sprawą naszej wspólnej odpowiedzialności" – podsumowuje Mazowiecki w otwierającym broszurę eseju.

Szkic ten jednak zaczyna się od wspomnienia, które każe spojrzeć na stanowisko Mazowieckiego nieco inaczej, niż – jak chcą dziś jednoznacznie go potępiający – tylko jako koniunkturalne uczestnictwo w komunistycznej propagandzie.

„Miało to miejsce gdzieś koło początku roku 1946. Na wsi, w odległości kilku kilometrów od jednego z niewielkich miast powiatowych, znaleziono ciało zabitego 17-letniego chłopca. Ustalono później, że chłopiec ten, należąc do organizacji konspiracyjnej, został zabity przez swoich kolegów. Wydano na niego wyrok śmierci dlatego, że zrozumiawszy bezsens i szkodliwość konspiracji, chciał powrócić do życia" – pisał dwudziestopięcioletni późniejszy premier.

Po latach i na kilka miesięcy przed śmiercią, gdy Sławomir Cenckiewicz opowie historię PAX-owskiej publikacji późniejszego premiera szerokiej publice, Mazowiecki, tłumacząc się z ówczesnych postaw, przyzna, że uważa to zaangażowanie za błąd. „Wiele razy mówiłem, że popełniałem w młodości błędy jako dwudziestoparoletni człowiek, publicysta Słowa Powszechnego. W 1955 r. zerwałem z tym (...). Jeżeli chodzi o krytykowanie podziemia wtedy, mogę tylko powiedzieć, że uważałem już w tych latach 50.,

że to jest straszliwe, niebezpieczne narażanie młodych ludzi (...) Z mojej klasy zginął człowiek, to było narażanie właściwie beznadziejne. (...) I w 1956 r. w *Po prostu* i później wielokrotnie nie taiłem tego. Mam nadzieję, że coś w życiu innego też zrobiłem, co umożliwia też pisanie o moich błędach" – powie w rozmowie z Moniką Olejnik.

Paradoksalnie więc – choć różne w formie ekspresji i u Mazowieckiego jednoznacznie budzące odruch krytyki – poglądy obu premierów wobec podziemia były dość podobne. Obaj oceniali, że wiara w rychły wybuch trzeciej wojny światowej to niebezpieczna mrzonka, która kosztowała życie setki ich rówolatków, a osobiście – szkolnych kolegów.

Na marginesie wspomnieć trzeba jeszcze inną wstydliwą kartę życiorysu Mazowieckiego – artykuł z roku 1953, w którym potępiał biskupa Czesława Kaczmarka, również osobiście mu znanego między innymi z przedwojennych wizyt w jego rodzinnym domu. Tę historię z dużą dawką empatii dla jednoznacznie błędnego wyboru twórcy swojego środowiska, ale i należną krytyką, na łamach „Więzi" celnie podsumował przed kilkoma laty Zbigniew Nosowski.

POSZUKUJĄC „ENKLAW WOLNOŚCI"

Najtragiczniejsze wybory Mazowieckiego i Olszewskiego to właśnie ten czas powojenny. Warto im chyba było poświęcić więcej uwagi i refleksji, kiedy w wyobraźni historycznej brakuje namysłu nad innymi wyborami niż decyzja o dołączeniu do zbrojnego podziemia. Niemniej – dopiero później losy przyszłych premierów zaczęły się splatać bardziej bezpośrednio. Po najczarniejszych latach stalinizmu obaj konsekwentnie szukali bowiem w Polsce Ludowej przestrzeni wolnej myśli, trafiając do kolejnych, tych samych często środowisk.

I tak „jasne" publicystyczne karty obu polityków pojawiają się na łamach „odwilżowego" pisma „Po prostu". W 1956 r. Mazowiecki jest na jego łamach współautorem *Listu otwartego do Redaktora Naczelnego „Słowa Powszechnego"* i tekstu *Wielkie sprzeniewierzenie*, w których wraz z innymi frondystami z PAX-u Piaseckiego tłumaczy się z błędnych wyborów w organizacji twórcy Falangi. W tym samym roku Olszewski na łamach pisma współtworzy – zresztą wraz z Walerym Namiotkiewiczem, późniejszym osobistym sekretarzem Gomułki oraz z PRL-owskim dziennikarzem, członkiem PZPR i kontaktem operacyjnym SB Jerzym Ambroziewiczem – wezwanie *Na spotkanie ludziom z AK*, w którym nawołują do rehabilitacji żołnierzy Armii Krajowej.

W redakcji „Po prostu" gromadzi się wówczas absolutnie niesłychana i niewyobrażalna z dzisiejszej perspektywy galeria postaci i autorów. Dość wspomnieć, że kierownikiem działu politycznego pisma w czasie, gdy swoje tak ważne teksty publikują dwaj późniejsi premierzy wolnej Polski, jest nie kto inny jak... Jerzy Urban.

W podobnych „enklawach" Olszewski i Mazowiecki spotykają się jeszcze wielokrotnie. Gdy Mazowiecki współtworzy i wchodzi do zarządu Klub Inteligencji Katolickiej, Olszewski współzarządza Klubem Krzywego Koła. Relacje między oboma środowiskami z pewnością istnieją, a pewnie bywają nawet intensywne. Panowie bywają na spotkaniach obu środowisk.

Po rozwiązaniu „wolnomyślicielskiego" kręgu dyskusyjnego Olszewski trafia do masonerii, który to epizod z perspektywy lat raczej bagatelizuje. W latach 60. zaczyna działalność adwokacką i staje się obrońcą w głośnych procesach politycznych. Wybiera ten zawód najpewniej właśnie ze względu na pewną przestrzeń sprawczości i niezależności w Polsce Ludowej. W tym samym czasie przez dekadę Mazowiecki też szuka kompromisu między sprawczością a niezależnością, choć znów w sposób z perspektywy czasu budzący wątpliwości – jest trzykrotnie wybierany posłem na komunistyczny Sejm jako przedstawiciel katolickiej grupy „Znak".

W połowie lat 70. obaj już podpisują głośne listy przeciwko zmianom w PRL-owskiej konstytucji. Od 1976 r. współpracują w środowisku Polskiego Podziemia Niepodległościowego, pierwszej organizacji opozycyjnej deklarującej otwarcie, że jej celem politycznym jest właśnie pełna polska niepodległość...

NARODOWY SERIAL, KTÓREGO NIE BĘDZIE

Współpraca z KOR, wspieranie powstającej „Solidarności", stan wojenny, lata 80. – to już nieco lepiej znane i „oswojone", choć też coraz częściej wypierane z głównego nurtu opowieści o polskim oporze wobec komunizmu, fragmenty biografii obu premierów. Później przychodzi okres transformacji, wspomniana i zaskakująco – z perspektywy wyborów w III RP – podobna ocena politycznych ustaleń Okrągłego Stołu i krytyczny stosunek do wyborów 4 czerwca 1989 roku. Wreszcie – czas „wojny na górze" i „nocnej zmiany"…

Żywoty Mazowieckiego i Olszewskiego, dwóch polskich patriotów czasów tragicznych i trudnych wyborów, toczyły się paralelnie i przecinały ze sobą w fascynujący sposób. Ostatecznie obaj stali się na swój sposób „pierwszymi premierami"; jeden – pierwszym niekomunistycznym, a drugi – pierwszym premierem wybranym przez Sejm pochodzący z demokratycznych wyborów. Aż prosi się, by spróbować opowiedzieć tę historię „od A do Z", w sposób pełny, literacki, dramatyczny.

W ich biografiach skupiona jest przecież jak w soczewce historia polskiego XX wieku – z tłem w postaci ich domów rodzinnych przesiąkniętych różnymi polskimi tradycjami, doświadczeniem II wojny światowej, młodzieńczymi wyborami lat powojennych i traumą śmierci szkolnych przyjaciół, szukaniem enklaw wolności w PRL, stopniowym dochodzeniem do coraz odważniejszych postaw opozycyjnych. Wreszcie – z nimbem architektów III RP i ikonami – pomimo tak wielu podobnych kart w biografiach – zwaśnionych plemion jej późniejszych lat. To historia prawdziwa, bo z jej wszystkimi odcieniami – osobistych cnót i wad, heroizmów i błędnych wyborów, sukcesów i porażek, które tak łatwo oceniamy zgodnie z plemienną przynależnością z perspektywy wiedzy, którą mamy dziś.

Kilka lat temu wyobrażałbym sobie, że w czasach rządów antykomunistycznej prawicy ktoś mógłby spróbować pokusić się o jej opowiedzenie. Ot, choćby tworząc ambitny i nowoczesny serial realizowany przez Telewizję Publiczną, który prezentując przez choćby kilka sezonów losy „dwóch premierów", opowiedzieć mógłby o polskim zwycięstwie nad komunizmem jako zwycięstwie wynikłym ze spotkania się różnych tradycji i wysiłków bardzo różnych osób pracujących wspólnie dla polskiej niepodległości. O zwycięstwie, do którego droga wiodła również przez próby „normalizacji", uczestnictwo w oficjalnym życiu Polski Ludowej i osobiste błędy.

Wyobrażałbym sobie, że rządzona przez prawicę Telewizja Publiczna mogłaby zlecić opracowanie takiego scenariusza choćby Piotrowi Zarembie i Romanowi Graczykowi (autorowi jednej z biografii Mazowieckiego). Wyobrażałbym sobie, że taka produkcja mogłaby być żywym przykładem „prowadzenia polityki historycznej nie nożyczkami, lecz igła i nitką", jak postulujemy w środowisku Klubu Jagiellońskiego.

Nie umniejszając w niczym roli Żołnierzy Wyklętych, można by przy tej okazji opowiedzieć nieznaną dziś historię o prześladowaniach tych, którzy w Polsce Ludowej wybierali inną drogę kontestacji komunizmu, choćby przez próbę zaangażowania w stronnictwa chadeckie. Poświęcając nieco uwagi formacyjnym dla obu polityków wyborom ich kolegów, można byłoby wspomnieć również o tych aspektach życia w powojennej Polsce, które mogły przecież uwodzić zarówno niepodległościowca-socjalistę z warszawskiej rodziny kolejarskiej, jak i zafascynowanego „postępem społecznym" katolika z Płocka – choćby o dokonującym się awansie cywilizacyjnym i przełamaniu szeregu niesprawiedliwości, które obaj bohaterowie mogli jeszcze pamiętać z II RP…

Wreszcie – taki serial byłby znakomitą okazją do pokazania (na przestrzeni kolejnych, długich sezonów) ewolucji dziesiątek drugoplanowych postaci, które w większości po raz pierwszy ujrzelibyśmy w redakcji „Po prostu" albo na spotkaniach Klubu Krzywego Koła, a później – spotykalibyśmy w przełomowych chwilach historii PRL, a wielokrotnie też po różnych, wcale nieoczywistych, stronach barykad III RP…

Wyobrażałbym sobie, że taka opowieść może być właśnie wspólnym „pomnikiem" obu premierów – chyba potrzebnym naszej wspólnocie bardziej niż pomniki rozłączne. Taki niematerialny „pomnik" mógłby być dużo bardziej przydatny dla zrozumienia komunizmu, postkomunizmu i polskich sporów. Także tych najbardziej współczesnych.

Spiżowe pomniki obu premierów pewnie w końcu powstaną. Zamiast skłaniać do refleksji nad arcypolskim „półwieczem" będą raczej po prostu gromadzić u swych stóp odrębne gremia, by w końcu stać się dla kolejnych pokoleń obce, bo niezrozumiałe. Niesłusznie.

Piotr Trudnowski

stały współpracownik czasopisma idei „Pressje", redaktor portalu opinii klubjagiellonski.pl. Prezes Klubu Jagiellońskiego.

Zapomniana Rzeczpospolita Wielkopolska

Grzegorz Jazdon

W okresie od 8 stycznia do 12 sierpnia 1919 roku na terenie zaboru pruskiego istniało równolegle drugie państwo polskie. Na jego czele stała Naczelna Rada Ludowa, a twórcami były polskie elity narodowe. Na krótko przed oficjalnym włączeniem Wielkopolski do II Rzeczpospolitej Polacy z zaboru pruskiego stworzyli w swojej dzielnicy prawdziwie nowoczesne państwo, wyprzedzając Sejm Ustawodawczy RP w przyznaniu praw wyborczych kobietom.

WIELKOPOLANIE BIORĄ NARODOWE SPRAWY W SWOJE RĘCE

Wkrótce po wybuchu Wielkiej Wojny zawiązał się w Poznaniu tajny Komitet Obywatelski, zwany też Kołem Towarzyskim. W jego skład weszli polscy posłowie do sejmu Prus i parlamentu Rzeszy, przywódcy najważniejszych wielkopolskich stowarzyszeń i redaktorzy niektórych gazet. Środowisko to było powiązane z Narodową Demokracją. W styczniu 1916 r. poszerzono jego skład m.in. o przedstawicieli Pomorza i Śląska, tworząc Międzypartyjny Komitet Obywatelski. Nawiązano kontakt z Warszawą i Krakowem, zaś jeden z działaczy MKO, Marian Seyda, został wysłany jako przedstawiciel do Centralnej Agencji Polskiej w Lozannie, a następnie wszedł w skład Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. W lipcu 1918 r., po kolejnym rozszerzeniu składu, Komitet zmienił nazwę na Centralny Komitet Obywatelski, z którego inicjatywy w wielu

powiatach zaboru pruskiego powstały powiatowe komitety obywatelskie.

Tuż po wybuchu rewolucji listopadowej w Niemczech, 11 listopada 1918 r., Komitet ujawnił się pod nazwą Tymczasowej Naczelnej Rady Ludowej, a wybranemu następnego dnia Tymczasowemu Komisariatowi powierzono wykonywanie jej czynności do momentu powołania stałej Rady. Komisarzami zostali: ks. Stanisław Adamski, patron Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych (gromadzącego polskie spółki kredytowe), prezes rady nadzorczej Drukarni i Księgarni Świętego Wojciecha, późniejszy biskup katowicki; Wojciech Korfanty, pochodzący ze Śląska poseł do parlamentu niemieckiego, a w przyszłości m.in. prezes Stronnictwa Pracy; Adam Poszwiński, redaktor wydawanego w Inowrocławiu „Dziennika Kujawskiego" i członek rady głównej tajnej Ligi Narodowej.

Trzeba pamiętać, że w tym samym czasie, na fali niemieckiej rewolucji listopadowej, na obszarach zamieszkałych przez Polaków zaczęły powstawać liczne rady robotnicze, chłopskie i żołnierskie, których skład był często mieszany lub wręcz w przeważającej części niemiecki. Ze względu na ich rewolucyjny charakter, często sprzyjały one interesom polskim, jak stało się w przypadku Poznania, gdzie 12 listopada polsko-niemiecki Wydział Wykonawczy Rady Robotniczej i Żołnierskiej odwołał niemieckiego nadburmistrza Poznania, Ernsta Wilmsa, którego zastąpił polski adwokat, Jarogniew Drwęski. Poprzez rady żołnierskie Polacy uzyskiwali też pewien wgląd w funkcjonowanie wojska niemieckiego. W Poznaniu działacze związani z Polską Organizacją Wojskową Zaboru Pruskiego za pośrednictwem Rady Robotników i Żołnierzy przejęli kontrolę nad tworzeniem kompanii Służby Straży i Bezpieczeństwa, oddziałów o charakterze porządkowym, pozostających na żołdzie niemieckim. Z drugiej jednak strony, w wielu innych miejscowościach, jak na przykład w Bydgoszczy, zmajoryzowane przez Niemców rady stały się ośrodkiem zwalczania polskich dążeń.

Działacze polscy skupieni wokół Tymczasowej Naczelnej Rady Ludowej, poszukując legitymizacji podjętych działań, odwołali się do autorytetu osób mających wyborczy mandat społeczności lokalnej, czyli posłów zrzeszonych w Kołach Polskich w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim. To właśnie oni, w manifeście opublikowanym w poznańskiej prasie 15 listopada, poinformowali oficjalnie o powstaniu nowych organów władzy: „Doniosłość chwili wymaga skupienia wszystkich sił narodowych i podziału brzemienia odpowiedzialności na koła najszersze. Przyszła Polska ludowa będzie i ludem tylko stać może. Dlatego powstają za zgoda naszą Rady Ludowe zogniskowane w Naczelnej Radzie Ludowej. Ich rozkazów każdy Polak bezwzględnie słuchać powinien".

SEJM DZIELNICOWY NICZYM... SPÓŁKA HANDLOWA

Działając na tej podstawie, Tymczasowy Komisariat zwołał na 3 grudnia Polski Sejm Dzielnicowy, którego zadaniami były wybór Naczelnej Rady Ludowej, jako zwierzchniej władzy Polaków „aż do chwili objęcia dzielnic naszych przez Rząd Polski", określenie zasad jej działalności oraz potwierdzenie polskich żądań narodowych. Jednocześnie Komisariat nakazał, by istniejące w poszczególnych powiatach komitety obywatelskie ujawniły się pod nazwą powiatowych rad ludowych. Ich ostateczny skład miał zostać zatwierdzony podczas wieców wyborczych, podczas których wybierano delegatów na Polski Sejm Dzielnicowy. Z kolei powiatowe rady ludowe miały nadzorować wybory do gminnych (czyli wiejskich) i miejskich rad ludowych.

Zadaniem wszystkich tych organów było reprezentowanie polskiej ludności i czuwanie nad utrzymaniem ładu, porządku oraz bezpieczeństwa publicznego. Zalecano im także współdziałanie z radami żołnierzy i robotników oraz uzupełnienie ich składów o polskich przedstawicieli. Nie odżegnywano się przy tym od współpracy z dotychczasowymi władzami. Powierzono im też troskę o żołnierzy, wracających z wojska albo przemieszczających się przez obszar ich działalności, jak również nakazano zająć się „wracającymi rodakami zakordonowymi".

Przeprowadzenie wyborów, w porozumieniu z Polskim Centralnym Komitetem Wyborczym, zlecono polskim komitetom wyborczym, działającym w po-

szczególnych prowincjach Niemiec. Oparto się więc na strukturze dobrze znanej Polakom mieszkającym w Cesarstwie, ponieważ od wielu lat komitety te odpowiadały za samoorganizację polskich środowisk w trakcie różnego rodzaju wyborów.

Co najistotniejsze, bierne i czynne prawa wyborcze uzyskali wszyscy Polacy, bez różnicy płci, którzy ukończyli 20. rok życia i zamieszkiwali „na ziemiach, objętych dotąd granicami państwa niemieckiego". Wiemy, że Prowincjonalny Komitet Wyborczy na Wielkie Księstwo Poznańskie, precyzując zasady przeprowadzenia wyborów na podległym sobie obszarze zarządził, by jeden delegat przypadał na 2500 polskich mieszkańców, a jednocześnie zlecił powiatowym komitetom wyborczym przygotowanie list kandydatów. Co najmniej połowa kandydatów miała reprezentować „stan włościański i robotniczy wiejski i miejski".

Wybory do Sejmu Dzielnicowego odbyły się pomiędzy 16 listopada a 1 grudnia, przy czym często miały one formę wiecu, na którym zatwierdzano wcześniej ustalone listy kandydatów. Niemniej znane są sytuacje, gdy zebrani na wiecach wyborczych dokonywali zmian w przedstawionych listach delegatów. Według ustaleń historyków, wybrano łącznie 1399 posłów, w tym: 526 z Wielkopolski, 431 ze Śląska, 262 z Pomorza Gdańskiego, 133 z terenów położonych w głębi Niemiec (głównie Nadrenia, Westfalia i Hesja), 47 z Warmii i Mazur. Ostatecznie na obrady dotarło ok. 1100 delegatów. Wśród wybranych przedstawicieli znalazło się co najmniej 75 księży katolickich i 129 kobiet. Oznacza to, że polskie kobiety mieszkające w Niemczech uzyskały i zrealizowały swoje prawa wyborcze szybciej od mieszkanek terenów objętych kontrolą rządu warszawskiego, gdzie odpowiedni dekret ogłoszono 28 listopada 1918 r., a wybory przeprowadzono 10 lutego 1919 r.

Plany przeprowadzenia Polskiego Sejmu Dzielnicowego nie uszły uwadze strony niemieckiej. Trzeba jednak pamiętać, że w ówczesnej sytuacji wewnętrznej Rada Pełnomocników Ludowych, czyli niemiecki rząd, nie była w stanie uniemożliwić jego zwołania. Co więcej, Wielkopolanie dysponowali środkiem nacisku, jakim była groźba wstrzymania dostaw żywności do Berlina. Podczas negocjacji, prowadzonych 19 listopada w Poznaniu i 29 listopada w stolicy, przedstawiciele Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej zadeklarowali, iż Sejm nie będzie stosował metody faktów dokonanych i nie zadeklaruje oderwania ziem polskich od Niemiec.

Było to skądinąd zgodne z linią polityczną środowisk skupionych w Tymczasowej Naczelnej Radzie Ludowej, które powołując się na trzynasty punkt programu prezydenta Wilsona stały na stanowisku, iż polskie tereny państwa niemieckiego odzyskają niepodległość dzięki ustaleniom konferencji pokojowej. Obawiano się wręcz, że ewentualna akcja zbrojna może zostać odebrana przez strony obradujące w Paryżu jako próba wymuszenia pewnych ustaleń. Jasna deklaracja strony polskiej stwierdzająca, że Sejm Dzielnicowy ma mieć „charakter narodowo-organizacyjny, a nie prawno-państwowy" zadecydowała o wyrażeniu zgody na jego obrady przez stronę niemiecką rządową. To oznacza, że zgromadzenie uzyskało swoistą legitymizację również na gruncie prawa niemieckiego.

Prof. Jerzy Ozdowski poszukiwał źródeł koncepcji Sejmu Dzielnicowego w tradycjach Polski przedrozbiorowej, zaś prof. Andrzej Gulczyński uważa, że nawiązywano do sejmików oświatowych i gospodarczych, które za zgodą zaborcy odbywały się w Wielkopolsce. Wydaje się jednak, że opisując samoorganizację Polaków w Niemczech należy zwrócić uwagę na inną koncepcję tego drugiego badacza, zgodnie z którą polscy działacze nawiązywali przede wszystkim do świetnie sobie znanej organizacji spółek akcyjnych. W takim wypadku rolę członków stowarzyszenia pełniliby wszyscy Polacy mieszkający na terenie Rzeszy, funkcję zebrania delegatów spełniałby Sejm Dzielnicowy, radą nadzorczą byłaby Naczelna Rada Ludowa, a zarządem spółki – Komisariat. Zważywszy na kluczową rolę, jaką w opisywanych wydarzeniach odgrywał znany działacz spółdzielczy, patron Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, ks. Stanisław Adamski, koncepcja prof. Gulczyńskiego wydaje się mieć silne podstawy.

Wydział Wykonawczy Rady Ludowej na miasto Poznań wydał 29 listopada odezwę do polskiej lud-

ności stolicy Wielkopolski, regulującą życie miasta w czasie trwania obrad Sejmu. To kolejny dowód na realną władzę, jaką posiadały już wówczas polskie środowiska polityczne, wyrastającą z ich społecznego autorytetu. We wspomnianej odezwie nie tylko apelowano o ozdobienie domów symbolami narodowymi i okazanie gościnności, ale nakazywano wypełnianie poleceń Straży Ludowej, paramilitarnej organizacji porządkowej, istniejącej od paru tygodni. Miał to być obywatelski obowiązek, dowodzący dojrzałości społeczeństwa: „Wykażmy, że jesteśmy karni, że umiemy podporządkować się tym władzom, któreśmy sami sobie obrali, a sprawimy, że całość wypadnie po myśli naszej, jak sami zamierzyliśmy z góry". Wzywano również polskie przedsiębiorstwa, by zwolniły pracowników „w dniu 3 grudnia w godzinach od 7 rano do 2 po południu", w celu umożliwienia im włączenia się w działania Straży Ludowej lub wznoszenia modlitw „za pomyślność Polski i owocność obrad sejmowych". Do klientów apelowano z kolei o wstrzymanie się od zakupów i załatwiania swoich interesów we wspomnianych godzinach.

Jak się wydaje, zalecenia te zostały faktycznie przez poznaniaków uszanowane, dzięki czemu dni obrad Sejmu Dzielnicowego, czyli od 3 do 5 grudnia, miały w Poznaniu charakter polskiego święta. Szczególnie silne wrażenie musiał wywrzeć na obserwatorach przemarsz delegatów ulicami miasta, którzy po Mszy sprawowanej przez arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, Edmunda Dalbora (często tytułowanego Prymasem) z fary poznańskiej, udali się do sali obrad plenarnych.

„A W TYM ZAMĘCIE ZABÓR NASZ STANĄŁ JAKO WYSPA, KTÓREJ Z JEDNEJ STRONY GROZI ZALEW NIEMIECKI, A Z DRUGIEJ STRONY FALA NIEZGODY I ZAMĘTU"

Zgodnie z porządkiem obrad, ogłoszonym już 25 listopada przez Komisariat, każdego dnia Sejmu odbywało się posiedzenie plenarne, a wciągu dwóch pierwszych dni także posiedzenia w komisjach, których zdaniem było wypracowanie stanowiska, będącego podstawą do podjęcia uchwał sejmowych. Już sam zakres tematów, które wyznaczono komisjom, wskazuje, iż przywódcy zgromadzenia chcieli poruszać nie tylko tematy związane z powstaniem Naczelnej Rady Ludowej czy sytuacją w zaborze niemieckim. Obok komisji organizacyjnej i komisji rugów wyborczych, odpowiadających za przebieg Sejmu, powstały komisje: polityczna, do naglących spraw społecznych i robotniczych, do spraw administracji i publicznego bezpieczeństwa oraz do spraw oświaty i szkolnictwa.

Zanim delegaci zajęli się konkretnymi zagadnieniami w komisjach, wysłuchali sprawozdań komisarzy z dotychczasowej działalności. Referaty te nie tylko przedstawiały okoliczności powstania Tymczasowego Komisariatu i strukturę jego wydziałów, ale też prezentowały program polityczny przywódców polskich, ukierunkowując dalsze poczynania Sejmu Dzielnicowego.

Ks. Adamski zaznaczył w swoim przemówieniu, iż tworzone w zaborze niemieckim instytucje polityczne mają mieć charakter przejściowy, ale jednocześnie powinny obejmować swym działaniem całokształt polskich spraw. Podkreślił także, że Komisariatowi zależało na demokratycznych i „ludowych" podstawach polityki, tak „ażeby szerokie warstwy kół robotniczych i włościańskich oraz kobiety, przy tworzeniu władzy wybitny i należny miały udział". W polityce zewnętrznej przyjmowano konieczność oczekiwania na ustalenia kongresu pokojowego co do kształtu polskiej granicy zachodniej. Wynikało to ze świadomości słabości militarnej Polaków, jak i obaw, że ewentualny czyn zbrojny zostanie uznany za próbę stosowania polityki faktów dokonanych, co mogłoby odnieść skutek odwrotny od zamierzonego, odwracając sympatię państw Ententy od spraw polskich. Było to o tyle ważne, że ks. Adamski wyraźnie akcentował konieczność oparcia się na koalicji: „Na pomoc stąd oglądać nam się wolno i oglądać się na nią powinniśmy, gdyż pomocy nam tej potrzeba".

Komisarz Adamski przedstawił także stanowisko Naczelnej Rady Ludowej, wyłożone wcześniej podczas pertraktacji z rządem niemieckim. Strona polska deklarowała powstrzymanie się od walki zbrojnej do czasu ustaleń kongresu pokojowego; chęć zgodnego współżycia z ludnością niemiecką,

o ile ta nie należała do „nielicznej klasy urzędników i agitatorów hakatystycznych"; utrzymanie dostaw żywności w głąb Niemiec; zadbanie o spokój i bezpieczeństwo wszystkich mieszkańców, niezależnie od ich narodowości. Od strony niemieckiej oczekiwano: zgody na tworzenie polskich organizacji i przeprowadzanie wieców i zgromadzeń; prawa do kontroli urzędów i urzędników przez polskich kontrolerów; odprawienia funkcjonariuszy, którzy w poprzednim okresie prezentowali antypolskie stanowisko; spolszczenia szkół oraz nieprzysyłania do dzielnic zamieszkałych przez Polaków oddziałów Heimatschutzu, złożonych z żołnierzy pochodzących z innych obszarów.

W konkluzji swego przemówienia ksiądz Adamski przeciwstawił chęć „zgodnej i jednolitej pracy", zauważaną wśród Polaków zamieszkujących Niemcy, polaryzacji, jaką można obserwować w pozostałych częściach Polski. „A w tym zamęcie zabór nasz stanął jako wyspa, której z jednej strony grozi zalew niemiecki, a z drugiej strony fala niezgody i zamętu. Oczy wielu, bardzo wielu prawych Polaków z wszystkich stron naszej Ojczyzny zwracają się ku Wam. (...) i widzą w was ostoję i ratunek dla całej Polski, i dlatego od naszego Sejmu tak bardzo wiele zależy, nie tylko dla naszych dzielnic, ale dla całej Polski".

POLSKIE ELITY ZABORU PRUSKIEGO PATRZĄ NA RADĘ REGENCYJNĄ ORAZ RZĄDY DASZYŃSKIEGO I MORACZEWSKIEGO

Drugiego dnia obrad endecki poseł na sejm Rzeszy, Władysław Seyda, w późniejszych latach m.in. I prezes Sądu Najwyższego, wygłosił referat pt. *Pogląd na położenie polityczne Polski*. To ważny tekst, który ukazuje, w jaki sposób polskie elity z zaboru niemieckiego widziały aktualną sytuację zewnętrzną i wewnętrzną ojczyzny.

Przede wszystkim wyraził on przekonanie o ostatecznej klęsce wojennej Niemiec i niemożliwości wznowienia działań wojennych. W związku z tym podtrzymywał zdanie o spokojnym oczekiwaniu na ustalenia traktatu pokojowego, który realizując zasadę samostanowienia narodów, powinien ustalić korzystne dla Polski granice z Niemcami.

Istotniejsze treści przynosi część przemówienia dotycząca kształtującej się państwowości polskiej. Poseł Seyda jednoznacznie zauważa, że Królestwo Polskie, powołane przez państwa centralne na podstawie Aktu 5 listopada, nie było w istocie państwem polskim. Z tego też powodu neguje rolę Rady Regencyjnej jako rządu narodowego. Stwierdza więc dalej: „Historyczny rozwój rzeczy jest taki, że Rada Regencyjna swój początek wzięła od państw centralnych, że była wytworem dyplomacji państw centralnych bez woli narodu polskiego. Rada Regencyjna oddała władzę komendantowi Piłsudskiemu, a więc i jego władza nie pochodzi z woli narodu".

Mimo tak radykalnego postawienia sprawy, poselskie Koła Polskie z zaboru niemieckiego przyjęły zaproszenie Rady Regencyjnej i wysłały swoich delegatów do Warszawy celem utworzenia „trójdzielnicowego rządu narodowego". W międzyczasie jednak powołano do życia rząd Ignacego Daszyńskiego, którego szybko zastąpił Jędrzej Moraczewski. Politykom z zaboru niemieckiego zaproponowano objęcie trzech ministerstw, jednak, jak stwierdził Seyda: „Po jak najsumienniejszym zbadaniu wszystkich warunków, musieliśmy odmówić wzięcia udziału w gabinecie, gdyż nie mogliśmy uzyskać gwarancji, że polityka rządu na zewnątrz i na wewnątrz pójdzie w tym kierunku, który uważamy za konieczny dla dobra narodu".

Koła poselskie uważały bowiem, że rząd powstały w Warszawie ma charakter partyjny, lewicowy i dąży do rewolucyjnych przemian społecznych. Ich zdaniem w aktualnej sytuacji rząd powinien mieć charakter jak najszerszej koalicji oraz skupiać się na zapewnieniu ładu, stworzeniu aparatu administracyjnego i silnej armii, a ponadto opierać swe działania na współpracy z Ententą. Reformy społeczne, których konieczności nie odrzucano, powinny być wprowadzone przez sejm konstytucyjny.

WIZJA NIEPODLEGŁEJ POLSKI WEDŁUG SEJMU DZIELNICOWEGO

1. Polska robotników, chłopów i kobiet

Na podstawie dyskusji w komisjach, Sejm Dziel-

nicowy przyjął szereg uchwał, w których określał zarówno oczekiwane zasady działania dzielnicy w okresie przejściowym, jak i całej nowo powstającej Polski. Podtrzymując zdanie posłów, Sejm skierował do rządu warszawskiego i Józefa Piłsudskiego rezolucję w sprawie powołania rządu koalicyjnego. W podjętej uchwale politycznej wnoszono do państw koalicyjnych nie tylko o przywrócenie Polski w jej przedrozbiorowych granicach, ale także o przyłączenie ziem, które już wcześniej od Polski odpadły, a które zamieszkuje ludność polska.

Powoływano się tutaj zarówno na zasady prezydenta Wilsona, jak i na swoistą sprawiedliwość: „Gdyby wobec tego nie przyznano Polsce prawa do wszystkich odwiecznych siedzib ludu polskiego w różnych czasach od Polski oderwanych ziem, byłoby to nie tylko zatwierdzeniem rozbiorów, ale także uświęceniem polityki bezprawia i gwałtu, jakich się na ludności polskiej celem zupełnego wytępienia jej dopuszczano". Jednocześnie Sejm Dzielnicowy przyjął rezolucję, zgodnie z którą żądał, by nie podejmowano żadnych decyzji dotyczących dzielnic Niemiec zamieszkałych przez Polaków bez zgody i współudziału mieszkańców tych terenów.

W sprawach dotyczących wizji przyszłej Polski Sejm postulował powołanie rządu cieszącego się szerokim poparciem społecznym, który będzie prowadził politykę demokratyczną i ludową, angażując do pracy przy odbudowie państwa szerokie warstwy ludności. Podkreślono, że jednym z „koniecznych warunków zdrowego rozwoju społeczeństwa" jest przyznanie kobietom pełnych praw wyborczych, ale także ostrzegano przed szerzeniem się idei bolszewickich. W jednej z najciekawszych rezolucji, którą warto przytoczyć w całości, zadeklarowano swoistą „negatywną" zasadę pomocniczości: „Polski Sejm Dzielnicowy oświadcza się przeciwko wszechwładzy państwa w dziedzinie życia publicznego, społecznego i kulturalnego".

2. Kwestia robotnicza i ustawodawstwo socjalne

Jak wskazuje „Dziennik Polskiego Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu w 1918 r." w komisji dla naglących spraw społecznych i robotniczych toczyły się dość ożywione dyskusje, które jednak nie znalazły odzwierciedlenia w przyjętej rezolucji, bardzo ogólnie deklarującej poparcie dla działań rządu polskiego, zmierzających „do zapewnienia stanowi robotniczemu szerokich praw obywatelskich i politycznych, sprawiedliwego uregulowania czasu i warunków pracy, wydajnej opieki i pomocy społecznej dla słabych i do pracy niezdolnych, zupełnej swobody zrzeszenia się, łatwego dostępu do źródeł wiedzy i kultury, uzyskania mieszkań swobodnych i zdrowych".

Zdecydowanie bardziej konkretne ustalenia zapadły w kwestii opieki nad powracającymi z frontu żołnierzami, choć i tu miały one charakter trudnych do zrealizowania postulatów. O ile jeszcze zalecenie tworzenia biur pośrednictwa pracy czy uruchomienia prac interwencyjnych mogły zostać wprowadzone w życie, jeśli pozyskano by właściwe finansowanie, o tyle zachęta do otwierania zamkniętych w czasie wojny zakładów pracy, rozwijania istniejących i zakładania nowych przedsiębiorstw, była trudna do wyegzekwowania. Zakładano, że wiele miejsc pracy pojawi się w rolnictwie i obróbce drewna. Co ciekawe, rezolucja sejmowa zakładała, iż „należy ustanowić prawne wsparcia na brak pracy, z uwzględnieniem stosunków drożyźnianych". Chodziło tu o jakiś rodzaj zasiłku dla bezrobotnych, wypłacanego w okresie miedzy powrotem z wojska a znalezieniem pracy. Ostateczne prawne uregulowanie tej kwestii pozostawiono przyszłemu rządowi Polski.

Szeroka dyskusja dotyczyła kwestii zabezpieczeń robotniczych. Była to o tyle istotna kwestia, że środowiska niemieckie często straszyły polskich robotników utratą wypracowanych w Niemczech praw do ubezpieczeń społecznych, czyniąc z kwestii ekonomicznej środek nacisku w sprawie narodowej. Przyjęta w tym wypadku uchwała jest o tyle ciekawa, że jednoznacznie pokazuje, iż delegaci widzieli swoją rolę znacznie szerzej, niż tylko jako regulatorów tymczasowego statusu dzielnicy. W tej rezolucji podjęli wprost pewne deklaracje w imieniu państwa polskiego:

„I. Wychodząc z założenia, że ludność z powodu zmiany przynależności państwowej nie może być

poszkodowana w swych interesach materialnych, Sejm Dzielnicowy oświadcza, że państwo polskie opłacać będzie bez najmniejszych uszczupleń wszelkie renty i odszkodowania tym swoim poddanym, którzy na mocy prawodawstwa niemieckiego uprawnieni byli do ich pobierania.

II. Niezależnie od tego państwo polskie rozbudowywać będzie istniejące już ubezpieczenia socjalne w duchu odpowiadającym potrzebom ludności roboczej (...)".

Chodziło tu między innymi o wprowadzenie obowiązkowych ubezpieczeń na wypadek choroby, kalectwa, starości i bezrobocia dla gorzej zarabiających; ustanowienie zasiłków pieniężnych w przypadku choroby, uzupełniających prawo do opieki lekarskiej i środków leczniczych; wprowadzenie specjalnych ustaw chroniących kobiety w ciąży i w połogu. Organizacja ubezpieczeń społecznych powinna zdaniem delegatów opierać się na samorządzie ubezpieczonych.

3. Edukacja

Dość szczegółową wizję rozwiązania kwestii edukacyjnych przedstawiła komisja do spraw oświaty i szkolnictwa. Jeśli chodzi o kwestie aktualne, to podnoszono przede wszystkim konieczność szybkiego spolszczenia szkół, przy czym dopuszczano nauczanie niektórych przedmiotów w języku niemieckim w szkołach ponadpodstawowych, gdzie problemem mógł okazać się brak odpowiedniej polskojęzycznej kadry.

O wiele więcej miejsca poświęcono w rezolucjach pożądanemu systemowi szkolnemu w powstającej Polsce. Jednym z podstawowych postulatów delegatów było oparcie go na szkołach wyznaniowych. Nie chodziło tu o placówki tworzone bezpośrednio przez dane związki wyznaniowe, lecz o szkoły, w których nauczyciele i uczniowie są jednego wyznania i narodowości. Uważano, że niemiecka szkoła międzywyznaniowa wyrządziła szkody duchowe i wychowawcze młodym ludziom, dlatego opowiadano się za szkołą o ściśle określonym profilu. Oczywiście naukę religii pozostawiano władzom odnośnych wyznań.

Opowiadano się za tym, by państwo polskie wprowadziło obowiązek szkolny dla dzieci w wieku od 7 do 14 roku życia. Oczekiwano, że państwo będzie zakładać bezpłatne szkoły publiczne, utrzymywane z pobieranych przez państwo podatków szkolnych. Deklarowano, iż: „Polski Sejm Dzielnicowy uznaje zgodnie z prawem przyrodzonym, że rodzice są pierwszymi i naturalnymi wychowawcami swych dzieci, że państwo nie jest jedynie uprawnionym czynnikiem wychowania, że szkoła tylko wyręcza i zastępuje rodziców we wielkim tym dziele." Stąd rodzicom miało przysługiwać prawo wyboru dowolnej placówki szkolnej i wpływania na szkołę poprzez radę rodzicielską.

Szkoły ponadpodstawowe powinny być otwarte dla wszystkich dzieci, posiadających odpowiednie zdolności, niezależnie od statusu majątkowego czy społecznego ich rodzin. Po raz kolejny wychodzono z roli zgromadzenia Polaków w Niemczech, debatujących o aktualnej swej sytuacji, gdy stwierdzano: „Zgodnie z zasadami wolności Polski Sejm Dzielnicowy zapewnia rodzicom poparcie słusznych i sprawiedliwych ich praw i to rodzicom wszystkich narodowości, należących do państwa polskiego".

Deklarowano także wparcie dla rozwoju naukowego, społecznego i ekonomicznego „stanu nauczycielskiego", powierzanie zadań inspektorów obwodów szkolnych osobom odpowiednio przygotowanym i mającym doświadczenie pedagogiczne oraz zapewnienie nauczycielom wpływu na kształt szkolnictwa.

4. Rolnictwo, emigranci, bezpieczeństwo publiczne

Ze względu na rolniczy charakter Wielkopolski, prace komisje rolniczej budziły spore zainteresowanie. Podjęte uchwały miały jednak znów charakter dość ogólny. Uchwalono, iż należy ułatwiać osiedlanie się osobom „mającym dostateczne wiadomości rolnicze i tyle zasobów pieniężnych, ile potrzeba na dostateczną wpłatę i prawidłowe gospodarzenie". Przyszłe państwo polskie powinno kierować sprawą osadnictwa, stworzyć własne instytucje służące parcelacji, umożliwić osadnikom branie kredytów i ułatwienie ich spłat, poddać kontroli prywatną parcelację i zadbać o dostateczną ilość ziemi przezna-

czonej do parcelacji. Ziemianie z zaboru niemieckiego zgłosili gotowość podporządkowania interesów stanowych interesom narodowym, gdyby brakowało ziemi do parcelacji.

Odpowiednia uchwała dotyczyła istotnej społecznie kwestii emigrantów zarobkowych. Wbrew oczekiwaniom części społeczeństwa, delegaci nie zachęcali emigrantów do natychmiastowego powrotu w rodzinne strony, choć dostrzegali liczne korzyści ekonomiczne z ich powrotu. Polecono jednak, by wydział ds. wychodźstwa zajął się organizacją i planowaniem ruchu reemigracyjnego.

W kolejnej uchwale ponownie zażądano od rządu niemieckiego natychmiastowego usunięcia urzędników występujących wrogo przeciw polskości oraz poddania kontroli działalności urzędów przez przedstawicieli polskiej ludności w tych miejscowościach, gdzie ona zamieszkiwała. Podkreślono, że „przejęcie administracji i sądownictwa w przyszłej Polsce jest jedną z rzeczy najważniejszych", dlatego oczekiwano od Polaków ofiarnego stawienia się do dyspozycji rządu polskiego.

Brzemienna w skutki okazała się rezolucja dotycząca bezpieczeństwa publicznego. Nakazano w niej tworzenie formacji Straży Ludowej w każdej miejscowości. Każdy obywatel cieszący się nieposzlakowaną opinią, mający od 18 do 50 lat miał honorowy obowiązek wstąpić do Straży Ludowej. Zalecano, by w ich tworzeniu oprzeć się na starszych żołnierzach, członkach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", skautach i członkach bractw strzeleckich. Radom ludowym pozostawiono możliwość reklamowania od służby i ustanawiania ewentualnego wynagrodzenia. Żołnierzom polskim zalecano, by wstępowali do tworzących się oddziałów służby straży i bezpieczeństwa (Wacht-, Sicherheitsdienst) lub kompanii granicznych. Już kilka tygodni później okazało się, jak istotne były to decyzje, kiedy to właśnie członkowie Straży Ludowej i Polacy z kompanii służby straży i bezpieczeństwa przystąpili jako pierwsi do Powstania Wielkopolskiego.

Jak widać z przedstawionych uchwał i rezolucji Polskiego Sejmu Dzielnicowego, delegaci na nim zebrani podejmowali zagadnienia zarówno odnoszące się do bieżącej sytuacji zaboru niemieckiego, jak i do wizji przyszłej, zjednoczonej Polski. Proponowane przez nich rozwiązania mają charakter dość nowoczesny, często nawiązujący do dobrze znanych im wzorców niemieckich. Uważano, że przyjęte w państwie polskim rozwiązania ustrojowe nie mogą być gorsze od tych, z którymi spotkali się w Rzeszy niemieckiej.

WIELKOPOLSKA POD RZĄDAMI KOMISARIATU

Najistotniejszym zadaniem powierzonym Sejmowi Dzielnicowemu był wybór Naczelnej Rady Ludowej. Komisja organizacyjna przedstawiła delegatom listę osiemdziesięciu kandydatów, na której dokonano pewnych zmian, a następnie przyjęto ją jednogłośnie w całości. Na liście znalazło się 27 osób z Wielkopolski, 13 z Prus Królewskich, 5 z Warmii i Mazur, 28 ze Śląska, 7 ze środowisk z głębi Niemiec. Co ciekawe, wybrano po dwóch zastępców z Wielkopolski, Prus Królewskich i Śląska, choć ich wybór nie był wcześniej planowany.

Zaraz po zakończeniu Sejmu odbyło się posiedzenie Naczelnej Rady Ludowej, podczas którego wybrano sześcioosobowy Komisariat. W jego skład weszli: ks. Stanisław Adamski i Władysław Seyda z Wielkopolski, Wojciech Korfanty i Józef Rymer ze Śląska, Stefan Łaszewski z Pomorza oraz Adam Poszwiński z Kujaw. Powołano do życia dwa podkomisariaty: w Gdańsku i Bytomiu, na czele których stanęli odpowiednio komisarze Łaszewski i Rymer. Jak ustalił Krzysztof Dembski, możemy potwierdzić zaledwie cztery posiedzenia Naczelnej Rady, w istocie pełnię władzy dzierżył Komisariat.

Zasady działania rad ludowych, Naczelnej Rady i jej Komisariatu, ustaliły „Ustawy politycznej organizacji Polaków zamieszkałych w dotychczasowych granicach Rzeszy Niemieckiej", uchwalone na Sejmie Dzielnicowym. W artykule pierwszym tego dokumentu umieszczono definicję, która ilustruje obraz samoświadomości wspólnoty politycznej Polaków z zaboru niemieckiego: „Polacy i Polki, przynależni państwowo do Rzeszy Niemieckiej, a czujący się członkami całego narodu polskiego, łączą się w zrzeszenie celem stworzenia dla siebie jednolitego przedstawicielstwa tymczasowego".

Odnajdujemy w niej wszystkie dobrze znane nam wątki. Z jednej strony wyraźna deklaracja charakteru narodowego organizacji i podkreślanie jedności z resztą Polski, z drugiej świadomość tymczasowego charakteru podejmowanych działań. Po trzecie dążenie do bycia „oficjalnym" głosem Polaków w Niemczech, ale też przyjęcie w tym celu formy działania, która nie miała wprost określonego charakteru politycznego. Jak stwierdził Krzysztof Dembski: „Na pozór więc ustawa przypominała bardziej statut spółki akcyjnej niż organizacji politycznej, lecz równocześnie, pod pewnymi warunkami, stwarzała nieograniczone możliwości interpretacyjne".

Dotyczyło to zwłaszcza pozycji Komisariatu. O ile bowiem w „Ustawach..." kompetencje takich organów zrzeszenia, jak Sejm Dzielnicowy i Naczelna Rada Ludowa zostały określone wyłącznie w stosunku do samej organizacji, o tyle Komisariat był „przedstawicielem i władzą wykonawczą zrzeszenia", stąd mógł też działać wobec podmiotów zewnętrznych. Wprawdzie pewne kompetencje „zewnętrzne" miały też miejscowe rady ludowe, ale ich władza była ograniczona terytorialnie, a w swym działaniu podlegały one Komisariatowi, który mógł też zlecać im pewne zadania.

Oczywiście, zastosowanie takiej formuły działania wynikało z przyjętej taktyki politycznej, która nakazywała nieakcentowanie zewnętrznych wyrazów dążeń niepodległościowych, przy jednoczesnym realnym przejmowaniu części władzy. To dokonywało się zresztą już od połowy listopada, zarówno poprzez zdobywanie wpływu na rady robotnicze i żołnierskie, jak i bezpośrednio pod szyldem rad ludowych.

„WIELKOPOLSKIE PAŃSTWO POWSTAŃCZE"

Sytuacja zmieniła się radykalnie wraz z wybuchem Powstania Wielkopolskiego. Jego spontaniczny początek i szybki rozwój spowodowały, że dopiero po kilku dniach środowiska polityczne zareagowały na nowy obraz sytuacji. Najpierw 3 stycznia 1919 r., Naczelna Rada Ludowa podczas swego plenarnego posiedzenia przyjmuje uchwałę, w której stwierdza: „Zważywszy, że wypadki dni ostatnich wykazały, iż jedynie NRL w dzielnicy naszej faktyczną posiada możność zachowania ładu i porządku oraz bezpieczeństwa życia i mienia mieszkańców bez różnicy wyznania i narodowości, NRL uchwala: Aby sprostać zadaniom chwili obecnej, konieczne jest, żeby NRL objęła władzę publiczną".

W ślad za tym, Komisariat ogłosił 8 stycznia znacznie dalej idące obwieszczenie. Ogłoszono w nim przede wszystkim, iż na skutek „wydarzeń ostatnich dni" władza i administracyjna, i wojskowa przeszła na Polaków. Stwierdzano, że ani struktury rządowe, ani rady robotnicze i żołnierskie nie są w stanie sprawować władzy, dlatego przejmuje ją Komisariat, który jednak zaznacza, że należy pozostawić „ostateczne uregulowanie sprawy polskiej konferencji pokojowej".

Dalej Komisarze stwierdzają, iż wszystkie urzędy oraz zapasy i zasoby należące do państwa przechodzą pod ich władzę i kontrolę. Wzywają urzędników do pozostawania na swoich stanowiskach, ludność do zachowania spokoju, a żołnierzy do podporządkowania się rozkazom naczelnego dowództwa i wskazanych przez niego przełożonych. Ludności niemieckiej i żydowskiej zagwarantowano bezpieczeństwo i zatwierdzono kontrolerów przy urzędach, ustanowionych przez rady robotniczo-żołnierskie. Zapowiedziano również wydawanie dalszych zarządzeń.

Fakt, iż nie określono obszaru terytorium, na którym rządzi Komisariat wskazuje na próbę utrzymania swego wpływu również poza Wielkopolską. Szybko jednak okazało się, że jego realna władza obejmuje wyłącznie obszary zajęte przez powstańców. Dość łagodne sformułowanie o przejęciu zarządu i administracji w okresie do podpisania traktatu pokojowego wskazuje na dalsze dążenie do niezaogniania relacji z rządem niemieckim, pomimo toczących się walk. Mimo wszystko jednak trzeba podkreślić, że w tym właśnie momencie Komisariat staje się de facto rządem Wielkopolski, sprawującym władzę z nadania ludności polskiej. Dopiero w nocie z 21 stycznia, skierowanej do państw Ententy w związku z próbami zawarcia rozejmu, Komisariat stwierdza wprost, że przejął pełnię władzy publicznej w swoje ręce, chcąc utrzymać ład i bezpieczeństwo na podległym mu obszarze.

Podpisanie 16 lutego 1919 r. rozejmu w Trewirze miało o tyle istotne znaczenie, że oznaczało uznanie ograniczonej podmiotowości „wielkopolskiego państwa powstańczego" na arenie międzynarodowej. Jak wyjaśniał prof. Dembski, poprzez podpisanie tego aktu Polacy z Wielkopolski nabyli status strony wojującej. Ponieważ co do istoty było to przedłużenie rozejmu w Compiègne z dodanym punktem dotyczącym Poznańskiego, wiązało się to z uznaniem wojsk powstańczych za wojska sojusznicze, a sprawującego nad nimi polityczną kontrolę Komisariatu za odpowiednik rządu. Wskazują też na to działania podejmowane przez Komisję Międzysojuszniczą – kierowaną przez ambasadora Noulensa – przysłaną do Wielkopolski, aby nadzorować przestrzeganie rozejmu. Zmierzała ona do szczegółowego uregulowania relacji pomiędzy rządem w Berlinie a Komisariatem nie tylko w kwestiach wojskowych, ale także gospodarczych, socjalnych czy politycznych.

Przede wszystkim trzeba jednak zaznaczyć, że począwszy od 8 stycznia 1919 r. Komisariat NRL działał jako organ państwowy, realnie sprawując władzę nad obszarem objętym Powstaniem Wielkopolskim. Istniały wprawdzie podkomisariaty w Bytomiu, Gdańsku i Bydgoszczy, ale w istocie były one tylko organami zrzeszenia, działającymi wyłącznie w stosunku do zainteresowanych Polaków. Pod tym względem sytuacja w Poznańskiem wyglądała zdecydowanie inaczej. Tutaj Komisariat pełnił funkcje władzy wykonawczej i ustawodawczej jednocześnie: wprowadzał własne normy prawne, uchylał dotąd obowiązujące przepisy, tworzył i znosił organy państwowe, definiując też ich właściwość terytorialną i rzeczową, mianował urzędników, a także stosował prawo łaski. W czerwcu 1919 r. w obliczu zagrożenia nowym atakiem wojsk niemieckich, Komisariat, działając w oparciu o ogłoszoną przez siebie ustawę, wprowadził stan wyjątkowy na podległym sobie obszarze.

Począwszy od rozejmu w Trewirze, przestano nawet zachowywać pozory jakiejkolwiek zależności od Berlina. Gdy wiosną 1919 r. rząd niemiecki próbował wprowadzać na terenie Wielkopolski nowo ustanawiane przez siebie przepisy administracyjne, Komisariat wprost ogłosił w swoim oficjalnym biuletynie, Tygodniku Urzędowym, że od momentu przejęcia przez niego władzy na podległym mu terenie nie obowiązują żadne przepisy wydawane przez władze Prus i Niemiec. Z kolei mocą jednego ze swych rozporządzeń przypisał sobie prawo do obsadzania wszystkich stanowisk urzędniczych. Oczywiście, wiele szczegółowych przepisów prawa obowiązywało nadal na terenie Wielkopolski, ale tylko ze względu na fakt, że poprzez uznanie ich przez Komisariat weszły do nowego porządku prawnego.

Władza Komisariatu była sprawowana kolegialnie, przez co najmniej dwóch wspólnie działających komisarzy. Każdemu z członków tego rządu podlegały pewne wydziały odpowiadające kluczowym resortom, podzielone na sekcje z przypisanymi decernentami. I tak w styczniu 1919 r. istniały: Wydział Gospodarstwa Krajowego, obejmujący sekcje finansów, aprowizacji, komunikacji oraz handlu i przemysłu; Wydział Organizacji i Propagandy podzielony na sekcje organizacji, oświaty, rolnictwa i pracy; Wydział Polityki i Wojska posiadający sekcje polityki i bezpieczeństwa publicznego; jednosekcyjny Wydział Administracji i Sądownictwa. W kolejnych miesiącach następował dalszy, bardzo intensywny rozwój tej struktury. Jedynie funkcje „ministerstwa spraw zagranicznych" od początku przekazano Komitetowi Narodowemu Polskiemu w Paryżu.

Już 9 stycznia utworzono także nowy organ centralny, Główny Urząd Żywnościowy, a następnie Urząd Rozdzielczy, gospodarujący zapasami towarów i surowców. Przejęto także niemiecką Komisję Kolonizacyjną, zmieniając jej nazwę na Urząd Osadniczy. Należy pamiętać, że Komisariatowi podlegało również Dowództwo Główne Sił Zbrojnych b. zaboru pruskiego, a także Urząd Wojskowy. Przy landratach, zarządzających powiatami, ustanowiono nieistniejący dotąd urząd starosty, któremu początkowo powierzono jedynie nadzór nad policją. Ponieważ jednak te dwa stanowiska wolno było łączyć, wkrótce tempa nabrał proces usuwania niemieckich landratów i przejmowania ich funkcji przez polskich starostów. Zasadniczo jednak struktura urzędów terenowych nie uległa zmianie, co więcej, jeszcze przez długi czas wiele stanowisk urzędniczych było obsadzanych przez Niemców.

Kiedy w marcu 1919 r. podczas negocjacji z rządem Paderewskiego, dotyczących przygotowań do zjednoczenia z resztą Polski, podnoszono tę sytuację jako zarzut względem administracji wielkopolskiej, strona poznańska miała dać do zrozumienia, że w jej przekonaniu interes ludności, jakim jest dobrze działająca administracja, przeważa nad wąsko rozumianym interesem narodowym. Dopiero 15 maja język polski stał się językiem urzędowym, choć język niemiecki mógł być nadal stosowany jako pomocniczy.

Jeśli chodzi o organy władzy lokalnej, to do końca stycznia zlikwidowano rady robotniczo-żołnierskie, natomiast wszystkie miejscowe rady ludowe pozbawiono wszystkich kompetencji władczych i pozostawiono im jedynie funkcję doradczą. Takie postawienie sprawy wynikało przede wszystkim z faktu, iż rady ludowe zostały powołane po to, by wywierać nacisk na administrację niemiecką, tymczasem ta, przejęta przez Polaków, przestała istnieć. Po drugie, w stałej sytuacji zagrożenia wojennego rady ludowe, próbujące wpływać na wywodzące się z ich terenów oddziały wojskowe, powodowały spore zamieszanie w tym newralgicznym obszarze. Jeśli chodzi o samorząd terytorialny, to szybko rozwiązano sejmik prowincjonalny, zaś Wydział Prowincjonalny uzupełniono nominowanymi przez Komisariat Polakami. Sejmiki powiatowe również uległy rozwiązaniu, zastąpione pochodzącymi z nadania starosty wydziałami powiatowymi. Z kolei na miejsce rozwiązanych rad miejskich i wiejskich wprowadzono nowe rady, wybrane w wyborach lokalnych, przeprowadzonych według nowej, ogłoszonych przez Komisariat ordynacji.

ZJEDNOCZENIE WIELKOPOLSKI Z POLSKĄ

Stosunek elit wielkopolskich do władz warszawskich podlegał w okresie po wybuchu Powstania różnorodnym przemianom. Początkowo kontynuowano krytykę rządu Moraczewskiego jako organu nieposiadającego ogólnopolskiego mandatu. Stąd na posiedzeniu Naczelnej Rady Ludowej 3 stycznia 1919 r., po którym ogłoszono przejęcie przez nią władzy w Wielkopolsce, zgłoszono propozycję nowego unormowania ustroju Polski w okresie przejściowym.

Jak relacjonował „Kurier poznański" z 5 stycznia 1919 r. „(...) postanowiono podjąć inicjatywę w kierunku utworzenia Naczelnej Rady Narodu Polskiego, któraby obejmowała wszystkie dzielnice, skupiała wszystkie stronnictwa i stała się wyrazem opinji całej Polski w sprawach polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Miałaby zadanie organu kontrolującego póty, póki nie zbierze się Sejm. Składałby się z 100 członków, z których 25 stawiałaby dzielnica nasza, 25 Galicja a 50 Królestwo" [pisownia oryginalna].

Ta propozycja, czerpiąca zapewne z doświadczeń dzielnicy pruskiej, nie spotkała się z odzewem innych środowisk, i dlatego szybko upadła. Z punktu widzenia środowisk poznańskich stała się nieaktualna po 16 stycznia 1919 r., kiedy to powstał rząd Ignacego Jana Paderewskiego, uznawany za realizację postulatu rządu prawdziwie koalicyjnego. Dano temu wyraz w specjalnym telegramie do Józefa Piłsudskiego, w którym dziękowano mu za ten „ważny krok ku konsolidacji całego narodu". W pierwszych dniach lutego 1919 r., po negocjacjach toczących się od grudnia, udało się dojść do porozumienia w sprawie udziału reprezentacji zaboru pruskiego w Sejmie Ustawodawczym. Na podstawie specjalnego dekretu Naczelnika Państwa zasiedli w nim polscy posłowie do parlamentu Rzeszy. Dopiero 1 czerwca 1919 r. przeprowadzono w Wielkopolsce wybory 42 posłów, którzy dołączyli do składu parlamentu.

Jednocześnie toczyły się dyskusje na temat przyszłego zjednoczenia byłej dzielnicy pruskiej z resztą Polski. Początkowo zdawało się, że Komisariat będzie zmierzał do jak najszybszego scalenia. Jednak po pewnym czasie ujawniły się centralizacyjne tendencje warszawskie, z którymi musiała już mierzyć się Galicja. Zaczęto krytycznie oceniać niektóre szczegółowe rozwiązania wprowadzane w Rzeczypospolitej, oceniając je jako gorsze od przyjętych w Wielkopolsce. Dlatego Komisariat zaczął opowiadać się za zachowaniem jak najdłużej odrębności dzielnicy w ramach jednego państwa, co z kolei spotkało się z negatywnym oddźwiękiem kół warszawskich, widzących w tym zagrożenie dla spoistości Polski.

Po długich pertraktacjach 1 sierpnia 1919 r. Sejm uchwalił „Ustawę o tymczasowej organizacji zarządu b. dzielnicy pruskiej", na mocy której powołano do życia Ministerstwo b. Dzielnicy Pruskiej. Jego zadaniem było przeprowadzenie stopniowego scalenia tego obszaru z resztą Polski, dlatego ministerstwo to przejęło uprawnienia Komisariatu i dokonało jego likwidacji. Urzędnicy Komisariatu przeszli do nowego urzędu, którego pierwszym ministrem został były komisarz Władysław Seyda. W ciągu dwóch lat ministerstwo zrealizowało swoje zadanie i w kwietniu 1922 r. zostało zlikwidowane.

RZECZPOSPOLITA WIELKOPOLSKA

Krzysztof Dembski w konkluzji przywoływanej tu często pracy *Wielkopolska w początkach II Rzeczpospolitej. Zagadnienia prawnoustrojowe* stwierdza, iż w okresie od 8 stycznia do 12 sierpnia 1919 r. (data wejścia w życie ustawy z 1 sierpnia) mieliśmy do czynienia z istnieniem na terenach podlegających władzy Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej drugiego państwa polskiego. Drugiego nie w znaczeniu konkurencyjności względem późniejszej II Rzeczypospolitej, lecz po prostu innego, istniejącego równolegle. Byłoby więc ono odrębną formą organizacji politycznej narodu polskiego, której zaistnienie wynikałoby po prostu ze specyficznych okoliczności społecznych, prawnych i politycznych, w jakich znalazł się zabór pruski pod koniec I Wojny Światowej.

Nawet jeżeli uznamy taką interpretację za zbyt daleko idącą, a „wielkopolskie państwo powstańcze" za twór tylko quasi-państwowy, nie sposób nie patrzeć z podziwem na dorobek polskich środowisk politycznych zaboru niemieckiego. Ich wizja państwa, wyrażona w uchwałach Sejmu Dzielnicowego, a realizowana w rządach Komisariatu, stanowiła zwieńczenie drogi do niepodległości, jaką przeszli w ciągu XIX wieku Polacy zamieszkujący obszar Rzeszy Niemieckiej. Czy po zjednoczeniu z resztą kraju wizja ta wpłynęła na kształt II Rzeczypospolitej, to już temat na inną dyskusję.

Grzegorz Jazdon

pracownik Muzeum Powstańców Wielkopolskich im. Gen. Józefa Dowbora Muśnickiego w Lusowie. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Teka Rowińskiego

Na warsztat wzięliśmy książkę *Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych*. Praca Tomasza Rowińskiego była dla nas okazją do krytycznego pochylenia się nad tożsamościową koncepcją „Polaka-katolika".

Szkodliwy projekt Polaka-katolika

Konstanty Pilawa

Nowa książka Tomasza Rowińskiego jest pierwszą częścią trylogii o „duszy polskiej". Filozoficzny i retoryczny rozmach „Królestwa nie z tego świata…„ ukrywa jego właściwe przesłanie. To polityczny manifest przypominający z ducha broszury szlacheckie autorstwa Stanisława Orzechowskiego. I podobnie jak pisma XVI-wiecznego proto-sarmaty, trylogia Rowińskiego może stać się narzędziem wykluczającym dużą część Polaków ze wspólnoty narodowej.

POLSKA POD DYKTATEM KATOLICKIEJ IDEI?

Zawładnąć! Zarys procesualnej teorii władzy to esej Jadwigi Staniszkis, w którym autorka zauważa charakterystyczną dla Polaków tendencję do przekładania kategorii religijnych na polityczne. Wskazuje na dominację źle pojętej tradycji katolickiej, która nie pozwala nam na zbudowanie sprawnie funkcjonujących instytucji publicznych.

Choć Staniszkis nie stawia kropki nad „i", wnioski wydają się oczywiste. Skoro polityka polska instrumentalizuje katolicką aksjologię, tworząc, jak sama to określa, „dyktat idei", to żaden inny system normatywny nie będzie w Polsce akceptowany. Dlatego katolicyzm traktowany użytkowo i uwikłany w politykę często wyklucza cześć Polaków ze wspólnoty lub działa jak certyfikat narodowej jakości, poświadczający, który Polak to Polak lepszy, a który zasługuje na narodową anatemę, a przynajmniej na porządne kazanie.

Całą tę generalizację należy oczywiście opatrzyć istotnymi zastrzeżeniami. Doprawdy nie wiem, czy tak grubym pociągnięciem pędzla można malować polską historię idei i jej związek ze światem polityki. A przede wszystkim – czy katolicyzm wywierający wpływ na nasze życie publiczne należy oceniać w tak surowych kategoriach. Najpewniej te publicystyczne z ducha wnioski nie mieszczą się w granicach naukowego dyskursu. To nie zmienia jednak faktu, że właśnie na gruncie polskiej eseistyki politycznej (prze-) sąd ten czasem okazuje się prawdziwy. Zdarza się bowiem, że idea chrześcijaństwa zaangażowanego w sprawy publiczne mylona jest z katolickim fundamentalizmem.

Jakie, według Staniszkis, można zaobserwować w Polsce przejawy „dyktatu idei"? Jest ich co najmniej kilka. Pierwszy dotyczy narzucania interpretacji istotnych pojęć dla tkanki społecznej. Polacy wciąż próbują ustalać: czym jest naród, jakie miejsce w strukturze społecznej zapewnić religii, jak rozumieć państwo czy autonomię jednostek. Mówiąc krótko, Polak o polityce zwykł myśleć pryncypiami – od nich wychodzi, przeważnie na nich kończąc. Po drugie, co logicznie powiązane jest z powyższym, nie potrafimy zgodzić się na autonomię formy, a więc stwierdzić, że czasem polityka powinna działać z dala od ideowego sporu, korygując niedoskonałości siłą procedur i dobrej woli urzędnika. Po trzecie, polski słownik pojęć politycznych zawiera nieproporcjonalnie wiele haseł powiązanych z podmiotami zbiorowymi, takimi jak naród, wspólnota, społeczeństwo, a zbyt mało miejsca poświęca na godność jednostki i jej odmienność względem innych. Po czwarte w końcu, polska polityka, zarówno ta dziejąca się na szczytach władzy, jak i ta interpretowana przez inteligentów, zawsze stawia adwersarzy przed binarnym wyborem: dobra lub zła, sensu lub jego braku, prawdy lub fałszu.

I żeby była jasność, Staniszkis wcale nie potępia w czambuł polskiego „dyktatu idei". I ja również nie zamierzam tego czynić, a już na pewno nie w imię liberalnych aksjomatów. Chciałbym, traktując tę intrygującą generalizację z lekkim przymrużeniem oka, użyć wyliczonych wyżej wskaźników jako narzędzia przydatnego do analizy nowej książki Tomasza Rowińskiego *Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych*, która nadaje się do tego znakomicie. Bowiem autor, chcąc wpisać w definicję filozoficznie pojętej Polski zasady Ewangelii, wyklucza dużą część społeczeństwa z narodowej wspólnoty.

POLSKOŚĆ ZDEPONOWANA W PAMIĘCI BOGA

Spójrzmy na trzy fundamentalne tezy tej pracy. Rowiński pisze na początku, że jego książka jest próbą opisania „formy polskiej, czyli naszej dyspozycji, najlepszego dla nas sposobu istnienia", żeby kilkadziesiąt stron dalej stwierdzić, iż „sensem polskości jest w historii rozpoznawanie Boga zarówno przez naród jak i przez państwo". Natomiast w innym miejscu dodaje: „Należy dostrzec w polskich dziejach taką strukturę, która uprzedza świadomość każdego z nas". Nawet student pierwszego roku filozofii odnajdzie w tych cytatach język starożytnych myślicieli – Arystotelesa, św. Augustyna oraz Platona.

Po kolei więc. Celem autora jest opisanie w polskim kontekście ideału człowieka cnotliwego, który za literą *Etyki Nikomachejskiej* ma wieść życie aktywne, zgodne z prawidłowo ukształtowanymi przyzwyczajeniami. Idąc dalej, treść tychże dyspozycji musi powstawać w relacji z Absolutem. Naród (także ten

zorganizowany w ramach państwa) jest pojęty w analogii do jednostki oraz – aby wieść życie szczęśliwe – musi sensu swojego istnienia upatrywać w Bogu. Po trzecie, okazuje się, że struktura tego narodu – zorganizowana w państwo lub państwa pozbawiona – jest ahistoryczna, tj. uprzedza życie jednostki w konkretnym momencie dziejowym, sama mogąc być tej dziejowości pozbawiona.

Mamy więc do czynienia z platońską anamnezą, bowiem zadaniem duszy ludzkiej (*per analogiam* również narodowej) jest przypomnienie sobie tej pierwotnej relacji. Polskość jest z góry przez Boga zaprojektowaną strukturą, zdeponowaną w jego pamięci, a do Polaków wszystkich pokoleń należało, należy i będzie należeć jej odkrywanie i aktualizacja w konkretnym historycznym czasie. Jest to więc specyficznie pojmowany rodzaj misjonizmu. Celem Polaków jest bowiem rozeznawanie, odkrywanie i realizacja określonego z góry powołania/zadania, jakie Polacy i Polska mają do spełnienia w dziejach.

PIRAMIDA POLSKOŚCI WEDŁUG STANISŁAWA ORZECHOWSKIEGO

Metafizycznego rozmachu Tomaszowi Rowińskiemu odmówić nie można. Dlatego dla klarownego przedstawienia intelektualnej struktury Rzeczypospolitej, której komentowana książka poświęca sporo miejsca, posłużę się przykładem analogicznego punktu widzenia prezentowanego przez … XVI-wiecznego autora – Stanisława Orzechowskiego.

Orzechowskiego w literaturze przedmiotu określa się mianem proto-sarmaty czy nawet proto-mesjanisty. Jest autorem kilku istotnych pism, które w późnorenesansowej Polsce odbiły się szerokim echem wśród narodu szlacheckiego. Do najważniejszych należą *Policyja Królestwa Polskiego* oraz *Quincunx to jest wzór Korony Polskiej na cynku wystawiony*. W *Quincunxie* Orzechowski, posługując się geometryczną wizualizacją, próbuje opisać niepodważalne fundamenty Rzeczypospolitej. Na to wskazuje już sam tytuł, bowiem jak tłumaczy Jan Skoczyński: „W politycznej teologii Orzechowskiego *quincunxa* najlepiej oddaje pięciokątny ostrosłup". Pismo, skierowane przede wszystkim do średniej szlachty i duchowieństwa, zostało wydane 1564 r., a więc krótko po zakończeniu soboru trydenckiego, od którego datujemy czas kontrreformacji, a także na pięć lat przed powstaniem Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Autor, opisując strukturę Rzeczypospolitej, postępuje zgodnie z zasadą Arystotelesa, według której treści złożone i trudne poznaje się przez wychodzenie z założeń oczywistych i intuicyjnych. Na początku wskazuje trzy podstawowe fundamenty. Środkowe miejsce należy do Kościoła, skrajne odpowiednio do króla i kapłana. I są to podstawy, których usuwać nie można. Można natomiast powiedzieć, że zarówno Kościół, jak i król oraz kapłan są immanentnymi częściami Rzeczypospolitej. Bez nich Polska nie miałaby racji bytu.

Kolejny fundament implikuje sama nazwa państwa. „Królestwo Polskie" sugeruje bowiem, że w Rzeczypospolitej musi panować monarcha. W obliczu prawa król staje się władcą dopiero wówczas, gdy zostaje koronowany przez kapłana. Tradycja państwa polskiego wskazuje, iż jest to kapłan należący do Kościoła katolickiego, stąd poza królem i duchownym integralną częścią Rzeczpospolitej jest Kościół, który sprawuje pieczę nad Królestwem. Jednak żaden król, ani żaden kapłan, nie mogliby legitymizować swojej władzy, gdyby nie obecność następnego składnika – ołtarza – świętego miejsca, symbolizującego apostolstwo trzech dotychczas wymienionych składników. Bowiem zarówno monarcha, kapłan, jak i Kościół połączeni są nie tylko wolą Boga, ale również celem przez tego Boga ustanowionym. Rzeczypospolita to struktura teleologiczna. Jej misją jest dobro wszystkich jej obywateli. Ostatni fundament stanowi wiara. Bez niej z kolei żadne posłannictwo i władza prawdziwie chrześcijańska nie są możliwe, to ona nadaje strukturze sprawstwo, a więc napełnia ją życiem.

Po identyfikacji wszystkich składników, bez których nie da się pomyśleć Rzeczpospolitej, Orzechowski wraca do uplastycznienia swojego opisu. Tytułowy *quincunx* zyskuje trzeci wymiar i odtąd przedstawiany jest jako piramida lub wieża. Chodzi, w obydwu przypadkach, o podkreślenie strzelistości konstrukcji. Bowiem o ile król, kapłan, wiara i ołtarz należą do tej samej kategorii fundamentów, to jednak Kościół góruje nad nimi wszystkimi, będąc raz wierzchołkiem piramidy, a raz szczytem wieży, zapewniając tym samym kontakt z Absolutem.

Orzechowski nie miał na myśli bezpośrednich rządów papieża, jego wysłanników czy w ogóle kapłanów. Religia pełni w jego projekcie funkcję zbiorowego sumienia i „rządu dusz" całego społeczeństwa. Kościół pośredniczy w kontakcie z Bogiem, a ten nie rządzi, lecz umożliwia istnienie całej tej niezmiennej struktury. Dlatego *Quincunx*... nie przedstawia ideału polskiej teokracji, ale państwo o ustalonych raz na zawsze fundamentach, o których obywatele muszą stale sobie przypominać i to w każdym historycznym czasie.

ZA RELIGIĄ KRYJE SIĘ OSTATECZNIE POLITYKA

Zauważmy, jak te dwie koncepcje, które Jadwiga Staniszkis nazwałaby przejawami polskiego „dyktatu idei", a które dzieli niemal pięćset lat historii, są do siebie podobne. Zarówno Orzechowski, jak i Rowiński z dużą determinacją próbują napełnić abstrakcyjne kategorie *metafizyki państwa* treścią politycznego życia. Obaj autorzy usiłują stworzyć zarys niezmiennej w czasie formy polskiej, która zgodnie z mechanizmami platońskiej teorii idei będzie odkrywana wciąż na nowo przez kolejne pokolenia Polaków.

Ostatecznie ową niezmienną ideą pozostaje rzymski katolicyzm, bez którego nie można pomyśleć fundamentu polskości. Nie jest to jednak religia będąca jedynie pewnym drogowskazem, ani nawet ideał moralny mający stanowić wzór dla władców i polityków. Obie wizje podkreślają znaczenie żywej relacji między Kościołem a sakralizowanymi strukturami władzy. Symbolem połączenia *sacrum* i *profanum* jest dla Orzechowskiego ołtarz pojęty jako miejsce spotkania wszystkich pozostałych elementów Rzeczypospolitej. Dla Rowińskiego analogiczną rolę odgrywa pamiątka chrztu Polski – wydarzenia, od którego nie tylko rozpoczęły się właściwe dzieje narodu polskiego, ale które również dziś stanowi żywy rdzeń polskiej tożsamości.

Ponad wszystko wydaje się jednak, że Stanisław Orzechowski, tak samo jak Tomasz Rowiński, instrumentalizuje filozofię dla pewnego efektu retorycznego. Oba dzieła umiejscowione w swoim czasie historycznym sprawiają wrażenie publicystycznego komentarza do bieżących wydarzeń politycznych. Orzechowski w posoborowym przekazie skierowanym do narodu szlacheckiego walczy o wyłączenie innowierców ze wspólnoty politycznej, zaś Rowiński, zawiedzony brakiem reform obecnego rządu w sprawie zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej, nawołuje do odkrycia polityki prawdziwie chrześcijańskiej w niezmiennej strukturze polskiej *Res Publiki*.

PROJEKT POLSKOŚCI WYKLUCZAJĄCEJ?

Jednak książki Tomasza Rowińskiego nie należy krytykować za wszystko, co do tej pory napisałem. Czy na potrzeby eseistyki nie nagina się często filozoficznych kategorii, aby opisać jakiś istotny element życia społeczno-politycznego? Można przecież walczyć na *agorze*, posługując się – nawet dość frywolnie – filozoficznymi argumentami.

Ponadto trzeba byłoby wybitnie się nagimnastykować, aby wyliczyć te okresy w historii, w których chrześcijaństwo i Kościół nie posiadały decydującego wpływu na życie Polaków. A skoro tak, to katolicyzm można przecież bez kontrowersji uznać za jeden z fundamentów polskości. W końcu zawsze odpowiedź na pytanie, czym jest polskość, musi być w jakimś stopniu wykluczająca. Wszak tworząc jakąkolwiek definicję, musimy dzielić i autorytarnie orzekać o podejmowanej materii. Kto chce definiować polskość, skazany jest na wartościowanie.

Zapewne można byłoby się z tym zgodzić, gdyby Tomasz Rowiński poprzestał na stworzeniu projektu tożsamościowego stanowiącego o pewnym wyobrażonym ideale Polaka-katolika. Jednak *Królestwo nie z tego świata*... idzie o krok dalej i właśnie ten element tworzy wrażenie, jakoby Rowiński, ratując polityczność chrześcijaństwa, wykluczał poza wspólnotę nie-katolików oraz „letnich" chrześcijan.

Przekroczenie granicy następuje wtedy, gdy autor przejmuje rozumienie tytułowego pojęcia pracy Pawła Grada – *O pojęciu tradycji* – i próbuje przenosić je z obszaru religijnego na polityczny. Grad definiuje tradycję wbrew nowoczesnym tendencjom. W jego ujęciu chodzi tu o racjonalny system komunikacji, na który składają się zarówno doktryna, jak i dyscyplina. Tradycja służy ponadto określaniu różnicy między tym, co swoje, a tym, co obce. Doktrynę należy rozumieć tutaj jako naukę przedstawiającą system

najistotniejszych idei, natomiast dyscyplinę jako zestaw wynikających z tej doktryny praktyk. Tradycja, która przestaje praktykować założenia dyscypliny, opierając się tylko na nauce najistotniejszych idei, staje się martwa.

O ile ta definicja jest w pełni adekwatna dla katolicyzmu, to trudno dopasować ją do myślenia na temat polskości. Polskość ujmowana przez Rowińskiego z typu idealnego narodowej tożsamości, jakich stworzono już wiele, staje się kodeksem pełnym zakazów i nakazów moralnych. Najpoważniejszą sankcją zostaje zaś wykluczenie ze wspólnoty.

POLSCY KATOLICY JEDNAK NIE TACY KATOLICCY JAK ICH MALUJĄ

Istnieje jeszcze inna strategia interpretująca *Królestwo nie z tego świata*…. Po lekturze niektórych fragmentów można byłoby założyć, że Tomasz Rowiński *de facto* opisuje w pewnym sensie polską rzeczywistość. Wiele danych empirycznych potwierdza przecież jego tezy. Polacy w porównaniu z innymi narodami są bardziej religijni, mamy stosunkowo konserwatywne prawo regulujące kwestię aborcji, a polski Kościół odgrywa nieporównywalnie większą rolę społeczną od swoich zachodnich odpowiedników.

Po lekturze epilogu można byłoby dołożyć co najwyżej, że jedną z niewielu przeszkód, jakie stoją na drodze do ukonstytuowania nowej katolickiej Polski, jest rząd Prawa i Sprawiedliwości, który jedynie używa kościelnej retoryki, a w wielu kwestiach jego polityczne posunięcia stoją w sprzeczności z kościelnym nauczaniem.

Dane empiryczne zaprzeczają jednak i tej interpretacji. Wystarczy wspomnieć esej Błażeja Skrzypulca *Religijny naród w świeckim społeczeństwie. Polskość i katolicyzm XXI wieku*, który został opublikowany w pracy zbiorowej *Społeczeństwo teologiczne. Polska teologia narodu 966-2016*. Jak wykazuje Skrzypulec, katolicyzm nadal stanowi dla Polaków bardzo silne residuum tożsamości, jednak wywiera dużo mniejszy wpływ na społeczną praktykę.

Dla przykładu, zauważa się dość silną korelację między dumą z bycia Polakiem a częstym uczestnictwem w praktykach religijnych (75% wśród osób praktykujących kilka razy w tygodniu). Tak samo większa religijność jest pozytywnie skorelowana z „przywiązaniem do polskiej tradycji narodowej". Polacy uważają też, że niebagatelne znaczenie w najnowszej historii Polski ma katolicyzm. I tak 49% uważa, że Jan Paweł II odegrał „zdecydowanie kluczową" rolę w upadku komunizmu, a także w powstaniu Solidarności (50%). Zdecydowanej większości Polaków nie przeszkadza ani obecność krzyża w instytucjach publicznych (88%), ani uczestnictwo duchownych w uroczystościach państwowych (80%).

Jednak jeśli bada się stosunek Polaków do społecznej wagi Kościoła i religii chrześcijańskiej, dane stają się już mniej optymistyczne. Tylko 40% wiernych uznało Kościół za „wspólnotę wiernych". Tylko 30% zadeklarowało natomiast, że katolicyzm odpowiada na problemy społeczne kraju. Można byłoby również sądzić, że katolicyzm istotny dla życia społecznego będzie generował duże zaangażowanie świeckich członków Kościoła w pracę na rzecz katolickich wspólnot. Tymczasem badania pokazują, że nie więcej niż 10% Polaków należy do tego typu organizacji.

Dane przywoływane przez Błażeja Skrzypulca pokazują więc, że katolicyzm nie ma tak wyraźnego wpływu na polskie społeczeństwo, jak na polską tożsamość narodową. Społeczeństwo rozumiane jako „struktura, w której Polacy, znajdują się w hierarchicznych relacjach dystrybucji władzy, majątku i prestiżu, a także w funkcjonalnych relacjach dotyczących podziału pracy i pełnienia różnych ról społecznych", pozbawione jest szerokiego wpływu norm, które reprezentuje Kościół.

Co potwierdzają chociażby wszelkie badania zaufania społecznego, które w Polsce tradycyjnie jest na bardzo niskim poziomie. Gdybyśmy nawet zakładali pośredni wpływ Kościoła na kształtowanie wśród społeczeństwa pewnych trwałych postaw etycznych, to nie bylibyśmy przecież społeczeństwem egoistów i rosnącej konkurencji. I doprawdy nie potrzeba precyzyjnych analiz socjologicznych, żeby stwierdzić, iż w pracy, szkole czy urzędzie nie funkcjonują zasady Ewangelii.

Co ciekawe, esej Skrzypulca analizowany jest przez Tomasz Rowińskiego. I to analizowany bardzo kry-

tycznie. Główny zarzut nie dotyczy jednak braków warsztatowych, a więc błędów logicznych lub metodologicznych. Koronny argument odrzucający tezy Skrzypulca polega właściwie na odrzuceniu socjologii jako nauki nieadekwatnej do mierzenia postaw religijności Polaków, a także związków tejże religijności z kondycją całego społeczeństwa. Rowiński sądzi, że socjologia „wywodzi się z zsekularyzowanego chrześcijaństwa protestanckiego i siłą rzeczy akcentuje to, co w kulturze religijnej protestantyzmu uznawano za istotne religijne (…) Elementy te niekoniecznie będą charakteryzować społeczeństwa katolickie".

Jeśli autor *Królestwo nie z tego świata*… dochodzi do tak radykalnych konkluzji, to mamy dwa wyjścia z tej sytuacji: albo zgodzić się i uznać nieadekwatność narzędzi socjologicznych do badania religijności Polaków i związków religii z kondycją polskiego społeczeństwa, albo będziemy musieli przyznać rację Błażejowi Skrzypulcowi, którego wnioski można zamknąć w konstatacji, że choć doktryna (zestaw dogmatów) polskiego społeczeństwa pozostaje katolicka, to jednak jego dyscyplina (zestaw praktyk) uległa już procesowi sekularyzacji.

Przystając na pesymistyczny wariant Skrzypulca – w obliczu rosnących podziałów społecznych – ostatnie, czego możemy dzisiaj chcieć, to promocja modelu wykluczającego dużą część Polaków ze wspólnoty narodowej. To nie są czasy, w których należy ewangelizować mieczem. Co nie znaczy, że nie należy ewangelizować w ogóle. Jeśli tak wielu Polaków cierpi na bezobjawowy katolicyzm, to rolą Kościoła, do którego nie należą przecież tylko księża, ale my wszyscy, jest społeczne i również polityczne przeciwdziałanie tej kulturowej schizofrenii.

POLSKOŚĆ TO LABIRYNT, NIE PIRAMIDA

Im bardziej patetyczne i ekskluzywne będzie nasze myślenie o polskości, tym większe istnieje ryzyko alienacji od rzeczywistej kondycji polskiego społeczeństwa i jego różnorodności. Sądzę, że związki współczesnych Polaków ze chrześcijaństwem są dużo bardziej skomplikowane. Lepszą metaforą od XXI-wiecznej hipostazy *quincunxa* jest ostatnia z wystaw Janusza Boguckiego przypomniana we wstępie do *Społeczeństwa teologicznego*… przez Pawła Rojka.

Bogucki był historykiem, krytykiem i kuratorem sztuki, który w 1989 r. zagospodarował podziemia Kościoła Wniebowstąpienia Pańskiego na warszawskim Ursynowie na potrzeby artystycznej instalacji. W podziemiach stanął labirynt wykonany z drewna i blachy. Jego ściany zostały obwieszone zdjęciami różnych postaci z historii Polski – m.in. Zygmunta Krasińskiego, Ignacego Mościckiego, ale i Jerzego Urbana czy Feliksa Dzierżyńskiego.

Metaforyczny sens tej wystawy można odczytać zarówno jako krytykę społeczeństwa, jak i Kościoła. Społeczeństwa znajdującego się na wyciągnięcie ręki, które składa się z artystów i przywódców, ale i z oprawców i zdrajców. I Kościoła, który jest zawsze daleko i ponad społeczeństwem, który na te społeczeństwo nie potrafi już bezpośrednio oddziaływać. Mimo wszystko jednak wystawa ta – jak pisał Rojek – była „cudowną polifoniczną jednością w wielości, powoli rozrastającą się w dziejach".

Konstanty Pilawa

współredaktor naczelny czasopisma „Pressje". Koordynator krakowskiego oddziału Klubu Jagiellońskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Od mesjanizmu nie da się uciec

Agnieszka Barszcz

Czym jest Królestwo Boże? To pytanie zadawali sobie wszyscy mesjaniści. I zadaje je również Tomasz Rowiński w książce „Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych". Co więcej, autor mimo deklarowanej niechęci do mesjanizmu, odpowiada właśnie w mesjanistycznym duchu.

MESJANIZM, MESJANIZM I JESZCZE INNY MESJANIZM

Istnieje wiele definicji i typologii mesjanizmu, które zmagają się z tym samym problemem: rozmaite jego warianty bywają do siebie zupełnie niepodobne. Widać to jasno w porównaniach stanowisk Augusta Cieszkowskiego i Nikołaja Bierdiajewa przeprowadzanych przez Tomasza Herbicha na kartach książki *Pragnienie Królestwa. August Cieszkowski, Mikołaj Bierdiajew i dwa oblicza mesjanizmu*.

Pierwszy mesjanizm stawia sobie doczesne cele przemiany świata, drugi głosi eschatologiczne speł-

nienie dziejów poza historią. Pierwszy pełen jest historiozoficznego optymizmu, drugi pesymizmu, obok którego proponuje jednak optymizm eschatologiczny. Pierwszy chce rozszerzać chrześcijaństwo, by objęło stosunki społeczne, drugi wprowadzać wymiar zbiorowy do eschatologii. Przy tak różnych, a czasem wręcz sprzecznych tezach i celach, stawianych przez rozmaite mesjanizmy, Herbich proponuje uznanie mesjanizmu za postawę, którą nazywa „pragnieniem Królestwa". Polega ona na przyjęciu idei Królestwa Bożego za punkt wyjścia rozmyślań i pragnieniu, by „Syn Człowieczy znalazł wiarę na ziemi, gdy przyjdzie".

Takie określenie mesjanizmu wynika ze specyficznej metodologii Herbicha. Postuluje on, by najpierw badać poszczególne systemy i poglądy, które zostały określone mianem mesjanizmu, a następnie szukać między nimi różnic i podobieństw. Przeprowadzenie takiej analizy wykazało, że za mesjanizm uznawane są co najmniej dwa bardzo różne typy światopoglądów. Ponieważ żadna z dotychczasowych definicji nie objęła ich wszystkich, powstaje konieczność zaproponowania określenia szerszego od istniejących.

Zupełnie odmienne podejście proponuje Paweł Rojek, który najpierw wybrał paradygmatycznego – jego zdaniem – mesjanistę (Adama Mickiewicza), a następnie wyróżnił trzy główne komponenty jego myśli (misjonizm, pasjonizm i millenaryzm), które miałyby się składać na światopogląd mesjanistyczny. Na gruncie teorii Rojka istnieją proste kryteria rozstrzygnięcia, czy dany myśliciel był mesjanistą – aplikują się, mimo oddalenia w czasie, tak samo do Wespazjana Kochowskiego, jak i Jarosława Marka Rymkiewicza. Teoria Herbicha wydaje się z góry wykluczać taki ruch. Dopuszczalne jest jednak zaklasyfikowanie myślicieli do poszczególnych nurtów mesjanizmu na podstawie podobieństw ich systemów. W ten sposób Herbich uznaje Mickiewicza i Rojka za bliskich Cieszkowskiemu, natomiast Rafała Tichego za podobnego Bierdiajewowi.

Przyjmując metodę Herbicha, zrekonstruuję sposób, w jaki Tomasz Rowiński postrzega Królestwo Boże i porównam jego propozycję kolejno z mesjanizmami Rojka i Tichego. W ten sposób postaram się dowieść, że krytyka romantyzmu i mesjanizmu przeprowadzona przez Rowińskiego jest nie tylko pozbawiona mocnych argumentów, ale również poglądy samego autora – bez szczególnego interpretacyjnego wysiłku – można określić mianem romantycznych czy też mesjanistycznych.

KRÓLESTWO TOMASZA ROWIŃSKIEGO

Co „bezpiecznie" można powiedzieć o Królestwie Bożym, żeby nie zostać uznanym za mesjanistę? Przypuszczalnie wszystko to, co mówią Biblia, Katechizm Kościoła Katolickiego czy rozmaite dokumenty soborowe (o ile one same nie są mesjanistyczne, ale roboczo załóżmy, że nie). Królestwo to podobne jest więc do zaczynu, do ziarnka gorczycy, do gospodarza najmującego robotników winnicy, do skarbu ukrytego w roli, do kupca poszukującego pereł, do sieci zagarniającej ryby. Chrystus zapoczątkował Królestwo niebieskie na ziemi. Jego zalążkiem jest Kościół, a dopełni się ono wraz z ponownym przyjściem Króla.

Jednak nie takie Królestwo głosi Rowiński. Już tytuł jego książki sugeruje, że to Polska jest (czy też powinna być) Królestwem Bożym. I rzeczywiście, deklaruje dalej: „Królestwo Jezusa to republika sprawiedliwa, stawiająca sprawiedliwość na pierwszym planie, odrzucająca pragmatyczną koncepcję polityki", zaś „Polska to sprawiedliwość".

Dla Rowińskiego najważniejszym wydarzeniem w historii naszego kraju jest chrzest, ponieważ stanowi jego narodziny, determinujące cały dalszy rozwój, formę dziejów. Mieszko reprezentując swój lud, zawarł przez chrzest przymierze z Bogiem i tak zaczęła się Polska. W związku z tym nie może mieć innego króla niż Chrystus. Należy przyjąć konsekwencje społecznego panowania Boga. Aby zrozumieć, na czym ono polega, Rowiński proponuje rozważyć rozmowę Jezusa z Piłatem. Stwierdzenie, że Królestwo „nie jest z tego świata", ma oznaczać, iż będąc w świecie, nie kieruje się jego regułami. „Dawanie świadectwa prawdzie" to zaś publiczne głoszenie i uznawanie prymatu prawdy nad władzą.

A więc Królestwo Boże na Ziemi. Według Rowińskiego takie państwo nie musi mieć struktur władzy czy armii; może stanowić coś na kształt Augustyńskiego

Civitas Dei, składać się „z ludzi w codziennym publicznym i prywatnym życiu budujących cywilizację chrześcijańską, broniących publicznie praw Boga wzywających do poszanowania godności człowieka". Dalej można przeczytać, że „budowa chrześcijańskiej cywilizacji po prostu zaczyna się od tworzenia opartych na zasadach sprawiedliwości naturalnych instytucji, jak państwo, rodzina i wspólnota mnisza".

Pozostawiając na boku kwestię, czy wspólnota mnisza jest naturalną instytucją, wydaje się, że można zaobserwować zbieżność z poglądami Pawła Rojka, który skupia się na rozumieniu Królestwa Bożego właśnie jako instytucji. Okazuje się jednak, że Rowiński traktuje je przede wszystkim jako formalne organizacje: postuluje działania za pomocą ustaw i uchwał parlamentarnych, obronę życia, suwerenną politykę, zwiększanie sprawiedliwości i sprawności organów państwa, a także „zmianę preambuły konstytucji na wprost ukierunkowaną na prawdziwego Boga". Podnosi też problem kaznodziejstwa, a także braku zainteresowania ze strony Kościoła mecenatem sztuki. Rojek natomiast stosuje termin „instytucja" w szerokim socjologicznym sensie – jako utrwalony sposób działania. Dlatego są nimi na przykład wychowanie, przekaz wiary czy życie wspólnoty kościelnej. W opozycji do cywilizacji chrześcijańskiej zarówno Rowiński, jak i Rojek stawiają struktury grzechu.

Spośród wyróżnionych przez Rojka komponentów mesjanizmu, millenaryzm, czyli program przemiany świata w duchu chrześcijańskim, jest u Rowińskiego najbardziej widoczny. Dwa pozostałe – pasjonizm i misjonizm – nie odgrywają większej roli. Cierpienie autor traktuje jako cenę, którą należy zapłacić za świadczenie o prawdzie. Przyjmuje misje narodów, jednak realizację sprawiedliwości, budowanie konsensusu chrześcijańskiego czy rozpoznawanie Boga, które przedstawia jako powołanie Polski, tak samo stosują się do wszystkich katolickich narodów.

Rowiński podaje co najmniej trzy argumenty za tezą, że chrześcijanie powinni angażować się w politykę i władzę. Po pierwsze, oddzielenie wiary od życia społecznego wynika z fałszywych dualizmów rozdzielających duszę i ciało, myślenie, wiarę oraz działanie. Po drugie, chrześcijanie, interpretując słowa Jezusa, zbudowali wielką cywilizację, a nie „gnostycką sektę czystych ludzi niezbrukanych światem i władzą". Po trzecie, sfera polityczna opuszczona przez chrześcijan zostanie zajęta przez siły wrogie chrześcijaństwu.

Zatem punkt wyjścia to przyjęcie realnej obecności Boga w świecie, które wyklucza spisywanie doczesności na straty. Rowiński krytykuje rozpoczynające się od wczesnej nowożytności pozbawianie wiary wymiaru publicznego i zbiorowego, redukcję do praktyk indywidualnych. Postuluje – znów jednym głosem z Rojkiem – rozszerzenie chrześcijaństwa na stosunki społeczne.

POLITYCZNA WŁADZA ZNAJDUJE SIĘ W RĘKACH SZATANA

Perspektywa Rafała Tichego jest zupełnie inna i przedstawia ją w eseju Boska anarchia z ostatniego numeru Magazynu Apokaliptycznego „Czterdzieści i cztery". Ilekroć pojawiają się argumenty z wielkości cywilizacji chrześcijańskiej, przypomina, że kruszy się ona i upada. Dobre instytucje, owszem, można budować, należy jednak pamiętać, że „przyjdzie czas, kiedy z tego, na co patrzycie, nie zostanie kamień na kamieniu, który by nie był zwalony". Chrześcijaństwo jawi się jako antysystemowe, a wszystkie argumenty Rowińskiego doczekują się intertekstualnej kontry. Po pierwsze, sfera władzy i polityki jest poddana szatanowi, czego uzasadnienie można znaleźć w Biblii. Po drugie, sojusz tronu i ołtarza to projekt jednocześnie przegrany i fałszywy, cywilizacja zaś chwieje się w posadach. Po trzecie, jedyną i autentyczną sferą polityczną dla chrześcijan jest liturgia, wspólne wychwalanie Boga i dawanie świadectwa rzeczywistości transcendentnej.

Szczególnie ciekawa wydaje się argumentacja na rzecz pierwszej tezy. Na przestrzeni dziejów wielokrotnie starano się podać religijne bądź świeckie uzasadnienia dla władzy i prawa. Siła? Społeczny konsensus? Procedury? Tichy proponuje radykalne odwrócenie perspektywy. Pytanie, jak uzasadnić władzę, nie ma sensu. Władza ziemska po prostu racjonalnego uzasadnienia nie ma. Jest pokusą, pożądaniem, pragnieniem bycia „jak Bóg".

Argumenty podane na rzecz tej tezy w większości pochodzą z Biblii. Podczas kuszenia na pustyni szatan ofiarowuje Chrystusowi wszystkie królestwa świata, a więc to do szatana należą. Bóg nie chciał dać Izraelowi króla, lecz miał być wyłącznym panem narodu wybranego. Jezus nie przyjmował władzy politycznej, ilekroć próbowano mu ją ofiarować. Tichy przywołuję tę samą rozmowę Jezusa z Piłatem, którą rozważał Rowiński i tam, gdzie ten drugi stawia dramatyczne pytania retoryczne: „Czy jest możliwe, że Pan Jezus, mówiąc, że królestwo Jego nie jest z tego świata, chciał pokazać, że nie jest zainteresowany zaangażowaniem wierzących w sprawy publiczne i polityczne?" odpowiada: owszem. Prawdziwa walka odbywa się gdzie indziej. „Jezus zdaje się Piłata zbywać, nie jest zainteresowany jego władzą, możliwościami, całą tą polityczno-religijną intrygą, która się wokół niego rozgrywa".

MICKIEWICZ NIE KONTEMPLOWAŁ ŚREDNIOWIECZNYCH RUIN

Jak widać, w stanowisku Rowińskiego pojawiło się wiele wątków charakterystycznych dla pierwszego oblicza mesjanizmu (Cieszkowski, Mickiewicz, Rojek) – budowa Królestwa Bożego na Ziemi, katolickie instytucje przeciwstawione strukturom grzechu, misje narodów chrześcijańskich, przywrócenie wierze wymiaru publicznego i zbiorowego. Jednak wprost krytykuje on mesjanizm (oraz, szerzej, cały romantyzm) i deklaratywnie się od niego odcina. Przyjrzyjmy się zarzutom, które stawia. Można je podzielić na: aplikujące się do współczesnego romantyzmu, romantyzmu XIX-wiecznego oraz stricte do mesjanizmu.

Pierwszą grupę zarzutów Rowiński kieruje do Prawa i Sprawiedliwości, Jarosława Marka Rymkiewicza oraz do „rekonstrukcjonistów" żyjących wspominaniem walk partyzanckich czy czasów sarmackich. Zarzuca im pogańską wizję narodu przejętą z filozofii niemieckiej, konstruowanie tożsamości z arbitralnie wybranej mieszaniny faktu i fikcji, anachronizm w stosowaniu kategorii z czasów rozbiorowych do współczesnej Polski (zwłaszcza używanie mickiewiczowskiej frazy o „dwóch Polskach"), a także sprowadzanie katolicyzmu (także elementów religijnych w twórczości wieszczów) do ornamentu stylistycznego. Zarzuty te wydają się w dużej mierze trafne, nie dotykają jednak romantyzmu XIX-wiecznego, a jedynie jego współczesną – być może zdegenerowaną – recepcję.

Romantyzm XIX-wieczny Rowiński uznaje za nieudaną reakcję na antyreligijność oświecenia. Filozofii i religii nie przywrócono zatraconego, chrześcijańskiego charakteru, zadowolono się estetycznym zachwytem średniowieczem. Religia została całkowicie zepchnięta do sfery indywidualnej i powiązana z uczuciami, emocjami, podczas gdy jej istotę stanowi nawrócenie, publiczne wyznanie wiary i postępowanie z nią zgodne. To wszystko również jest do pewnego stopnia trafne, jednakże, jak zauważa sam Rowiński, aplikuje się głównie do kultury francuskiej i niemieckiej, a nie polskiej.

Okazuje się więc, że większość argumentów Rowińskiego przeciw romantyzmowi nie dotyczy wcale polskich idei mesjanistycznych. Co więcej, mesjaniści wprost krytykowali dokładnie to, co romantyzmowi zarzuca Rowiński – zepchnięcie katolicyzmu do sfery prywatnej. Mesjanizm stanowił właśnie protest przeciwko nieobecności religii w życiu publicznym, instytucjach, relacjach między państwami. Mesjaniści nie zajmowali się kontemplacją ruin średniowiecza, lecz tworzyli konkretne programy reform społecznych i gospodarczych (wiele przykładów podał Paweł Rojek w *Liturgii dziejów* w rozdziale *Mesjanizm i nowoczesność*) w oparciu o katolicyzm, który bynajmniej nie stanowił dla nich jedynie ornamentu (co udowadniał Tomasz Herbich w *Pragnieniu Królestwa* w rozdziale *Dyskurs religijny w »Ojcze Nasz« Augusta Cieszkowskiego*).

Podczas warszawskiej premiery *Pragnienia Królestwa* Tomasz Rowiński wysunął dwa argumenty przeciwko mesjanizmowi. Pierwszy to niezgodność z doktryną chrześcijańską, drugi to snucie zbyt luźnych spekulacji na bazie Biblii. Co do zarzutu pierwszego: Herbich rzeczywiście udowodnił, że nawet gdyby wszystkie poszczególne idee w systemie Cieszkowskiego dały się uzgodnić ze stanowiskiem Kościoła katolickiego, mesjanizm pojmował sam siebie jako formę świadomości religijnej nadchodzącą po chrześcijaństwie. Jednak ani Rojek, ani Tichy nie postulują kopiowania systemów XIX-wiecznych w całości

i mają świadomość, że z pewnych elementów należy je oczyścić. W szczególności żaden z nich nie proponuje zastępowania chrześcijaństwa jakąś nową formą religii, która miałaby z niego wyewoluować.

Jeśli chodzi o zarzut drugi, należałoby wpierw określić, co jest jeszcze uprawnioną interpretacją Słowa Bożego, a co już fantazjowaniem. Nie podejmuję się oceny zawartości tych dwóch komponentów w dziełach Mickiewicza czy Cieszkowskiego. Jeśli jednak chodzi o Rojka i Tichego, pierwszy w *Liturgii Dziejów* pokazywał, jakie wnioski mesjanistyczne można alternatywnie wywieść z nauczania społecznego Kościoła, drugi dla poparcia swych tez odwołuje się wielokrotnie do Tradycji zawartej w pismach Ojców Kościoła.

***

Jak się okazuje, zarzuty Tomasza Rowińskiego wobec mesjanizmu, zwłaszcza współczesnego, można z łatwością odeprzeć. Co więcej, jego propozycje są zaskakująco podobne do pierwszego typu mesjanizmu opisanego przez Herbicha. Skąd więc u niego niechęć i krytyka tego ruchu? Wydaje się ona wynikać z uproszczonego i stereotypowego ujęcia problemu. Mesjanizm to idea wymagająca dokładnych badań i nazbyt skomplikowana, by dało się ją obalić tak łatwo, jak chciałby Rowiński.

Agnieszka Barszcz

członkini zespołu redakcyjnego czasopisma idei „Pressje". Członkini Klubu Jagiellońskiego. Studentka informatyki na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie oraz filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Metafizyczna otchłań polskiej polityki

Ze Steffenem Huberem rozmawia Konstanty Pilawa

O polskim problemie pogodzenia polityki z metafizyką, o polskim Kościele, któremu z zachodniej perspektywy bliżej raczej do Moskwy niż Rzymu, a także o filozofii politycznej Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska.

Jarosław Kaczyński w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Sieci" stwierdził, że nihilizm jest jedyną alternatywą dla chrześcijaństwa regulującego w Polsce stosunki społeczne. Jak badacz polskiej filozofii politycznej reaguje na takie sformułowanie?

Polska polityka – a szczególnie ten polityk – nie znosi niuansów. Dla myślącego człowieka to warunki zabójcze. Wystarczy przecież odrobina oczytania, żeby wiedzieć, iż wartości chrześcijańskie przyjmują od wieków różne formy „świeckie", ulegają sublimacji, stają się substratem konstytucji i *de facto* nie istnieją bez wartości autentycznie świeckich. To nie jest tylko postulat świeckiej lewicy, to jest również motyw teologii chrześcijańskiej, od dawien dawna obecny w polskiej myśli społecznej.

Między żywym kultem religijnym a ufundowaną na nim – ale też na zasadach świeckich – suchą normą

prawną znajduje się przecież ogromna przestrzeń. Wspomnijmy choćby polsko-litewską tradycję prawa naturalnego, a więc: Stanisław ze Skarbimierza i Paweł Włodkowic na początku XV w. czy Aaron Aleksander Olizarowski w połowie XVII w. Siłą tej tradycji jest zdolność do czerpania z różnych szkół. W jej centrum nie toczy się walka z takim czy innym „sortem nihilistów", lecz rzetelnie badany jest jasno zdefiniowany problem, np. nowa forma państwowości czy dysproporcje społeczne. Proste dualizmy nie wystarczają do rozwiązania złożonych problemów.

Faktem kulturowym jest, że w Polsce tożsamość chrześcijańska jest w wymiarach społecznym i politycznym silniejsza niż w innych krajach. Stąd chrześcijaństwo stanowi pożywkę dla stron w konfliktach politycznych. Pogardliwy, właśnie „anihilacyjny" przekaz stał się normą, i to po obu stronach sporu. A przecież stwierdzenie, że kto nie zgadza się z nami, jest nihilistą, to właśnie przejaw nihilizmu. Jako lewicowy liberał zawsze byłem oburzony tym, jak lewicowi liberałowie mówią o elektoracie wiejskim czy małomiasteczkowym. Pamiętajmy, że pierwszą ofiarą takich wojen jest zawsze słowo, które nie może służyć do myślenia, kiedy musi służyć w takiej walce.

Tomasz Rowiński w pracy „Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych" pisze, że „Polska będzie chrześcijańska albo nie będzie jej wcale". I to nie jest już wypowiedź polityczna, ale dosłowny cytat z książki roszczącej sobie pretensje do eseistyki filozoficznej.

To jest – podobnie jak u Kaczyńskiego – pewien zabieg retoryczny, który ma skupiać naszą uwagę na politycznym wymiarze chrześcijaństwa. Problem polega na tym, że tak pojęta nauka Chrystusa jest niezwykle uboga. Co więcej, efekt tego typu generalizacji jest zwykle podobny – ich autorzy deklaratywnie mówią o jedności, a tak naprawdę tworzą mechanizm wykluczenia. Język norm i kanonów bardzo często korzysta w Polsce z chrześcijaństwa.

Gdyby spojrzeć przekrojowo na malarstwo, teatr, a nawet na dyskurs akademicki, to wątki chrześcijańskie wyrażone wprost lub nieświadomie stanowią wręcz kulturową dominantę. Skąd więc lęk przed utratą tożsamości chrześcijańskiej? To jest retoryka zaczepna, zgubna dla samego chrześcijaństwa, bo tak naprawdę niepogodzona z jego wewnętrznym bogactwem. Stąd ucieczka w polityczne hipostazowanie wyizolowanych motywów, myślenie pars pro toto.

Pańskie myślenie można odwrócić – to chrześcijaństwo pozbawione wymiaru politycznego jest niezwykle ubogie. Czy takie sformułowanie nie mieści się już w liberalnym światopoglądzie?

Jako liberał przyznam, że osoba wierząca powinna żyć w sposób naturalny, nie przekłamując swoich wewnętrznych przekonań w sferze publicznej. Nie może nam zależeć na schizofrenii. Bliskie mi są szkoły liberalne, które definiują wolność polityczną w oparciu o wolność wewnętrzną i wolność słowa. Wtedy musi paść zdanie, że „nie zgadzam się z twoim poglądem, ale chcę, byś mógł go rozwijać i głosić". Tylko gdzie powinna leżeć granica tej wolności? Formuła, że granicą mojej wolność jest twoja wolność i vice versa, wiązała się w przeszłości z dość jasno określoną sferą prywatną, czyli domem, do którego przedstawiciel władzy, obcy czy sąsiad, nie może po prostu wejść. W dzisiejszym usieciowionym świecie tego typu definicje stały się sprawą dla ekspertów. Warto zatem szukać gdzie indziej. I proponuję podejść do tej kwestii od strony jakości.

Jeśli osoby i wspólnoty chrześcijańskie wnoszą do debaty publicznej treść światopoglądową na odpowiednim poziomie edukacyjnym, to tym lepiej dla wszystkich. Problemem polskiego Kościoła katolickiego jest niski poziom intelektualny tam, gdzie ma największy wpływ: w szkołach i w mediach. Obecna forma quasi-państwowej katechezy pogłębia podział społeczeństwa, bo dusze wrażliwe na metafizykę nie znajdują tu żadnej wiedzy, a reszta uczniów wychodzi z odrazą czy cynizmem. W tym miejscu liberalizm powinien zdecydowanie wkroczyć i stwierdzić: albo szkoła publiczna będzie uczyć wiedzy, albo nie powinna uczestniczyć w nauczaniu religii. Podobnie z mediami. Liberalizm powinien prowadzić politykę projakościową, inwestując koncepcyjnie, nie tylko finansowo, w edukację, szkolnictwo wyższe

(nauki teologiczne w odpowiednio szerokim wachlarzu), media publiczne. A polski liberalizm jeszcze nie odkrył tych obszarów.

Warto zauważyć, co obecnie dzieje się na Zachodzie z teologią islamską. Praworządne, liberalne państwa zrozumiały, że trzeba zakładać instytuty uczące teologii islamskiej w horyzoncie wartości zapisanych w konstytucji. Również Polska miała w przeszłości niemałe osiągnięcia, gdy chodzi o jakość nauczania różnych grup wyznaniowych. Ale obecnie jest z tym źle.

Skoro Polacy tak często używają w polityce kategorii religijnych, to czy w ogóle pasują do logiki zachodniej demokracji?

Miesza pan dialektykę pojęciową z tendencją psychologiczną. Przecież nie zawsze jest tak, że osoba używająca kategorii religijnych czy metafizycznych z miejsca przekłada je na politykę. Czasem jest wręcz przeciwnie: to metafizyczne wyczulenie oswabadza z ciasnoty myślenia. Myślenie w kategoriach religijnych samo w sobie nie jest problemem. Problemem są psychologiczne tendencje, które podkopują wspólnotę polityczną. Spotykamy się z fanatyzmem religijnym i antyreligijnym, wtórnie ureligijnionym i całkowicie areligijnym. Logiki zachodniej demokracji nie można określić lepiej niż w preambule Konstytucji RP: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł, równi w prawach i w powinnościach wobec dobra wspólnego – Polski (...)". Pytanie jest: gdzie w realnym życiu obywatele spotykają się z tą zasadą? I co są gotowi dla niej uczynić?

Zachód, wliczając w to Polskę, wypracował kilka strategii. Jedną z nich jest nowożytny konstytucjonalizm, czyli umiejętność poruszania się po różnych płaszczyznach językowych, dopuszczając przy tym dużą elastyczność interpretacji dostosowanych do indywidualnych sumień. To wspaniałe osiągnięcie jest jednak ugruntowane na wielowiekowej tradycji ciągłości pewnych instytucji. I z tym jest w Polsce trudniej niż na ścisłym Zachodzie. Polska myśl nie wypracowała jeszcze autonomicznego języka, który pozwalałby na wyważone połączenie metafizyki z polityką. Stąd brak konsensusu. A może wynika to bardziej z ogólnej niechęci Polaków do jawnego konsensusu?

Wydaje mi się, że takiego porozumienia nie odnajdziemy również na Zachodzie. Co najmniej od rewolucji obyczajowej '68 trudno wierzyć w ideał neutralnego państwa, które nie będzie promowało jakiejś wizji „dobrego życia". Konstytucja to nie wszystko.

Ideał „dobrego życia" to dość niejasna kategoria. Co konkretnie ma Pan na myśli?

Zostawiając kwestie najbardziej kontrowersyjne dla tradycjonalisty, jak legalizacja małżeństw homoseksualnych czy aborcji, istnieje na Zachodzie na przykład do tendencja promowania postaw ekologicznych, zdrowego żywienia czy niepalenia papierosów. Tutaj kończy się suchy konstytucjonalizm.

Konstytucja to nie jest zarządzana przez specjalistów sfera abstrakcyjnych zasad. To jest agora, miejsce walki politycznej utrzymywanej w pewnych ramach i formach. Mówił pan o aborcji w Polsce i ekologii na Zachodzie. Tymczasem w Polsce nie ma prawa do aborcji, Polki jeżdżą za granicę. Natomiast warunki ekologiczne są w Polsce takie, że trzeba mówić – analogicznie do eutanazji jako „dobrej śmierci" – o *kakotanazji*, czyli śmierci złej, niepotrzebnej, głupiej, zawstydzającej. W obu sprawach mowa jest o życiu i śmierci. W pierwszej dyskusja dotyczy rocznie około tysiąca trudnych przypadków zagrożenia życia matki, czyli dylematów etycznych *in extremis*. Druga kwestia dotyczy bez wyjątku wszystkich. Jeśli dla kogoś ważna jest etyka w polityce, to powinien zachować proporcję.

Konstytucjonalizm, który przynosi pewną etycyzację polityki, uczy pierwszeństwa spraw centralnych, dających się rozciągnąć analogicznie na sprawy bardziej szczegółowe. Na pierwszym miejscu jest bezpieczeństwo fizyczne i psychiczne, prawne, ekonomiczne, socjalne. Ekologia – czyli bezpieczeństwo fizyczne – to nie są przecież sprawy lifestyle'owe, ale

fundamentalne, tyle że rozłożone w czasie: zachorowalność i umieralność „na powietrze" w Krakowie, zmiany klimatyczne, monokultury rolnicze i przemysłowa żywność, bakterie odporne na antybiotyki. Z tych fundamentalnych spraw można wyprowadzić zasady etyczne i ostrożnie dyskutować ich przydatność in extremis. Postępując na odwrót można tylko skończyć w ideologicznym zapętleniu.

Konstytucjonalizm opiera się na zasadzie „jeden człowiek to jeden głos". Kwestie mniejszościowe są często po ludzku ciekawsze, ale trudniej je uogólniać. Kiedy o tym zapomnimy, wpadniemy w wir partykularyzmów. Jest to zresztą problem lewicy liberalnej, która w ostatnich dekadach zbytnio skupiła się na sprawach poszczególnych mniejszości.

Mogę tylko powtórzyć, że katolicyzm pozbawiony zaangażowania społeczno-politycznego pozostaje dla Polaków zbyt ubogi. To duża różnica między Polską a Niemcami. Jadwiga Staniszkis pisała, że o ile w Niemczech politykę kształtuje tzw. dyktat formy, tak w Polsce dominuje dyktat idei. Czy święty Tomasz to największy problem polskiej polityczności?

A jeśli powiem „tak", to będziemy krytykować *Sumę teologiczną*? Po scholastycznemu odpowiem, odróżniając. Po pierwsze, polski tomizm bez trudu pomieści wszystkie ważne stanowiska polityczne. Są tomiści radiomaryjni, pisowscy, platformerscy i tęskniący za lewicą z prawdziwego zdarzenia. Spójrzmy na wpływową postać prof. Mirosława Krąpca i zestawmy późne prace jego nauczyciela, prof. Stefana Swieżawskiego, z obecną publicystyką jego spadkobiercy, prof. Jaroszyńskiego: czy to jeszcze pluralizm czy już rozłam?

Po drugie, w polskiej polityce funkcjonuje tomizm wtórny, XIX-wieczny, zrodzony z ruchu antymodernistycznego, a nie ten średniowieczny, który w świecie mediów nie byłby *operabilis*. Co więcej, raczej nikt nie pamięta o polskim tomizmie wczesnonowożytnym, uprawianym bardziej publicznie i wchodzącym w interakcję z myślą Erazma z Roterdamu, Kartezjusza i Thomasa Hobbesa. Z tego okresu ostał się sam Piotr Skarga jako patron ruchów tradycjonalistycznych. A gdzie Marcin Śmiglecki, Maciej Sarbiewski czy Aaron Aleksander Olizarowski? Gdzie symbioza między XVIII-wiecznym tomizmem a Oświeceniem fizjokratów? Gdzie bogata polska recepcja szkoły lowańskiej w XX w., gdzie tomizm fenomenologiczny, gdzie obecny dialog między realizmem ontologicznym a filozofią analityczną? Szeroki wachlarz pozycji politycznych, które dziś wiążą się mniej lub bardziej z tradycją tomistyczną, pozostaje niewidoczny, bo stosujemy zbyt ubogie pojęcie tomizmu jako tradycji intelektualnej.

I po trzecie, w rozumieniu tomizmu, a właściwie całego Kościoła katolickiego w Polsce, zachodzi antynomia. Otóż wielu Polaków uważa, że Kościół łączy nasz kraj z Zachodem i chroni przed Wschodem. Owszem, opór przeciw carskiej i radzieckiej Rosji udał się w sporej mierze dzięki Kościołowi. Natomiast w relacjach wewnętrznych polskiego społeczeństwa Kościół utrwala wiele wzorów wschodniej kultury politycznej. Patrząc na to z zachodniego punktu widzenia, można powiedzieć, że polski Kościół katolicki jest *de facto* autokefaliczny. Nawet jeśli tradycjonalistyczni tomiści bardzo chcą rozumieć swoją wizję jako rdzennie zachodnią, to pozostaje ona w wielu aspektach podobna do wschodniego holizmu i jego krytyki zachodnich racjonalizmów i empiryzmów, absolutyzmów i konstytucjonalizmów. Tak to jest, jak się mieszka nad uskokiem sejsmicznym.

Proste oskarżanie tomizmu o to, że psuje polską politykę, nie byłoby niczym więcej niż napędzaniem manichejskiego dualizmu. Trzeba postrzegać tomizm w jego bogactwie i jednocześnie pamiętać o alternatywach, o szkołach nominalistycznych, które często radzą sobie lepiej z antropologią leżącą u podstaw zachodniego konstytucjonalizmu. I one również odegrały istotną rolę w polskiej historii intelektualnej, od samych początków.

Chce Pan powiedzieć, że nominalizm jest bardziej demokratyczny?

Jest taka zależność. Nominalista prędzej odczyta jakąś normę prawną w ramach ludzkiego porządku prawnego niż na tle metafizycznego Absolutu, któ-

ry zwykle ma swoje przedstawicielstwo w jakimś politycznym absolucie. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że społeczeństwa „nominalistyczne" (za takie uchodzi niemieckie) są lepsze, ponieważ były bardziej oświecone czy demokratyczne. Akurat w Niemczech nie zabrakło absolutyzmów i brutalnych dyktatur. Konstytucja niemiecka, tzw. Ustawa Zasadnicza, opiera się na filozoficznych zasadach, które są bliskie Kantowi. Ale wolę polityczną, by żyć w demokracji, trzeba było w 1948 r. hipotetycznie zakładać, a politycznej siły dostarczyli alianci.

Akurat nominalista nie powinien przyjmować istnienia niezmiennej narodowej substancji kulturowej, która byłaby w Niemczech nominalistyczna, a w Polsce realistyczna. Pewne tendencje tak, ale są one ograniczone czasowo, terytorialnie i przede wszystkim socjologicznie. Zakładanie absolutnej dominacji realizmu ontologicznego dla całej polskiej tradycji intelektualnej to błąd. Co innego kultura akademicka, a co innego żywa kultura.

Początki filozofii akademickiej były w Polsce bardziej nominalistyczne niż w wielu rejonach, gdzie rozwijała się filozofii niemiecka. Co więcej, to się bezpośrednio przekładało na myśl polityczną. Pisma Pawła Włodkowica są wyraźnie nominalistyczne, korzystają z tzw. heterodoksyjnego arystotelizmu, z prawa rzymskiego, z nurtów dążących do demokratyzacji życia kościelnego, ale także z tradycji papalizmu. Dalsze dzieje Uniwersytetu Krakowskiego to czas mistrzowskiego przenikania realizmu i nominalizmu.

Kultura akademicka w Polsce nie była skłonna do radykalizmu. Stąd niektórzy zarzucają jej zbytnie umiarkowanie, eklektyzm, lęk przed konsekwencją. I rzeczywiście, Polacy w małym stopniu recypowali nowatorstwa, które radykalnie zmieniły myślenie o wspólnocie politycznej we wczesnej nowożytności. Z niechęcią reagowali na Kartezjusza, Spinozę, bardzo źle na Hobbesa.

Badania socjologiczne pokazują, że Polacy wciąż traktują państwo jako coś naturalnego. Myślę, że tradycja pojmowania państwa jako efektu umowy między jednostkami nigdy nie była u nas zakorzeniona. Czy to największa odmienność Polaków od, dajmy na to, Niemców?

Nie, Niemcy również długo pozostawali sceptyczni wobec teorii umowy społecznej. Specyfiki Polaków upatrywałbym raczej w ich rozumieniu relacji, które łączą Rzeczpospolitą z takimi wspólnotami jak dom, rodzina, wieś czy miasto, ze wspólnotami etnicznymi i wyznaniowymi, ze stanami i warstwami społecznymi. Inna struktura społeczeństwa rodzi inne potrzeby intelektualne, a na polskie potrzeby trudno było odpowiedzieć na podstawie teorii Spinozy czy Hobbesa.

Polacy trwali przy terminologii Arystotelesa, której zaczęli używać w języku ludowym bardzo wcześnie (ok. 1600 r.), a następnie słabo dostosowywali do nowych warunków. Jeśli Polacy traktują państwo jako coś naturalnego, jak pan powiedział, to właśnie w takiej konserwatywnej arystotelesowskiej dykcji sprzed Bacona. Dzięki temu można było zakorzeniać politykę jednocześnie w prywatności i metafizyce.

W XVII w. odpowiadało to decentralizacji życia politycznego i intelektualnego, silnej roli dworu szlacheckiego. A później pomagało przetrwać kryzysy i odradzać się po katastrofach, choć już nie po powstaniu listopadowym. Henryk Rzewuski jeszcze pisał w starej terminologii, ale romantycy zastąpili Arystotelesa mistyką ludową, socjalizmem utopijnym, mesmeryzmem i poezją.

Ma Pan rację, pojmowanie wspólnoty politycznej jako tworu naturalnego utrudniało w Polsce recepcję doktryn nowożytnych, które skupiały się na centralnej władzy i jednolitej ekonomii narodowej. Odmowa recepcji nastąpiła jeszcze w XVI w., długo zanim pojawiła się teoria umowy społecznej. Tu zachodzi różnica między Polską a Niemcami i Zachodem. Czy Rzeczpospolita przetrwałaby, gdyby była urządzona bardziej nowożytnie? Być może tak, być może nie. Szlachecka wiara w „naturalną" więź Absolutu, domu i Rzeczypospolitej pomimo swojej barwności nie była radykalizmem politycznym, raczej przyziemnym realizmem, może za bardzo przyziemnym.

Dziś jesteśmy świadkami radykalnego konfliktu. Po jednej stronie „zdrajcy", a po drugiej „faszyści".

To nie jest polityczny radykalizm?

Większość Polaków nie chce uchodzić za radykałów, ale lubi oskarżać drugą stronę sporu o radykalizm. Podobnie są skonstruowane programy partii politycznych. Zresztą konflikt między „zdrajcami" a „faszystami" jest amortyzowany przez więzi rodzinne, oczywiście nie bez skrzypienia i ran. Zauważmy, że podziały ekonomiczne są głębokie, jeśli patrzeć z perspektywy jednostek. Natomiast nie utrwaliły się jeszcze do końca między rodzinami. W wielu rodzinach są osoby o niskich i wysokich dochodach, a wyrównywanie różnic jest kwestią solidarności międzypokoleniowej. Obecnie Polacy zmieniają zdanie w kwestii rozdziału ciężarów tej solidarności między państwem a rodziną. Jest to kwestia fundamentalna, wręcz paląca. Od jej rozwiązania zależy bardzo wiele i z tego też bierze się siła konfliktu.

W Polsce istnieją dwa równoległe modele rozumienia polityki, których reprezentantami są Jarosław Kaczyński oraz Donald Tusk. Pierwszy model skupia się na woli narodu, a dla odpowiedniego jej wyrażania instrumentalnie podchodzi do instytucji. Akceptuje jeszcze, choć niechętnie, podział władzy (liczba pojedyncza), ale nie potrafi zaakceptować podziału władz (liczba mnoga). O ile instytucje zostały stworzone pluralistycznie, to muszą dostać się pod jeden centralny ośrodek. Ważne, by to się wiązało z dynamiką konfliktów ekonomicznych. Nieważne, aby to było poprawne formalnie, a nawet lepiej, by nie było. W moim przekonaniu jest to psucie państwa.

Tusk natomiast jest zakotwiczony w zachodnim konstytucjonalizmie i pluralizmie władz. Reprezentuje bardziej zamożnych Polaków i pewnie stąd przeceniał możliwości recepcyjne innych grup społecznych, jeśli chodzi o konstytucjonalizm. Jednocześnie nie rozpoznał ich potrzeb ekonomicznych i politycznych. Więc ignorował sferę socjalną.

Trudno tu być symetrystą. Dla mnie stabilność instytucji i prawa jest *conditio sine qua non* długofalowej, wyważonej redystrybucji. Uważam, że potrzebna jest nowa oferta polityczna, połączenia praworządności z odpowiednio szerokim pojęciem polityki, by reagować na problemy socjalne. Ale „duopol" chyba już za bardzo się utrwalił. W końcu to jest najprostszy demokratyczny system partii politycznych, tylko w dyktaturach są jeszcze prostsze.

Problem polega na tym, że obie strony odmawiają przeciwnikom prawa do bycia Polakiem. Czy podobna retoryka obecna jest w Niemczech?

Tak, jak najbardziej. Społeczeństwo niemieckie się zmienia. Skrajne opcje polityczne są dziś dużo silniejsze niż 10 lat temu. W Saksonii na przykład Alternatywa dla Niemiec może wygrać wybory, i to już jest partia radykalna, szczególnie w landach wschodnich również ekstremistyczna. Tam ludzie odmawiają sobie prawa do bycia Niemcem lub do bycia w Niemczech. Jeden rozumie niemieckość przez Ustawę Zasadniczą, a drugi przez pochodzenie etniczne. Umiarkowanie współczesnych Niemiec to mit dobrze funkcjonujący w Polsce. Stabilność gospodarki i instytucji politycznych w Niemczech robi wrażenie, ale z czasem zmienia się ona w rutynę, która wycisza czujność na procesy społeczne. Taka rutyna akurat Polakom nie grozi.

Steffen Huber

szef Zakładu Filozofii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Konstanty Pilawa

współredaktor naczelny czasopisma „Pressje". Koordynator krakowskiego oddziału Klubu Jagiellońskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Spór o III RP

Patrzymy na Okrągły Stół niczym na kłótnie rozwiedzionych rodziców. Na końcu każą nam wybierać: Michnik czy Kaczyński? Nas ten wybór już nudzi, bo Polska i stojące przed nią wyzwania już od dawna są poważniejsze niż rozstrzyganie personalnego sporu elit, które walczyły 30 lat temu o polityczną władzę w rodzącym się państwie. Dzisiaj nie ma już sensu spierać się o Okrągły Stół.

Okrągły Stół to symbol Waszej złej polityki

Krzysztof Mazur

Okrągły Stół to najbardziej prozaiczny na świecie moment negocjacji w ramach elit. Każdy z liczących się aktorów chciał uzyskać dla siebie jak najlepszą pozycję startową w nowym rozdaniu. Jednym te negocjacje poszły lepiej, drugim gorzej. Jedni dostali funkcję prezydenta, drudzy „Gazetę Wyborczą", a jeszcze inni Komisję Majątkową. Okrągły Stół nie jest niczym więcej jak symbolicznym początkiem współczesnej polskiej polityki. I jak polska polityka nie jest on ani biały, ani czarny, ale po prostu szary. Jeśli prawica ma kiedyś stać się sprawcza nie tylko w generowaniu mitów oraz efektownej retoryce politycznej, ale również w realnym rządzeniu, to musi uznać III RP za własne państwo. Droga do tego wiedzie przez zaakceptowanie całej wieloznaczności Okrągłego Stołu.

Kolejne rocznice obrad Okrągłego Stołu coraz bardziej przypominają kłótnie rozwiedzionych rodziców. Nam przypadła rola dzieci, którzy przy każdych świętach muszą na nowo przeżywać spory sprzed 30 lat. Za oknem świat się zmienia, wnuki rosną, na co dzień w pracy robimy rzeczy, które naszym rodzicom nawet się nie śniły. A tu ciągle to samo. „No powiedz: kto był bardziej winny? Mamusia czy tatuś? Jaruzelski czy Wałęsa? Michnik czy Kaczyński?". Pora z tym skończyć.

PAŁKA W BIEŻĄCEJ POLITYCE

Nie powiem, przez lata dawałem się w to wkręcać. Czytałem z wypiekami na twarzy kolejne publikacje, które odsłaniały kulisy tamtych negocjacji. Analizowałem, kto z kim rozmawiał w Magdalence, kogo dopuszczono do stołu, a komu została przypisana tylko rola kontestatora. Rozgrywałem w myślach warianty alternatywne. Co można było zrobić lepiej? Jak ugrać więcej? Z biegiem lat mój entuzjazm dla takich zabaw intelektualnych zupełnie opadł. Dziś widzę, jak bardzo spór o Okrągły Stół jest sporem personalnym, który ma jedynie legitymizować przynależność do jednego z politycznych plemion.

Słowa Mariusza Błaszczaka, że ustawa o SN i KRS „kończy w Polsce komunizm", budzą już tylko śmiech i politowanie. Czy gdy rok później PiS pod wpływem Brukseli wycofywał się rakiem z jej zapisów, to komunizm został reaktywowany? Żadnej wiarygodności nie ma również Tusk inicjujący Ruch 4 Czerwca. Czy już raz takiego „obywatelskiego" projektu w kolebce Solidarności nie powoływał? I w tym wypadku mit pierwszych „wolnych" wyborów nie służy niczemu innemu jak grze ze Schetyną.

Ustawiacie sobie Okrągły Stół jak wam wygodnie. Używacie go jako narzędzia do prowadzenia kolejnych wojenek podjazdowych. A my, z wdzięczności za dawne zasługi, mamy bezkrytycznie popierać nieudolne próby „reformy" sądownictwa albo żyrować wasze próby powrotu do polskiej polityki.

Na 30 lat zapewniliście sobie w ten sposób hegemonię. Dla mojego pokolenia, które gdy powstawał rząd Mazowieckiego, nie dostało tek ministerialnych, lecz pierwsze szkolne plecaki, wejście do politycznej gry musi prowadzić przez rytualne opowiedzenie się po którejś ze stron. I choć tamten podział już dawno się zdezaktualizował, to ciągle musimy odpowiadać: „kto był bardziej winny: Michnik czy Kaczyński?". Także z powodu tego pokoleniowego „upupienia" (bardziej krewcy czytelnicy mogą w tym słowie podmienić „p" na „d") mam już dość tego sporu.

OKRĄGŁY STÓŁ NIE MA W SOBIE NIC WZNIOSŁEGO

Paradoksalnie, im bardziej natrętnie stawiacie przed nami to pytanie, tym bardziej ujawniacie jego wyłącznie rytualny charakter. Nikt z was, politycznych graczy, już chyba nie ukrywa, że nie chodzi mu o rzetelną ocenę wydarzeń historycznych. W ten sposób, wbrew własnym intencjom, popularyzujecie najprostszą, a zarazem najprawdziwszą legendę Okrągłego Stołu.

Nie, nie był to napisany w Moskwie tajny plan polegający na tym, by zdrajcy z „S" sprzedali Polskę „czerwonym". Nie, nie była to również powszechnie zaakceptowana umowa społeczna oraz wielkie zwycięstwo naszej demokracji. Był to najbardziej prozaiczny na świecie moment negocjacji w ramach elit, gdy każdy z liczących się aktorów chciał uzyskać dla siebie jak najlepszą pozycję startową w nowym rozdaniu.

Jednym te negocjacje poszły lepiej, drugim gorzej. Jedni dostali funkcję prezydenta, drudzy „Gazetę Wyborczą", a jeszcze inni Komisję Majątkową. Nie ma co jednak doszukiwać się tu drugiego dna, ani tym bardziej wielkiej metafizyki tego wydarzenia. Okrągły Stół nie jest niczym więcej jak symbolicznym początkiem współczesnej polskiej polityki. I jak polska polityka, nie jest on ani biały, ani czarny, ale po prostu szary. Ot, odwieczna plątanina interesów, indywidualnych ambicji i ślepego losu.

LEWICA WYKLUCZA

W białej legendzie, forsowanej przez liberalną lewicę, najbardziej irytuje mnie obłuda. Lewica na sztandarach głosi hasła walki z wykluczeniem, a cała jej aktywność wokół Okrągłego Stołu polegała na maksymalnym wykluczeniu konkurentów politycznych. I przyznajmy szczerze, to był prawdziwy majstersztyk.

Kuroń i Michnik, uznani za „zawodowych antykomunistów", mieli w ogóle przy stole nie zasiąść, bo taki wzbudzali lęk i nienawiść w aparacie partyjnym. Wałęsa musiał pisać specjalny list do Kiszczaka, by się o nich upomnieć, a negocjacje w tej sprawie trwały prawie trzy miesiące. Ostatecznie komuniści zmienili zdanie, a byli KOR-owcy z outsiderów nagle stali się głównymi rozgrywającymi.

Nikt już dzisiaj się z tym szczególnie nie kryje. W niedawno wydanej książce *Psychologia Okrągłego Stołu*, którą na okładce rekomenduje sam Michnik, można już było opublikować charakterystykę tego środowiska przygotowaną przez Dyrektora Departamentu III MSW pod koniec 1988 r.: środowisko KOR-u dąży do „utrzymania wyłączności na doradztwo Wałęsie", chce mieć decydujący głos na temat składu rozmówców oraz kontrolować tematykę rozmów. Michnik w tym czasie zamieszkał w Gdańsku, dzięki czemu mógł zbudować bliższą relację z Wałęsą. Kluczowe posunięcia dalej konsultuje z Kuroniem i Geremkiem, do których dołącza Mazowiecki.

Nawet jeśli w tej opinii jest pewna przesada, bo pułkownik SB chciał po prostu ostrzec Jaruzelskiego przed siłą byłych KOR-owców, to nikt nie zaprzeczy, że to ten „gabinet Wałęsy" będzie miał kluczowy głos na każdym etapie rozmów. To oni nominują Henryka Wujca na „oficera kadrowego Okrągłego Stołu". Ten będzie decydował o składzie delegatów, podstolików i ekspertów, nominując w ten sposób nową elitę III RP. To oni staną się również największymi beneficjentami tego procesu. Dostaną w spadku nie tylko legendę pierwszego niekomunistycznego premiera, na której zbudują Unię Demokratyczną. Przede wszystkim jednak wynegocjują sobie „Gazetę Wyborczą", która da im szansę na hegemonię kulturową aż do czasu powstania internetu. Trzeba przyznać, że było warto te kilka miesięcy pojeździć pociągiem do Gdańska i nosić za Lechem walizki.

Tajemnicy ich znaczenia nie trzeba jednak szukać w teoriach spiskowych czy archiwach tajnej policji. Ich kluczowa rola jest poniekąd zrozumiała. W momencie przełomu to oni stanowili najbardziej zwartą grupę o wybitnych zdolnościach analitycznych oraz rozległych znajomościach – nie tylko w opozycji, ale również w establishmencie partyjnym. Mieli odwagę myśleć ponad schematami, by zawierać zupełnie nowe sojusze. Co być może najważniejsze, choć często pomijane – mieli również świetne kontakty na Zachodzie. Ten ostatni atut okaże się mieć kluczowe znaczenie nie tylko wtedy, gdy zachodnia prasa poda informację, jeszcze przed oficjalną decyzją KC PZPR, że w Polsce odbędą się wolne wybory do Senatu, stawiając w ten sposób komunistów przed faktami dokonanymi. Zaważy zwłaszcza wtedy, gdy przyjdzie Wałęsie wskazać kandydata na premiera, którego jednym z podstawowych zadań będzie renegocjowanie kredytów z Zachodem.

To wszystko nie powinno nam jednak przesłonić podstawowego faktu. Dzięki swoim niewątpliwym talentom do gier zakulisowych „gabinet Wałęsy" dokonał zawłaszczenia dziedzictwa „S". W kluczowym momencie rolę reprezentantów ruchu społecznego o wyraźnie narodowo-katolickim i antykomunistycznym etosie przejmuje mało liczne środowisko lewicy laickiej oraz „koncesjonowanych katolików". Zdając sobie sprawę z bycia w mniejszości, dążą do zawężenia reprezentacji strony społecznej przy Okrągłym Stole, co potem powtórzą przy tworzeniu list na wybory czerwcowe.

Z „lotu ptaka" Okrągły Stół może wyglądać jak pojednanie ponad podziałami. Tak naprawdę było to jednak pojednanie części elit poprzez wykluczenie wielu innych grup społecznych i środowisk opozycyjnych. Lista jest rzeczywiście imponująca. W tym procesie nie znalazło się miejsce dla: Konfederacji Polski Niepodległej, Solidarności Walczącej, Unii Polityki Realnej, Grupy Roboczej Komisji Krajowej, łódzkiej grupy Grzegorza Pałki, środowiska czasopisma „Głos", środowiska Jana Olszewskiego, grupy Anny Walentynowicz, Klubu Politycznego '88…

Na jesieni 1981 r. odbyły się pierwsze demokratyczne wybory na szefa „S". Przeciwko Wałęsie wystartowali wówczas Jan Rulewski, Marian Jurczyk i Andrzej Gwiazda. Łącznie uzyskali wówczas 45% głosów delegatów. Osiem lat później dla nikogo z nich nie znalazło się miejsce przy Okrągłym Stole.

Zmarginalizowany został również potencjał rewolucyjny pokolenia Niezależnego Zrzeszenia Studentów oraz Federacji Młodzieży Walczącej, które dopiero

wchodziło na scenę polityczną. Grupa Kuronia odrzuciła zatem liczne i bardzo zasłużone w latach 80. środowiska. Zręcznie rozegrano podział na dążących do dialogu „pragmatyków" i pałających rządzą rozlewu krwi „fundamentalistów". Dzięki hegemonii „Gazety Wyborczej" taki sposób „etykietowania" stanie się zresztą metodą tego środowiska również w kolejnych latach.

Powiecie, że to „prawicowe gadanie". Być może macie rację. Wcześniej jednak skonfrontujcie się z zapomnianym dziś, a symbolicznym faktem. Przy okazji tworzenia list na wybory czerwcowe pojawiła się kwestia tożsamości przyszłych posłów i senatorów. Aleksander Hall i Tadeusz Mazowiecki, których trudno było zaliczyć do „fundamentalistów", zaproponowali, by reprezentanci strony opozycyjnej mieli możliwość w trakcie kampanii prezentowania swoich odrębnych środowisk politycznych. Miałoby to pozwolić na ujawnienie się i uznanie naturalnego pluralizmu w obrębie szerokiego ruchu społecznego. Propozycja ta nie spodobała się reszcie „gabinetu Wałęsy", dlatego została szybko utrącona. W wyniku tego ani Hall, ani Mazowiecki nie kandydowali w wyborach 4 czerwca. Dziś wydaje się to absurdalne, bo Mazowiecki kilka tygodni później został premierem. Wcześniej jednak na własnej skórze doświadczył, co to znaczy zostać wykluczonym przez „familię"...

REGUŁY NIE MAJĄ ZNACZENIA

Kończąc wątek białej legendy Okrągłego Stołu jako „święta demokracji", musimy jeszcze zmierzyć się z dwoma niewygodnymi faktami. Pierwszy z nich to oczywiście negocjacje w Magdalence. Przeszło mi już młodzieńcze oburzenie na fraternizowanie się przy wódce. Świadectwa uczestników tych rozmów pokazują, że nie było również żadnego „tajnego porozumienia". Przyjmuję także ze zrozumieniem, że tak trudne rozmowy wymagają negocjacji w mniejszych grupach.

Moje zastrzeżenie do Magdalenki jest inne. Doszło tam, po raz kolejny, do oczywistego wykluczenia. Jeśli Okrągły Stół, jak twierdzi Janusz Reykowski, szef zespołu politycznego z ramienia PZPR, był jedynie forum akceptacji najważniejszych ustaleń, które wcześniej zapadały właśnie w Magdalence, to należało zapewnić pluralizm strony solidarnościowej w tych rozmowach. Tymczasem spośród siedemnastu osób biorących udział w tamtejszych spotkaniach z ramienia „S" aż dziesięć w kolejnych latach stało się politykami Unii Demokratycznej lub Unii Wolności. Te partie w demokratycznych wyborach do Sejmu nigdy nie zdobyły więcej niż 13% głosów. Tymczasem wśród negocjatorów w Magdalence stanowili 60%. Nie trzeba odwoływać się do żadnej teorii spiskowej, by dostrzec w tym uzurpację.

W sierpniu 1980 r. negocjacje z władzą toczyły się na oczach wszystkich, by każdy miał poczucie udziału w nich. Szeregowi stoczniowcy nagrywali je wówczas na magnetofony szpulowe. W 1989 r. zostały one zawłaszczone przez grupę Kuronia, przy wykluczeniu wielu innych środowisk. Jedynym nagrywającym ich treść był Kiszczak.

Wreszcie drugi niewygodny fakt z perspektywy białej legendy to zmiana ordynacji wyborczej pomiędzy I i II turą wyborów czerwcowych. Ordynacja nie przewidywała bowiem, że w I turze ponad 50% wyborców skreśli kandydatów ówczesnego establishmentu, którzy znaleźli się na tzw. liście krajowej. A tak stało się w przypadku 33 prominentnych działaczy partyjnych. Chcąc działać zgodnie z prawem, należało wówczas przyjąć, że liczba posłów zostanie pomniejszona o te 33 mandaty. Dokładnie taką wykładnię zaprezentowali prawnicy KC PZPR, którzy choć przez lata działali w służbie partii komunistycznej, to tu wydali jasną ekspertyzę. Nie zmienia się zasad w trakcie gry!

Kierownictwo „S" miało jednak inne zdanie na ten temat. Rękami prominentnych profesorów prawa, którzy w III RP staną się głównymi obrońcami praworządności, dokonają interpretacji „rozszerzającej". Wyślą w ten sposób jasny sygnał, że prawo jest wtórne wobec interesów politycznych. Można je dość elastycznie interpretować, w zależności od kontekstu. Jak napisze Antoni Dudek: „zgoda na manipulowanie ordynacją dowiodła, że przywódcy Komitetu Obywatelskiego skłonni są dla realizacji swoich planów politycznych instrumentalnie traktować wolę większości społeczeństwa. Dla wielu Polaków oznaczało to zdradę ideowych fundamentów, na których zbudowana została Solidarność, i początek epoki moralnego relatywizmu, który w następnych latach niepodzielnie zapanował w polskim życiu publicznym".

Jeśli do dziś mamy problem z praworządnością, to jednym z prapoczątków tego kryzysu była właśnie zmiana ordynacji wyborczej. Liberalno-lewicowi politycy oraz dziennikarze słusznie dziś krytykujący prawicę za spór z TK i reformę sądownictwa powinni pamiętać o tym grzechu pierworodnym obciążającym ich sumienia.

Z tych wszystkich powodów nigdy nie kupię białej legendy Okrągłego Stołu. Nie było to „święto demokracji", bo nie tak wyobrażam sobie demokrację. Demokracja powinna być inkluzywna i dawać równe szanse różnym środowiskom, by wyrażały swoje poglądy i interesy. Musi opierać się również na jasnych zasadach, których nie można zmieniać w trakcie gry. „Drużyna Wałęsy" przy Okrągłym Stole zachowywała się odwrotnie. Kluczowi doradcy Lecha rozumieli, że ich siłą są zakulisowe gry oraz znakomite kontakty po obu stronach historycznego sporu. Zarazem, jako środowisko typowo inteligenckie, wiedzieli, że bardzo trudno będzie im wygrać w demokratycznych wyborach. Dlatego przez wiele miesięcy nie parli do wolnych wyborów, tylko konserwowali porozumienie z komunistami, nawet gdy można już było od niego odstąpić. Ba, gdy oczekiwała tego znaczna większość Polaków! To jednak nie miało dla nich szczególnego znaczenia, bo to nie wola ludzi, ale historyczna rola inteligencji dawała im mandat do działania.

Na „obrotowej scenie historii" – powie Michnik jeszcze w 1989 r. w rozmowie z Jackiem Żakowskim – to nie zdeprawowane komunizmem społeczeństwo, ale elity mające autorytet intelektualny i moralny mają do odegrania główną rolę. W świetle tych słów Okrągły Stół to nie żadne „święto demokracji", ale porozumienie części elit. Dodajmy, elit mających do społeczeństwa bardzo protekcjonalny stosunek.

JARUZELSKI OSZUKAŁ PARTIĘ

Pod białą legendę chcieli podpiąć się również komuniści. To oni mieli być drugą stroną historycznego porozumienia, która wyrzekła się swojej dotychczasowej władzy dla dobra Polski. Szkoda tylko, że to również bajeczka dla grzecznych dzieci. W rzeczywistości nie mieli oni innego wyjścia. Pod koniec 1988 r. zadłużenie kraju wynosiło 39,3 miliardów dolarów. Stosunek tego zadłużenia do dochodu narodowego wynosił 62,5%. Do tego dochodziła bardzo niska konkurencyjność przemysłu. Materiało- i energochłonność naszej gospodarki była prawie dwukrotnie wyższa niż w RFN czy we Francji. Polska potrzebowała radykalnej modernizacji, zastrzyku kapitału w zachodnich walutach oraz umorzenia choć części zagranicznego długu. Dopiero wtedy można było myśleć o jakiejkolwiek stabilizacji.

John Davis, ambasador USA w Polsce, nie pozostawiał wątpliwości. Zachód pomoże, o ile rząd rozpocznie negocjacje z opozycją, wprowadzony zostanie pluralizm polityczny, na nowo zalegalizowana zostanie „S", zostanie jej zaproponowany jakiś udział w rządzeniu, wreszcie pojawi się perspektywa wolnych wyborów.

Komuniści nie zdecydowali się na Okrągły Stół, bo nagle nawrócili się na demokrację. Komuniści zdecydowali się na Okrągły Stół, bo potrzebowali dolarów. A bez otwarcia się na opozycję nigdy by ich nie otrzymali.

Nie byli jednak w ciemię bici. Za długo bawili się w politykę, by teraz tanio oddać skórę. Dlatego bardzo starannie się do tego procesu przygotowali. Już na początku 1986 r. powołali „Grupę Trzech" złożoną z gen. Władysława Pożogi (zastępcy Kiszczaka, szefa wywiadu i kontrwywiadu), Stanisława Cioska (sekretarza KC) oraz Jerzego Urbana (dziennikarza, a potem rzecznika rządu). To był trzyosobowy think-tank z prawdziwego zdarzenia! Człowiek służb, człowiek partii i człowiek mediów. Świetnie poinformowani, diabelnie inteligentni, odważni w swoich diagnozach. Przez kolejne trzy lata przygotują dla Jaruzelskiego kilkanaście tajnych raportów, które potem zostaną wcielone w życie. Od przystąpienia do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i nawiązania relacji z Zachodem, przez uwłaszczenie nomenklatury i zapewnienie wpływu na media i banki w nowym systemie, po amnestię polityczną, otwarcie się na strategiczną współpracę z Kościołem, manewr kooptacji opozycji „ugodowej" przy jednoczesnym wykluczeniu opozycji „radykalnej". Okrągły Stół nie był wielką improwizacją ze strony komunistów. W swoich kluczowych założeniach został wcześniej przemyślany i zaproponowany przez „Grupę Trzech".

W kalkulacjach komunistów chodziło o to, by podzielić się z „S" odpowiedzialnością, bez dopuszczenia jej przedstawicieli do realnej władzy. Działacze opozycyjni byli potrzebni, by pozyskać przychylność Zachodu i społeczeństwa. Ale nic poza tym. Mieli zostać wrobieni we „współwinę" za trudne reformy, bez przesadnego dzielenia się z nimi łupami. To zresztą rodziło dość zabawne nieporozumienia.

Siadając do negocjacji, strona opozycyjna miała dwa priorytety: legalizację „S" oraz reaktywowanie „Tygodnika Solidarność". To komuniści wyszli z propozycją, że może jednak coś jeszcze, na przykład częściowe wybory do Sejmu. Musieli stronę społeczną do tego dość usilnie namawiać! Tamta bowiem nie kwapiła się, by sięgnąć po władzę. Zarazem komuniści proponowali jedynie „pakiet mniejszościowy", zapewniając sobie zarówno stabilną większość w Sejmie kontraktowym, jak i 6-letnią kadencję prezydenta Jaruzelskiego. W tak zabetonowanym systemie nikomu nie miała prawa stać się krzywda.

Nie przewidzieli jednego. Że społeczeństwo w wyborach 4 czerwca jednoznacznie odrzuci ich hegemonię, co uruchomiło zupełnie nową dynamikę. A gdy Jarosław Kaczyński wywrócił stolik, przeciągając na stronę „S" satelickie partie PZPR-u, droga do rządu Mazowieckiego została otwarta. Takiego biegu spraw nie przewidziała nawet „Grupa Trzech".

Realizowana przez komunistów strategia nie pasuje zatem do białej legendy. Ubieranie ich w buty nagle nawróconych na demokrację skruszonych despotów jest śmieszne. Jeśli kogoś przytoczone dotąd argumenty nie przekonały, to niech uświadomi sobie, że Okrągły Stół był tak naprawdę gwałtem dokonanym przez elity PZPR-u na aktywie tej partii.

Na jesieni 1988 r. 39 (z 49) komitetów wojewódzkich wysłało do Komitetu Centralnego listy protestacyjne przeciwko wstępnym spotkaniom Kiszczaka i Wałęsy. Jeszcze bardziej dramatyczny przebieg miało plenarne posiedzenie KC w styczniu 1989 r. Premier Rakowski rekomendował wówczas, by partia otworzyła się na rozmowy z „S", wspólnie wypracowując plan reform. Spotkało się to z niezwykle ostrą krytyką „dołów". W tej sytuacji Jaruzelski, Siwicki (minister obrony narodowej), Rakowski (premier) i Kiszczak (minister spraw wewnętrznych) powiadomili zebranych, że wobec braku akceptacji dla ich polityki podają się do dymisji. Ten oczywisty szantaż przyniósł spodziewany efekt. Po przerwie doszło do zmiany stanowiska i ostatecznie KC poparło „politykę porozumienia". Ceną tej decyzji było odłączenie się kierownictwa partii od szeregowych członków. Jak celnie spointował to Kwaśniewski: „Jaruzelski oszukał aparat partyjny, a nie przekonał go do reform".

Nie powinniśmy się jednak dziwić oporowi zasłużonych działaczy PZPR. Wielu z nich czuło przez skórę, że zmiany oznaczają koniec ich kariery politycznej. Mieli rację. Po Okrągłym Stole sztandar postkomunistycznej lewicy przejęli niespełna czterdziestoletni Kwaśniewski i ciut starszy od niego Miller. Będą oni czuli pokoleniową wspólnotę raczej z zasiadającymi po drugiej stronie stołu rówieśnikami z KOR-u niż z „leśnymi dziadkami" z dołów swojej partii.

Okrągły Stół z perspektywy komunistów nie był zatem żadnym „świętem demokracji", ale nowym rozdaniem w ramach elit. Mieli zatem dokładnie takie samo nastawienie jak „gabinet Wałęsy".

PRAWICA DELEGITYMIZUJE PAŃSTWO

Wiele obłudy jest również w czarnej legendzie forsowanej przez prawicę. Choć na sztandarach głosi ona hasło „tylko prawda jest ciekawa", to i jej pamięć o Okrągłym Stole jest szalenie wybiórcza. Prawda w tym wypadku jest bowiem niewygodna: jeśli miałaby to być „zdrada elit", to dokonała się ona również rękami ikon prawicy.

Prezydent Lech Kaczyński w wydanym już po jego śmierci *Ostatnim wywiadzie* nie pozostawił cienia wątpliwości: „Nie było żadnego spisku w Magdalence! Każdy, kto uważa, że powołanie rządu Mazowieckiego było rezultatem jakichś tajnych uzgodnień, kompletnie się myli. Mogę o tym mówić z całkowitą pewnością, ponieważ w Magdalence byłem na każdym posiedzeniu".

Z kolei Jarosław Kaczyński kilka tygodni temu zaskoczył wielu, gdy pozytywnie wypowiedział się o pomyśle pomnika dla Mazowieckiego. Zdziwiło mnie to zdziwienie. Tak jakbyśmy zapomnieli, że to

właśnie Kaczyński „przyłożył rękę, jeżeli nie obie ręce", by ten rząd powstał. Jako debiutant w dużej polityce ograł wówczas legendarnego Geremka bardzo liczącego na to, że Historia pozwoli mu odegrać rolę pierwszego niekomunistycznego premiera. „Salon" tej brawurowej akcji debiutanta przeciwko zasłużonemu profesorowi nigdy nie zapomniał.

Nie ma zatem żadnych wątpliwości, że Kaczyńscy byli ważną częścią elity, gdy ta miała dokonać rzekomej „zdrady". I nie jest prawdą, że zrobili to tylko taktycznie, by zaraz zerwać z „logiką Okrągłego Stołu".

Oczywiście, byli zwolennikami „przyśpieszenia". Wiele razy artykułowali chęć mocniejszego odcięcia się od dziedzictwa PRL-u. Na przykład wtedy, gdy zastanawiano się nad zmianą ordynacji między I a II turą. Kaczyńscy zaproponowali wówczas na spotkaniu Komitetu Obywatelskiego, by w zamian domagać się od komunistów wolnych wyborów samorządowych. Ale nie zaproponowali *veta* wobec pomysłu zmiany reguł w trakcie gry! Ten obrazek dobrze pokazuje ich rolę. Nawet jeśli byli za przyspieszeniem, to działali w ramach logiki systemu.

Przecież nazwa ich pierwszej partii – Porozumienie Centrum – nie wzięła się znikąd. Startując na senatorów z Elbląga i Gdańska, tworząc gabinet prezydenta Wałęsy, zostając wiceprzewodniczącym „S" (Lech) czy stając na czele reaktywowanego „Tygodnika Solidarność" (Jarosław), bracia Kaczyńscy byli w centrum ówczesnego establishmentu. Nawet po obaleniu rządu Jana Olszewskiego, po sławetnej „nocy teczek", Jarosław Kaczyński był gotów do rozmów z Unią Demokratyczną na temat nowej koalicji rządowej. Późniejszy prezes PiS-u nie kontestował Okrągłego Stołu, tylko starał się na nim ugrać tyle, ile zdołał.

Jego krytycy mogliby powiedzieć więcej. Przetrwanie środowiska PC w trudnej drugiej połowie lat 90., gdy zostali zupełnie zepchnięci na margines, było możliwe tylko dlatego, że wcześniej zdecydowali się uwłaszczyć na państwowym majątku. Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa – Książka – Ruch" była zapleczem wydawniczym partii komunistycznej od 1947 r. Pod koniec PRL-u była największym koncernem wydawniczo-kolportażowym w Europie Środkowo-Wschodniej. Imperium obejmowało nie tylko wiele tytułów prasowych, ale również ogromną bazę poligraficzną oraz ogólnopolską sieć kiosków. W Porozumieniach Okrągłego Stołu znajdziemy konstatację, że droga do „nowego ładu informacyjnego" wiedzie przez ograniczenie dominacji tego koncernu.

Dlatego Sejm w marcu 1990 r. przyjął ustawę o likwidacji RSW. Na jej mocy, co dziś wydaje się niewyobrażalne, część tytułów prasowych miała zostać zakupiona przez ówczesne partie polityczne jako „forma dopuszczenia opozycji do prasy". Porozumieniu Centrum przypadł w udziale „Express Wieczorny", a oficjalne poparcie dla takiej decyzji Komisji Likwidacyjnej wyraził nie kto inny jak sam Wałęsa, ówczesny przewodniczący „S".

„Express Wieczorny" długo nie przetrwał, ale dla środowiska Kaczyńskich kluczowe okazały się nieruchomości, które posiadła ich fundacja wraz z tym tytułem. Tak powstał majątek głośnej dziś spółki „Srebrna". Tam znajdowali zatrudnienie kluczowi politycy tego środowiska, gdy nagle znaleźli się na politycznym aucie. To jeden z wielu paradoksów III RP.

Środowisko będące największym krytykiem postkomunizmu mogło przetrwać chude lata tylko dlatego, że samo zabezpieczyło swój byt, uwłaszczając się na zapleczu wydawniczym partii komunistycznej. I jak tu wiarygodnie krytykować uwłaszczenie nomenklatury?

KACZYŃSKICH POŻEGNANIE Z OKRĄGŁYM STOŁEM

Kaczyńscy byli zatem ważną częścią establishmentu III RP. Nie bali się korzystać z pojawiających się szans. Wyraźną cezurą jest dopiero końcówka roku 1993. Mają wtedy miejsce dwa ważne wydarzenia.

Z jednej strony, Porozumienie Centrum nie przekracza progu wyborczego w wyborach do Sejmu, przez co Kaczyński ląduje poza Sejmem. Z drugiej strony, wychodzą na jaw fakty związane z tzw. „szafą Lesiaka".

W latach 1992–1993 Urząd Ochrony Państwa podejmował działania obliczone na dezintegrację partii prawicowych. Ten oczywisty skandal, niemający nic wspólnego ze standardami państwa prawa, nigdy nie doczeka się sprawiedliwego wyroku, podobnie jak

wiele innych ciągnących się latami spraw z okresu PRL-u. „Jarosław i Lech Kaczyńscy – podsumuje na łamach klubjagiellonski.pl Jacek Sokołowski w artykule *Grzech pierworodny III RP według PiS* – akceptowali Okrągły Stół i w latach 1989–1992 aktywnie współkreowali nowe instytucje polityczne. Odrzucenie przez nich III Rzeczypospolitej na gruncie moralnym – ale również filozoficzno-prawnym – nastąpiło dopiero wtedy, gdy ta właśnie Rzeczpospolita »wyjęła ich spod prawa«. Formalnym narzędziem – i zarazem symbolem – tej delegitymizacji Kaczyńskich i ich ugrupowania stała się słynna instrukcja 0015, w oparciu o którą działał zespół płk. Lesiaka". To wtedy zaczną o sobie myśleć jako o „obywatelach drugiej kategorii" i to poczucie zostanie z nimi na zawsze. Lech Kaczyński posłuży się tą frazą nawet w *Ostatnim wywiadzie*, którego udzielił, siedząc w barokowych krzesłach Pałacu Prezydenckiego…

Nie chodzi tu jednak o tanią psychologię, ale o fundamentalny wybór polityczny. Kaczyńscy na bazie tych osobistych doświadczeń przechodzą „do podziemia". Gdzieś w połowie lat 90. przestają definiować się jako mainstreamowi liderzy polityczni i stają się liderami „drugiego obiegu". To wtedy, jak plastycznie opisał to Jan Rokita, pod polskim życiem publicznym zaczyna płynąć podziemna rzeka, która podmywa realne instytucje. Jeśli III RP powstała na „ubeckim układzie", to musi być państwem nie naszym. Dlatego podczas kolejnych mszy za ojczyznę śpiewano: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie".

Ta postawa jest zabójcza dla obydwóch stron. Państwo zaczyna się jeszcze bardziej psuć, bo ważna część społeczeństwa odmawia mu legitymizacji. Obóz patriotyczny popada w oderwane od realiów urojenia, bo żyje życiem podziemnym. Jeśli po 2015 r. Zjednoczona Prawica ma problemy z realnym rządzeniem, to także dlatego, że uwierzyła w czarną legendę Okrągłego Stołu.

Przejęła stery państwa, które przez lata uważała za nie swoje. Kolejne spory o TK, system sądowniczy, rezydentów czy nauczycieli pokazuje tę schizofreniczną sytuację. Jakby powstańcy listopadowi przejęli władzę w Królestwie Polskim, którego królem dotąd był rosyjski car, i nie widzieli, co robić dalej. Wzmocnić to państwo czy raczej zniszczyć?

To mocna metafora, ale jak patrzę na część działań rządu, który chce maksymalnie – i w sferze programowej, i personalnej – odciąć się od ostatnich 30 lat, to myślę, że strasznie trudno jest rządzić czymś, co przez blisko trzy dekady uważało się za nie swoje. Jeśli prawica ma kiedyś stać się sprawcza nie tylko w generowaniu mitów oraz sprawnej retoryce politycznej, ale również w realnym rządzeniu, to musi uznać III RP za własne państwo. Droga do tego wiedzie przez zaakceptowanie całej wieloznaczności Okrągłego Stołu.

KOŚCIÓŁ PODPISUJE WEKSEL *IN BLANCO*

Obrazek nie byłby pełny, gdybyśmy zapomnieli o największym instytucjonalnym beneficjencie Okrągłego Stołu. Jest nim Kościół katolicki. Choć często na starych fotografiach z Pałacu Namiestnikowskiego możemy przeoczyć beznamiętne twarze księży Alojzego Orszulika czy Bronisława Dembowskiego, jakby byli oni jedynie przypadkowymi statystami prowadzonych rozmów, to nie powinniśmy dać się zwieść pozorom. Bez Kościoła Okrągły Stół nie byłby możliwy.

Właściwie od końca lat 70. to on był mediatorem pomiędzy opozycją a władzą. Prymas Glemp był bardzo zaangażowany w powołanie w 1986 r. Rady Konsultacyjnej, gdzie „czynnik społeczny" mógł konsultować pewne sprawy ze stroną rządową. Pierwszy sygnał, by usiąść przy jednym stole, władza wysłała do Andrzeja Stelmachowskiego. Nie dlatego że był on szczególnie ważny w „S", ale dlatego że był zaufanym prymasa. Kościół pomagał również przełamywać liczne kryzysy w drodze do rozmów – na przykład na spotkaniu 18 listopada 1988 r. w parafii w Wilanowie, gdy biskup Gocłowski mediował między Kiszczakiem, Cioskiem, Mazowieckim i Wałęsą. Przekonał tego ostatniego, że legalizacja „S" będzie wynikiem Okrągłego Stołu, a nie warunkiem wstępnym, by usiąść do rozmów. Dlatego dla nikogo nie było zaskoczeniem, że rządowe busy wiozące w eskorcie samochodów milicyjnych negocjatorów do Magdalenki miały dwa punkty zbiórki. Komuniści wyjeżdżali spod siedziby partii, a opozycjoniści spod budynku Episkopatu. W rządowym busie zawsze znajdowało się również miejsce dla osoby duchownej.

Odnotujmy zatem kolejny paradoks. W III RP najmocniejszym krytykiem angażowania się Kościoła w politykę było środowisko „Gazety Wyborczej". To samo środowisko, które swoją pozycję zawdzięczało temu, że przynajmniej od czasów wydania przez Michnika książki *Kościół, lewica, dialog*, czyli od roku 1977, mogło liczyć na parasol ochronny ze strony tej instytucji. Gdy trzeba było żyrować porozumienia Okrągłego Stołu, polityczne zaangażowanie Kościoła było dla wszystkich oczywiste i służyło demokracji! Gdy w późniejszych latach przyszło dyskutować o aborcji, to okazało się, że Kościół ma zapędy autorytarne i chce wprowadzić teokrację. „Instrumentalne traktowanie" to najłagodniejsze określenie, jakie przychodzi mi do głowy.

Ale co to znaczy, że Kościół był największym instytucjonalnym beneficjentem Okrągłego Stołu? Otóż „Grupa Trzech", nieformalny think-tank Jaruzelskiego, uznała, że Kościół należy wciągnąć jako gwaranta porozumienia. W zamian należy mu zaoferować szereg przywilejów.

Stąd między Okrągłym Stołem a wyborami czerwcowymi ostatni w pełni komunistyczny Sejm uchwala ustawy „O gwarancji wolności sumienia i wyznania" oraz „O stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w PRL". W ten sposób Kościół podpisał weksel *in blanco*, żyrując transformację, która miała dopiero nastąpić. W zamian otrzymali od państwa bardzo szerokie uprawnienia. Duża część z nich obowiązuje zresztą do dziś.

Połączyłem te oczywiste fakty dopiero przy okazji Światowych Dni Młodzieży organizowanych trzy lata temu w Krakowie. Pamiętam moje zdumienie, gdy odkryłem, że ten sam koncert muzyki religijnej organizowany w sferze publicznej może podpadać pod zupełnie inne regulacje.

Jeśli potraktujemy go jako wydarzenie świeckie, to podpada pod prawo o zgromadzeniach. Wówczas organizatorzy zobowiązani są do przestrzegania bardzo rygorystycznych zasad bezpieczeństwa oraz zapewnienia uczestnikom odpowiednich warunków sanitarnych. Jeśli jednak potraktujemy ten sam koncert jako formę kultu publicznego, to organizator ma bardzo minimalne obowiązki formalne związane z bezpieczeństwem uczestników. Jakbyśmy żyli w dwóch równoległych rzeczywistościach. Nagle oświeciło mnie: „to przez Okrągły Stół do dziś w kościołach, choć gromadzi się tam nawet kilka tysięcy osób, nie ma zapewnionej odpowiedniej liczby toalet!". Trywializuję? Być może, ale każda praktykująca rodzina z małymi dziećmi zna ten problem.

Uprzywilejowane traktowanie, które wynegocjowali sobie hierarchowie przy okazji Okrągłego Stołu, widać również w kwestii majątkowej. Wspomniane ustawy dały Kościołowi – jako jednej z kilku instytucji w III RP – możliwość skutecznego mediował rekompensaty za utracone mienie w okresie PRL-u. Działająca przez wiele lat Komisja Majątkowa przekazała kościelnym osobom prawnym rekompensaty i odszkodowania w wysokości 143 534 231,41 zł oraz ponad pół tysiąca nieruchomości (wartych ok. 5 mld zł). Co do zasady, uważam że to dobrze, bo należy wypłacać rekompensatę. Kontrowersje wzbudza jednak tryb, w jakim to się stało.

Choć Komisja decydowała o ogromnych sumach, to nie była ani organem władzy sądowniczej, ani organem władzy administracyjnej. Była to hybryda, rządowo-kościelny podmiot działający w trybie mediacyjno-polubownym, bez możliwości kontroli jej pracy z zewnątrz. A teraz najlepsze: od decyzji Komisji nie było odwołania! Jako pointę potraktujcie wniosek CBA z 2011 r. skierowany do prokuratury. Zawiadomiono o możliwości popełnienia przestępstwa, choć w tym samym zawiadomieniu prawnicy z CBA dowodzą, że osobom duchownym nie można dowieść korupcji, gdyż Komisja ma charakter niepaństwowy! Państwo przekazało instytucji niepaństwowej władztwo w sprawie majątku wartego miliardy złotych. Wykracza to poza ograniczoną wyobraźnię prostego politologa.

To tylko dwa „detale" z całej listy innych przywilejów, które otrzymał Kościół w ciepłych wiosennych dniach '89 r. Otrzymał również prawo posiadania własnych drukarni, stacji radiowych i telewizyjnych, a także kin, teatrów oraz wytwórni filmowych. Przyznano mu ponadto istotne ulgi podatkowe i celne. W zamian miał nie kwestionować podstawowych kierunków zmian, choć ich przyszłego kształtu tak naprawdę nie znał. Na tym jednak polega podpisywanie weksli *in blanco*.

Nawet gdy III RP okazała się inna, niż oczekiwało tego wielu katolików – bo za mało było solidarności z biednymi, zabrakło wyraźnego rozliczenia z komunizmem, a prym w kulturze wiodła elita liberalno-lewicowa – to Kościół tak naprawdę pozostał wiernym obrońcą tego systemu.

Państwo Kwaśniewscy w papamobile są zbyt silnym skojarzeniem, by go tu nie przywołać. Dlatego gdy słyszę z ust prawicowych publicystów, że „Okrągły Stół to zdrada elit", to jako katolika boli mnie tak bezpardonowa krytyka naszych hierarchów.

OKRĄGŁY STÓŁ MILCZAŁ W NAJWAŻNIEJSZEJ KWESTII

A teraz największa herezja. Wiecie co jest najsmutniejsze? Że straciliśmy miliony godzin, kłócąc się o Okrągły Stół, a w rzeczywistości nie miał on aż takiego znaczenia. Oczywiście, zadecydował o kształcie elit politycznych na kolejne trzy dekady. Wiele rozstrzygnięć ustrojowych – jak dwuizbowy parlament czy prezydent – jest z nami do dziś. Ale czy to te kwestie stały się kluczowymi czynnikami rozwoju? Nie. O obecnej pozycji Polski zadecydowały reformy gospodarcze. To włączenie nas w sieć globalnego kapitalizmu, z wszystkimi jego wadami i zaletami, okazało się kluczowe.

A co mówił Okrągły Stół na temat kształtu reform gospodarczych? Otóż nie mówił nic. Podstolik ds. gospodarki i polityki społecznej zakończył się jakimś mglistym oświadczeniem. Zawodowi politycy, którzy zasiedli po obu stronach, tak naprawdę nie mieli wiedzy i zainteresowania tymi kwestiami. Nawet raporty „Grupy Trzech", tak przenikliwe politycznie, zawierają wiele ekonomicznych nonsensów. A w tle była rosnąca świadomość, że – jak sformułuje to Janusz Reykowski – „instrumenty, którymi władza dysponuje, nie wystarczają do uruchomienia polskiej gospodarki". Państwo okazywało się coraz bardziej bezradne wobec czekających go globalnych i strukturalnych wyzwań.

Dlatego kluczowe rozstrzygnięcia, które zadecydowały o naszej obecnej prosperity, zostały podjęte ponad głowami dżentelmenów spierających się o cenzurę czy papier. Terapię szokową przeprowadzili Jeffrey Sachs oraz Leszek Balcerowicz, których próżno szukać na fotografiach z Pałacu Namiestnikowskiego. A nawet oni nie odegrali przecież bardzo podmiotowej roli. Grali według reguł, które narzucił nam Konsensus waszyngtoński, podobnie jak wielu innym krajom przechodzącym transformację.

Inwestycje zagraniczne, wykupywanie przedsiębiorstw państwowych przez zagraniczne koncerny, wysokie bezrobocie, złe warunki pracy – to wszystko, co naprawdę ma wpływ na ludzkie życie, nie spotkało się z dużym zainteresowaniem ze strony ojców-założycieli naszej demokracji. Rozgrywali w tym czasie ważniejsze gry, więc nie zajmowały ich takie niuanse.

POLITYKA JAKO WALKA PLEMION

Tworząc swoje państwo, ojcowie-założyciele Stanów Zjednoczonych kłócili się o wizję obywatela, społeczeństwa i republiki. Ich gorące spory przeszły do historii jako „The Federalist Papers", 85 esejów z pogranicza świata idei i politycznej praktyki. Do dziś są one czytane przez studentów na całym świecie. Nasze państwo powstało w inny sposób.

W Okrągłym Stole nie ma nic wzniosłego. To odwieczna plątanina interesów, indywidualnych ambicji i ślepego losu. Wolałbym, by ojcowie-założyciele naszej demokracji więcej uwagi poświęcili budowie państwa włączającego, strzegącego sprawiedliwych zasad dla wszystkich. Nasi liderzy woleli jednak całą energię poświęcić na zabieganie o swoją pozycję w nowym rozdaniu.

Przez to do dziś mamy państwo bardzo ułomne, które jest bezradne wobec silnych, ale surowe wobec słabych. A że ważna część z tych drugich wywodziła się z opozycji demokratycznej, która budowała swoją tożsamość na moralnym sprzeciwie wobec komunizmu, to taką samą metodę zastosowano również i tym razem. Budowano swoją pozycję nie na dobrych pomysłach i skutecznym działaniu, ale na motywie moralnego wykluczenia wroga. Jednych, bo są „fundamentalistami", innych – bo są „zdrajcami".

Jak zmierzyć się z tym dziedzictwem? Co „pokolenie niepodległości" może z nim zrobić? Nie pozostaje nam chyba nic innego, jak go po prostu go zaakceptować.

W sumie to dobrze, że się nie pozabijaliście, bo w historii różnie z tym bywało. Państwo, które zbudowaliście dalekie jest od ideału, ale to moje państwo. Innego mieć nie będę. Kocham Polskę taką jaką nam daliście, bo wierzę, że lepszej po prostu nie byliście w stanie zbudować. Jestem wam wdzięczny za to, co mamy.

Nie będę obalał waszych pomników. Ale akceptacja „sztafety pokoleń" nie oznacza jednak, że do końca życia mam odgrywać wasze dawne spory. Nie chcę tego robić, bo po 30 latach mamy już zupełnie inne wyzwania. Podział post-komunistyczny i podział transformacyjny wygasają na naszych oczach. Nie opisują już realnych różnic społecznych. Dalsze ich podtrzymywanie służy wyłącznie wam, politycznej hegemonii waszego pokolenia, ale dla całej reszty ma charakter wyłącznie rytualny. Mentalnie tkwicie w nim zbyt mocno, by to jeszcze dostrzec. Ale nas już naprawdę nie obchodzi, kto gdzie siedział i co powiedział przy wódce 30 lat temu. Napiszcie o tym wspomnienia i nakręćcie dobry serial, ale, na Boga, nie mówcie nam, że to jest dziś główna oś sporu politycznego.

Marzę o tym, by zamykając ten rozdział historii uświadomić sobie podstawowe kłamstwo waszej polityki. Brzmi ono: „jak *tamci* znikną, to wszystko wreszcie będzie dobrze". „Tamci" nie znikną – a nawet gdyby zniknęli, to okazałoby się, że nie w nich tkwił problem. Zamiast uprawiać politykę opartą na walce personalnej na śmierć i życie zacznijmy się wreszcie spierać o realne problemy, znoszące się wartości i rozbieżne interesy. Przede wszystkim skupmy się na szukaniu nowych perspektyw rozwojowych dla Polski, bo koniunktura międzynarodowa wyraźnie się kończy. Dziś potrzebujemy polityki, która stawia cele i angażuje wspólnotę w ich realizację, a nie koncentruje całej energii na moralnym niszczeniu wroga. Kontynuowanie wojny plemion doprowadzi nas do katastrofy.

Krzysztof Mazur

stały współpracownik czasopisma idei „Pressje" i portalu opinii klubjagiellonski.pl. Były prezes Klubu Jagiellońskiego. Prowadzi kanał na Youtube #KluboTygodnikMazura. Doktor nauk politycznych, asystent w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Członek Narodowej Rady Rozwoju i Rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Cywilizacyjne wyzwanie na XXI wiek

Jest takie wyzwanie, z którym stykamy się na co dzień, ale i tak pozostaje dla nas niewidzialne. Tymczasem może to być jedno z kluczowych politycznych zadań XXI wieku. Tym wyzwaniem jest konieczność wypracowania solidarności międzypokoleniowej w ramach naszej politycznej wspólnoty.

Solidarność między pokoleniami

Marcin Kędzierski

Jest takie cywilizacyjne wyzwanie, które pozostaje praktycznie nieobecne w debacie publicznej. Chodzi o konieczność ułożenia na nowo relacji międzypokoleniowych we współczesnym państwie, co wynika z postępujących zmian demograficznych, edukacyjnych i na rynku pracy. Z tych powodów musimy wypracować nowy społeczny model solidarności międzypokoleniowej.

Żyjemy w czasach przełomu. Na horyzoncie majaczą już wielkie zmiany, których ostatecznego kształtu nie jesteśmy w stanie dzisiaj przewidzieć. Globalne ocieplenie klimatu; masowe migracje; nierówności dochodowe; kryzys demokracji liberalnej i widmo polityczno-społecznej rewolucji; czwarta rewolucja przemysłowa i przekształcenia w ramach globalnego kapitalizmu; narastający konflikt między USA a Chinami; kłopoty strefy euro, które mogą doprowadzić do dezintegracji całej Unii Europejskiej. Każdy z tych tematów to materiał na osobną książkę. Zresztą, sporo ich już powstało.

Mam jednak wrażenie, że wciąż w debacie publicznej umyka nam jedno ogromne wyzwanie, które, niezależnie od tych wspomnianych wyżej, może odegrać kluczową rolę w historii świata XXI wieku. Co prawda, doświadczamy go prawie wszyscy na przeróżne sposoby, ale wciąż brakuje nam jego kompleksowego i syntetycznego opisu. Tak abyśmy uświadomili sobie w pełni jego istnienie. Bo bez tej świadomości nie jesteśmy w stanie na nie odpowiedzieć. Byłoby szaleństwem twierdzić, że jestem w stanie taki kompleksowy, syntetyczny opis zaproponować. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy zacząć o tym mówić i pisać. Tym „niewidzialnym" wyzwaniem jest solidarność międzypokoleniowa, a dokładnie jej brak.

Kiedy przed dwoma laty na kanwie ewaluacji Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju zastanawialiśmy się w Klubie Jagiellońskim, jak zdefiniować pojęcie rozwoju i czemu powinien on służyć, doszliśmy do przekonania, że na rozwój należy patrzeć przez pryzmat dwóch celów: solidarności terytorialnej oraz solidarności międzypokoleniowej. W ubiegłym roku wzięliśmy w Klubie na warsztat pierwszy ze wskazanych celów, a efektem tych prac był raport *Polska średnich miast*, podejmowana przez nas (i zakończona pewnym sukcesem) aktywność w debacie publicznej w celu promocji idei deglomeracji, i wreszcie zorganizowany w styczniu 2019 r. IV Kongres Klubu Jagiellońskiego w Radomiu, który odbył się pod hasłem „Polska średnich miast".

CEL: SOLIDARNOŚĆ MIĘDZYPOKOLENIOWA

Nadszedł zatem moment, aby pochylić się nad solidarnością międzypokoleniową. Najprostszym wyjaśnieniem tego pojęcia może być stwierdzenie, że ludzie w różnym wieku dla dobra całej wspólnoty politycznej biorą na miarę swoich możliwości odpowiedzialność za innych jej członków, którzy znajdują się w największej potrzebie.

Kto jednak jest dziś w największej potrzebie i wymaga wsparcia? Albo inaczej – jaka grupa wiekowa jest dziś kluczowa z perspektywy długookresowego rozwoju całej wspólnoty, a jednocześnie zmaga się z najbardziej palącym problemami?

Odpowiedź na to pytanie jest oczywiście bardzo kontrowersyjna, ale z wielu powodów, które zostaną opisane poniżej, w moim przekonaniu (podkreślam, że nie jest to głos całego środowiska Klubu Jagiellońskiego) wspólnota powinna dziś szczególną troską otoczyć ludzi w wieku 25–40.

Są to osoby rozpoczynające pracę zawodową (w której z roku na rok spędzają coraz więcej czasu), zakładają rodziny, decydują się (albo coraz częściej nie decydują się) na posiadanie dzieci i przeżywają statystycznie szczyt wydatków konsumpcyjnych (mieszkanie/dom, dzieci, etc.), a jednocześnie z wielu powodów są coraz słabiej przygotowane do tej roli. I co gorsza, ze względu na natłok obciążeń niespecjalnie mają czas, żeby sobie to wszystko dobrze poukładać. Stąd płynie prosty wniosek dla całej wspólnoty. Choć inne grupy nie są w stanie wprost przejąć większości wskazanych obciążeń, musimy wszyscy zastanowić się, jak systemowo podarować dwudziesto- i trzydziestolatkom to, czego najbardziej im dziś brakuje – czas.

Drugą grupą, która wymaga szczególnego wsparcia ze strony wspólnoty, są osoby w wieku 70+. Tutaj powód jest znacznie prostszy – nie wypracowaliśmy jeszcze modelu funkcjonowania tej grupy w społeczeństwie, bo obserwujemy dopiero pierwsze pokolenie, które w większości statystycznie przekroczyło ten wiek. Ten brak modelu kończy się w efekcie systemowym opuszczeniem, bo nie mamy pomysłu, co zrobić z osobami starszymi.

Dlatego, parafrazując słynne powiedzenie o tym, czego nie unikniemy, do podatków i śmierci można dziś spokojnie dopisać samotność. Wydaje mi się, że choć

obydwie grupy bardzo wiele dzieli, to jest jeden element, który je łączy. Jest nim podatność na depresję, o której mówi się, że będzie chorobą XXI wieku. Ten „wróg wewnętrzny" może okazać się równie niebezpieczny, jak zagrożenia, które czyhają na nas z zewnątrz.

DIAGNOZA WYZWANIA W TRZECH KROKACH

Zgodnie z prawidłami analizy polityki publicznej, po zidentyfikowaniu problemu należy pochylić się nad jego kompleksową diagnozą, która w tym przypadku musi przyjąć *de facto* postać opisu kondycji współczesnego społeczeństwa. Nie da się go kompleksowo przedstawić w tak krótkim tekście, dlatego chciałbym się skupić jedynie na trzech, w moim przekonaniu, kluczowych dziedzinach, które są istotne z perspektywy wskazanego problemu. Zdaję sobie sprawę, że nawet te kilka aspektów może sprawiać wrażenie „ogólnej teorii wszystkiego". Uważam jednak, że bez holistycznego spojrzenia na demografię, rynek pracy oraz edukację nie da się zrozumieć istoty problemu/problemów, przed jakim stajemy.

1.Demografia

Doświadczamy procesu starzenia się społeczeństwa, który jest spowodowany dwoma czynnikami. Zacznę od tego mniej oczywistego. W sposób nie do końca społecznie dostrzegany rośnie nam średnia długość życia. Podczas gdy w 1950 r. w krajach rozwiniętych wynosiła ona ok. 65 lat, dziś wyraźnie przekracza 80 lat. Oznacza to, że w stosunkowo krótkim czasie wskaźnik ten wzrósł aż o ok. 20 lat. Proces ten dotyczy także do Polski.

Zjawisko to ma ogromne konsekwencje w wielu różnych dziedzinach. Wystarczy powiedzieć, że podczas gdy ludzie urodzeni po wojnie rzadko kiedy znali wszystkich swoich dziadków, dzisiejsza młodzież miała szansę spędzić swą młodość w towarzystwie pradziadków. Jednocześnie ze względu na procesy urbanizacyjne i migracyjne (w tym także tzw. euromigrację) szansa ta raczej nie była wykorzystana, co w rezultacie przekłada się na wydłużające się osamotnienie ludzi w ostatnich latach życia, tym gorsze, że przeżywane ze świadomością opuszczenia przez rodzinę. Z jeszcze innej perspektywy patrząc, czym innym było utrzymanie związku małżeńskiego do śmierci jednego z małżonków, kiedy ta śmierć przychodziła w wieku pięćdziesięciu kilku lat, a czym innym jest wytrwanie z jedną osobą przez ponad pół wieku. To wszystko nie pozostaje bez wpływu na współczesny model rodziny – z jednej strony bardziej wielopokoleniowej, a z drugiej – coraz częściej zdefragmentowanej.

Ponadto, mając na uwadze, że statystycznie człowiek jest bardziej podatny na nowotwory po ukończeniu 60. roku życia, wraz ze wzrostem jego długości będziemy notować coraz większy odsetek zachorowań na raka (stąd też nowotwory uzyskały miano choroby XXI w.), co nie może pozostać bez odpowiedzi ze strony systemów ochrony zdrowia. Mam tu na myśli zarówno sam proces leczenia i troskę o jakość życia chorych, którzy będą stanowić coraz większy odsetek społeczeństwa (zważywszy, że coraz częściej udaje nam się skutecznie walczyć z rakiem), jak i profilaktykę nowotworów.

Wreszcie, wzrost średniej długości życia ma kluczowe znaczenie dla kondycji systemu emerytalnego. Wiek emerytalny na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat (z małym wyjątkiem) nie został bowiem w Polsce podniesiony. W rezultacie przeciętna długość okresu pobierania świadczeń emerytalnych wzrosła kilkukrotnie, co przy jednoczesnym utrzymaniu średniej długości okresów składkowych musi przełożyć się na obniżenie poziomu emerytur w przyszłości. Tak zwana stopa zastąpienia, czyli relacja wysokości przyszłej emerytury do ostatniego wynagrodzenia, dla obecnych dwudziestolatków szacowana jest na niecałe 40%, podczas gdy dzisiejsi emeryci mogą liczyć przeciętnie na 50–60% swojej ostatniej pensji. Warto też zauważyć, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu przeciętnie pracowaliśmy 40–45 lat, a byliśmy utrzymywani przez rodziców lub państwo przez mniej więcej 25 lat. Obecnie ta proporcja uległa istotnej zmianie. W efekcie statystycznie niemal przez połowę życia utrzymujemy się z dochodów niepochodzących bezpośrednio z naszych wynagrodzeń.

Dotykając problemu starzenia się społeczeństwa, nie sposób pominąć drugiego elementu, jakim jest spadający poziom współczynnika dzietności. Spędza on sen z powiek polityków znacznie częściej niż

wspomniany wyżej proces wydłużania się życia, choć w gruncie rzeczy obydwa zjawiska są równie istotne z perspektywy starzenia się społeczeństw.

Najlepszym przykładem powszechnej troski o dzietność może być program „Rodzina 500 Plus", choć paradoksalnie jego twórcy zdawali sobie sprawę (vide ocena skutków regulacji ustawy), że dodatkowe świadczenie pieniężne nie spowoduje wyraźnego i trwałego wzrostu liczby urodzeń (czego dowodzą najnowsze dane za rok 2018). Nie jest bowiem żadną tajemnicą, że decyzje o posiadaniu dzieci nie są motywowane przede wszystkimi czynnikami natury ekonomicznej, ile raczej kulturowej i społecznej.

Po pierwsze, jesteśmy świadkami postępującej „feminizacji" życia społecznego, mającej na celu wyrównanie szans kobiet i mężczyzn, z naciskiem na równość na rynku pracy. Skutkiem zmiany myślenia młodych kobiet o karierze zawodowej jest w efekcie nie tylko spadek dzietności, ale także opóźnianie przez kobiety decyzji o urodzeniu pierwszego (i kolejnego) dziecka. W 1970 r. przeciętna Polka rodziła pierwsze dziecko w wieku niespełna 23 lat, obecnie zaś rodzi je w wieku prawie 28 lat. Co ciekawe, wiek ten zaczął opóźniać się dopiero na przełomie wieków XX i XXI – jeszcze w 1998 r. wynosił on 23,8 roku. Pokazuje to, jak ogromnych zmian społeczno-kulturowych doświadczyło polskie społeczeństwo na przestrzeni ostatnich 30 lat.

Ponadto kobiety coraz częściej oczekują od swoich partnerów wsparcia przy opiece nad dzieckiem/dziećmi. Wsparcia, którego ze względu na postępującą ucieczkę do dużych miast, rosnącą atomizację społeczną oraz „monowiekowość dzielnic" (w sąsiedztwie mieszkają najczęściej ludzie w podobnym wieku, borykający się z podobnymi problemami) nie otrzymują już od innych członków rodziny czy też wspólnoty lokalnej (czyli w praktyce sąsiadów). Badania pokazują, że „trauma" po urodzeniu pierwszego dziecka, wynikająca z braku takiego wsparcia, stanowi najpoważniejszą przyczynę rezygnacji ze starań o kolejne dziecko. Już ta obserwacja powinna dać nam dużo do myślenia, jeśli w ogóle chcemy podejmować jakiekolwiek działania publiczne na rzecz zwiększenia dzietności i obniżenia średniej wieku naszego społeczeństwa.

2.Rynek pracy

W wyniku zmian o charakterze politycznym, społecznym, gospodarczym, kulturowym i technologicznym coraz później wkraczamy na poważnie na rynek pracy. Jeszcze w 1990 r. jedynie co dziesiąty absolwent szkoły średniej decydował się na studia wyższe. Reszta osób szła do pracy, albo, tak jak to miało miejsce w przypadku kobiet, zostawało w domu z dziećmi. Współcześnie nie tylko współczynnik skolaryzacji brutto wzrósł do około 50%, ale coraz częściej okres studiów jest wydłużany. Zjawisko to może nie jest jeszcze w Polsce tak powszechne jak w krajach Europy Zachodniej, ale można już dziś zaobserwować wyraźny trend. Dzieje się tak m.in. dlatego, że rynek pracy w ostatnich latach systematycznie podnosił wymagania w zakresie kwalifikacji zawodowych (w sensie formalnym), de facto zmuszając ludzi do studiowania. Nawet jeśli w pewnym stopniu wynikało to z mody na studiowanie, nie da się ukryć, że miało to też racjonalne przyczyny związane z postępującą rewolucją informacyjną i wyłanianiem się gospodarki opartej na wiedzy.

Opóźnienie momentu wkroczenia na rynek pracy nie jest jednak bez znaczenia dla dojrzałości młodego pokolenia – podczas gdy jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej pełną odpowiedzialność za swoje życie musieli brać już nastolatkowie, współcześnie obserwujemy wydłużający się proces dojrzewania. Na marginesie warto dodać, że zjawisko to ma nie tylko kulturowe, ale także biologiczne podstawy, jeśli wierzyć najnowszym badaniom z zakresu neurobiologii. W rezultacie jako społeczeństwo (a nie pojedyncze jednostki) nie jesteśmy już zdolni do podejmowania ważnych, życiowych decyzji w wieku 20 lat, nawet jeśli mnie jako zwolennikowi katolickiej nauki społecznej nie do końca się to podoba.

Idąc dalej, wzrostu liczby studentów nie sposób nie wiązać ze wspomnianą wcześniej „feminizacją" kultury, która zachęciła rzesze kobiet do studiowania. W rezultacie nastąpiło odwrócenie parytetu płciowego na uczelniach – stopniowo przewagę zaczynają uzyskiwać właśnie kobiety. Są kraje, gdzie ta relacja wynosi już 70:30 na ich korzyść. Zjawisko to ma poważne konsekwencje społeczne i nie chodzi wyłącznie o wspomniane wcześniej opóźnienie „decyzji prokre-

acyjnych", czy nawet rezygnację z chęci posiadania potomstwa.

Jak wynika z badań prof. Przemysława Śleszyńskiego, autora raportu *Polska średnich miast*, jednym z ubocznych skutków feminizacji uczelni będzie zachwianie proporcji płciowych – podczas gdy w największych miastach już dziś na 100 mężczyzn przypada 130 kobiet, to na prowincji ten odsetek jest odwrotny. W rezultacie wiele kobiet i mężczyzn będzie skazanych albo na samotność, albo wchodzenie w nietrwałe związki. Nie oznacza to per se spadku współczynnika dzietności, wszak dzieci mogą się rodzić w związkach nieformalnych. Trudno jednak nie dostrzec, że taka sytuacja może rodzić poważne napięcia społeczne – wydaje się, że z taką tezą zgodzą się nie tylko osoby wyznające wiarę w nierozerwalność małżeństwa.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, że praca pochłania nam coraz więcej czasu. Jesteśmy społeczeństwem na dorobku, które statystycznie pracuje o wiele dłużej niż na Zachodzie. Zjawisko to ma dwa zupełnie różne oblicza – przedstawiciele wolnych zawodów pracują coraz dłużej, bo praca często staje się dla nich nie tylko źródłem utrzymania, ale i hobby, co jest już zauważalnym trendem w Europie Zachodniej, do którego *nota bene* zachęca współczesna kultura. Z kolei osoby pracujące w przemyśle, usługach czy szeroko rozumianym sektorze publicznym ze względu na relatywnie niższe zarobki są gotowe do poświęcania czasu wolnego na rzecz dodatkowego zatrudnienia.

Efekt jest jednak podobny – jako społeczeństwo mamy statystycznie coraz mniej wolnego czasu, co nie tylko nie sprzyja budowaniu więzi rodzinnych i społecznych, ale także utrudnia zachowanie indywidualnej „higieny psychicznej".

Brak czasu przekłada się bowiem na wzrost napięć, których doświadczamy z różnych stron, a które można w sposób uproszczony sprowadzić do konfliktu „praca Cię potrzebuje" vs „rodzina Cię potrzebuje". Problem ten jest szczególnie dotkliwy w przypadku osób w wieku 35–40 lat, które wkraczają właśnie w kluczowy moment swojej kariery zawodowej, a jednocześnie mają statystycznie dwójkę małych dzieci, którymi muszą się opiekować (doprowadzenie dzieci do placówek opiekuńczych i odebranie ich o odpowiednich godzinach to wbrew pozorom wcale nie takie łatwe zadanie).

3.Edukacja

Skoro już mowa o dzieciach i opiece nad nimi, nie sposób pominąć tematyki edukacji. Jej znaczenie dla modelu funkcjonowania społeczeństwa jest o wiele poważniejsze, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Nasze całe życie jest bowiem naznaczone szkołą.

Mniej więcej do 20/25 roku życia sami jesteśmy poddawani procesowi kształcenia formalnego. Później, będąc rodzicami, bierzemy chcąc nie chcąc udział w procesie kształcenia naszych dzieci. W rezultacie ponad połowa naszego życia odbywa się w rytm semestrów, wakacji i ferii, a jeśli dodać do tego czas wakacyjny, który wnuki spędzają z dziadkami, to można mówić niemal o całym życiu. Ten rytm dotyka zresztą wszystkich członków społeczeństwa niezależnie od faktu posiadania potomstwa, i to na przeróżne sposoby: okresy urlopowe, rozkład jazdy transportu publicznego, natężenie ruchu ulicznego, pobór mocy, ramówki telewizyjne, godziny otwarcia instytucji kultury, cenniki usług czasu wolnego, etc. Można powiedzieć, że nic nas tak nie łączy jak właśnie system edukacyjny, i to nawet jeśli w wyniku postępującej selekcji w szkole nie spotykają się już dziś dzieci profesorów i robotników. Edukacja jest *par excellence* totalna.

Niestety (a może na szczęście?), współczesny model edukacji, który znamy mniej więcej od 200 lat, powoli dokonuje swojego żywota. Nie oznacza to, że instytucja szkoły zniknie, ale w perspektywie najbliższych kilkunastu lat przejdzie ona radykalną przemianę. Istnieje co najmniej kilka przesłanek, które pozwalają na postawienie tak mocnej tezy.

Po pierwsze, zmienia się struktura gospodarcza, do której w swoim założeniu szkoła miała przygotowywać młode pokolenia. Wkraczamy coraz mocniej w okres czwartej rewolucji przemysłowej, która będzie wymagać zupełnie nowych kompetencji zawodowych. Zważywszy, że na wielu stanowiskach człowieka zastąpią maszyny, „wartość" człowieka na rynku pracy będzie znacznie mocniej niż dziś uzależniona od posiadanych przez niego kompetencji społecznych,

których współczesna szkoła niemal zupełnie nie uczy. Oczywiście, robotyzacja na masową skalę nie nastąpi lada chwila. Trzeba jednak pamiętać, że dzisiejsi uczniowie pierwszych klas szkoły podstawowej wejdą na rynek pracy za 15–20 lat, w połowie czwartej dekady XXI wieku.

Po drugie, jesteśmy świadkami niezwykle dynamicznego postępu naukowego, który ma przełożenie na ilość informacji, które musimy sobie przyswoić. Szkoła już dziś nie radzi sobie z ogromem materiału – szacuje się, że coraz większa jego część musi być opanowana przez ucznia poza murami placówki oświatowej. W praktyce najczęściej zadanie to spychane jest na rodziców, którzy jednak w większości nie są do takiego obowiązku przygotowani.

Prędzej czy później, w miarę narastania tego zjawiska, szkoła będzie musiała zrezygnować z przekazywania wiedzy na rzecz kształcenia umiejętności selektywnego uczenia się. Oznaczać to będzie jednak przeniesienie znacznej części odpowiedzialności za proces kształcenia na samych uczniów, a na wstępnych etapach edukacji także ich rodziców, którym (poza kompetencjami dydaktycznymi) będzie na to zwyczajnie brakować czasu. Zmiana ta będzie też mieć kolosalny wpływ na sytuację pół miliona nauczycieli, którzy będą musieli odnaleźć się w zupełnie nowej sytuacji. Rolę klasycznych nauczycieli-wykładowców przejmą bowiem w znacznym stopniu wirtualne platformy edukacyjne. W zawodzie przetrwają tylko ci, którzy będą umieli pełnić funkcję „mentorów rozwoju" (przepraszam z góry za to określenie).

Opisując zmianę myślenia o edukacji, nie sposób nie zauważyć, że rewolucja informacyjna nie dotyka wyłącznie otoczenia zewnętrznego. Zmienia ona bowiem także samych uczniów, o czym mówią nam wspomniane wcześniej wyniki badań z zakresu neurobiologii. Współczesna młodzież, wbrew powszechnie krążącym opiniom, wcale nie jest głupsza od pokolenia swoich rodziców czy dziadków. W podobnym co oni czasie musi ona przyswoić o wiele więcej informacji i nauczyć się żyć w znacznie bardziej złożonym świecie, pełnym możliwości i zmuszającym do nieustannych wyborów, i to od bardzo wczesnego wieku. Trudno się zatem dziwić, że wiąże się to z poczuciem zagubienia i dezorientacji. W rezultacie dzisiejsi nastolatkowie o wiele bardziej niż nauczycieli potrzebują wychowawców, którzy pomogą im odnaleźć się wśród wzburzonego oceanu życia.

Ten proces psychicznego dojrzewania musi trwać. W zależności zarówno od indywidualnych predyspozycji, jak i jakości „wychowawców", którymi w pierwszym rzędzie będą najprawdopodobniej rodzice, może on zakończyć się w wieku lat 20, ale równie dobrze może potrwać kilka lat więcej. Z tego choćby powodu trudno mi uwierzyć, że jako społeczeństwo będziemy dojrzewać wcześniej niż dziś. Mogę sobie jedynie życzyć, aby młode pokolenie w ogóle dojrzewało – lepiej w końcu dojrzeć w wieku 30 lat niż wcale. Zwłaszcza że w perspektywie ogromnych wyzwań, wskazanych na samym początku tekstu, będziemy potrzebować wybitnych przywódców, którzy pomogą nam wszystkim przez nie przejść.

WSZYSTKO ROZBIJA SIĘ O RODZINĘ

Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości – szkoła w dzisiejszej postaci nie odegra roli wychowawcy. Podobnej roli wobec najmniejszych dzieci nie odegrają także żłobek czy przedszkole, na co uwagę w ostatnim liście do premiera Morawieckiego zwracają uznani psychologowie i psychiatrzy, z prof. Bogdanem de Barbaro na czele. Im szybciej zdamy sobie z tego sprawę, tym lepiej.

Rolę placówek opiekuńczo-oświatowych będą musiały przejąć stare (rodzina, Kościół, harcerstwo, etc.), a może także nowe instytucje/wspólnoty (np. oddolne grupy tworzone ad hoc w mediach społecznościowych). Szczególne miejsce w tej układance, chcąc nie chcąc, przejmie rodzina, a dokładniej wspólnota oparta nie na wirtualnych czy doraźnych, ale na rzeczywistych i bardziej trwałych więziach, nie rozstrzygając, jaką ta wspólnota przyjmie ostatecznie formę.

Stanie się tak również dlatego, że nie ma innej sensownej odpowiedzi na pytanie, co zrobić systemowo z ludźmi w wieku 70+. Odejście od logiki relacyjnej, którą charakteryzuje się rodzina oraz mała wspólnota, na rzecz logiki rynkowej, realizowanej przez specjalne placówki dla seniorów czy nawet rozbudowaną sieć „zawodowych" opiekunów, zgodnie z którą usługi opiekuńcze zostaną zkomodyfikowane i zmonetyzo-

wane (niezależnie od źródła finansowania – publicznego bądź prywatnego), prędzej czy później będzie w imię efektywności ekonomicznej prowadzić do jakiejś formy społecznego, a w skrajnym przypadku także fizycznego wykluczenia osób starszych poprzez eutanazję. W gruncie rzeczy nie będzie się znacznie różnić od sytuacji, w której zwyczajnie zostawimy tę grupę samą sobie.

W konsekwencji, w moim przekonaniu, parafrazując papieża Franciszka, „opcja na rodzinę" nie ma dziś alternatywy – spór polityczny będzie się toczył jedynie wokół tego, jak tę rodzinę/wspólnotę chcemy widzieć.

Jestem świadomy, że choćby ze względu na proces „feminizacji" kultury czy też „niedopasowania płciowego" raczej nie ma powrotu do tradycyjnego modelu rodziny, realizowanego przez ogół społeczeństwa. W moim przekonaniu „nowoczesna" katolicka nauka społeczna ma pomysł na współczesną rodzinę w postaci wprowadzenia istotnej zmiany rozumienia, a w praktyce uelastycznienia ról kobiety i mężczyzny (opieka nad dziećmi, praca zawodowa, etc.), choć zmiana ta pewnie z perspektywy progresywnej wyda się niewystarczająca. Możliwe, że taki pomysł na redefinicję rodziny pojawia się też w innych kręgach.

Niezależnie jednak od preferowanej wizji rodziny/małej wspólnoty, jej podtrzymanie i wzmocnienie będzie możliwe wyłącznie wtedy, kiedy podmioty odpowiedzialne za zbudowanie jej fundamentów, czyli zasadniczo ludzie w wieku 25–40 lat, będą mieli na to czas. To, obok solidarności terytorialnej, najbardziej palące wyzwanie stojące przez decydentami politycznymi odpowiedzialnymi za *nomen omen* „odpowiedzialny rozwój".

SOLIDARNOŚĆ MIĘDZYPOKOLENIOWA W PRAKTYCE: PENSJA RODZICIELSKA, „PODATEK SOLIDARNOŚCIOWY", UELASTYCZNIENIE WIEKU EMERYTALNEGO

Skala i stopień złożoności problemu są tak ogromne, że trudno wskazać jedno proste rozwiązanie. Potrzebny jest kompleksowy pakiet propozycji, uwzględniający zmiany w zakresie polityki edukacyjnej, zdrowotnej, rynku pracy czy wreszcie polityki społecznej. Ponadto osiągnięcie wskazanego powyżej celu nie jest możliwe w rok czy dwa. Wymaga to raczej kilkunastoletniej perspektywy, co z kolei wymusza istnienie szerokiego, pozapartyjnego konsensusu. Do tego zaś niezbędne jest uruchomienie debaty publicznej. Taki jest zresztą główny cel niniejszego tekstu. Nie oznacza to wcale, że uchylam się przed odpowiedzialnością wskazania choćby jednej propozycji, która mogłaby przybliżyć nas do urzeczywistnienia wizji „solidarności międzypokoleniowej".

Mając pełną świadomość kontrowersyjności tego rozwiązania, w moim przekonaniu w perspektywie nie dłużej jak dekady powinniśmy wprowadzić „pensję rodzicielską", czyli swego rodzaju dochód podstawowy dla rodziców dzieci w wieku do 12 lat, którzy nie przekroczyli 40. roku życia (niezależnie od formy związku między rodzicami).

Pensja taka powinna być adresowana zwłaszcza do tych rodziców, którzy nie mają szansy na uelastycznienie czasu pracy, choć oczywiście nie powinno się automatycznie wykluczać osób wykonujących tzw. wolne zawody. Celem wprowadzenia pensji rodzicielskiej jest stworzenie możliwości ograniczenia czasu pracy i zachęcenie rodziców zarówno do większego zaangażowania w proces wychowania dzieci, jak i do budowy trwalszej więzi między nimi samymi. Ponadto w ramach pensji rodzicielskiej powinny istnieć zachęty do większego zaangażowania rodziców w działalność społeczną, w tym działalność polegającą na towarzyszeniu osobom starszym, których doświadczenia życiowe mogą w mniejszym lub większym stopniu stanowić wartość dodaną w procesie wychowywania dzieci.

Zanim przedstawię słabości pensji rodzicielskiej, wskazywane przez krytyków, chciałbym się skupić na wybranych zaletach tego rozwiązania. Po pierwsze, ofiarujemy niezbędny czas osobom odpowiedzialnym za tworzenie rodzin/wspólnot, stanowiących fundament inkluzyjnego i sprawnie działającego społeczeństwa, jednocześnie zdejmując z nich część presji związanej z koniecznością utrzymania rodziny. Po drugie, dając więcej czasu rodzicom, tworzymy przestrzeń do kompleksowej reformy systemu edukacyjnego, niezbędnej z perspektywy stojących przed nami wyzwań społecznych i technologicznych – w innym przypadku nie da się bowiem wciągnąć ro-

dziców, czyli jednego z kluczowych aktorów, do tego procesu. Po trzecie, zwiększamy możliwość zaangażowania ojców w proces wychowywania dzieci, co może skutkować osłabieniem „traumy pierwszego dziecka", a co za tym idzie wzrostem współczynnika dzietności (można się zastanowić nad wprowadzeniem indeksacji świadczenia wraz z pojawieniem się kolejnego dziecka). Po czwarte, w sposób umiarkowany, ale jednak, wyrównujemy długookresowo szanse na rynku pracy dla kobiet, o ile oczywiście pensja rodzicielska będzie wystarczająco wysoka, aby skłonić mężczyzn do ograniczenia aktywności zawodowej w tym okresie. Może się tak stać zarówno dzięki zwiększeniu pola manewru dla młodych mam, jak i docelowo wyrównaniu różnic w zakresie doświadczenia zawodowego kobiet i mężczyzn w wieku 40 lat. Po piąte, zachęcając obydwoje rodziców do większej aktywności obywatelskiej w czasie „urlopu" od pracy zawodowej, zwiększamy także relatywnie szanse kobiet na udział w życiu publicznym. Ostatnie trzy argumenty są niezwykle istotne z perspektywy wyzwań związanych z „feminizacją" kultury, umożliwiając przeprowadzenie tego procesu w sposób bardziej ewolucyjny.

Dodatkowo, biorąc pod uwagę fakt, że ze względu na postępującą robotyzację będziemy potrzebować radykalnych innowacji społecznych i humanistycznych, które będą stanowiły przeciwwagę dla świata robotów, wysłanie na ten „odcinek" kreatywnych dwudziesto- i trzydziestolatków jawi się jako sensowne rozwiązanie. Stanowi to też kontrargument wobec zarzutu, że osoby pobierające pensję rodzicielską będą mieć problem z powrotem na rynek pracy. Niewykluczone, że ich kompetencje miękkie nabyte w procesie wychowywania dzieci i poprzez innowacyjną aktywność obywatelską będą stanowiły dobre przygotowanie do pracy zarówno w sektorze prywatnym, jak i publicznym.

Jakie są słabości pensji rodzicielskiej? Jest ich wiele. Pierwszą z nich są koszty dla budżetu państwa. Trudno je dziś oszacować. Załóżmy, że rozwiązanie wprowadzimy w 2025 r., i statystycznie obejmie ono ludzi mających pomiędzy 28 lat (średni wiek urodzenia pierwszego dziecka) a 40 lat (istotne zaangażowanie rodziców w edukację, na podstawie doświadczeń psychologii rozwojowej, ma sens do osiągnięcia przez dziecko mniej więcej 12 lat). Oznacza to, że mówimy o osobach urodzonych między 1985 a 1997 rokiem. Osób takich jest niecałe siedem milionów. Przyjmijmy założenie, że dzieci w wieku niższym niż 12 lat będzie mieć około połowa 28-latków i trzy czwarte 40-latków – zostają nam mniej więcej cztery miliony osób. Zważywszy, że część z nich nie będzie chciała zrezygnować z pełnowymiarowej pracy zawodowej, bo osiąga zbyt wysokie zarobki, albo/i posiada elastyczny czas pracy, liczbę beneficjentów ograniczmy do połowy, co daje nam 1,5 miliona osób. Przy założeniu, że pensja rodzicielska będzie równa 30. centylowi wynagrodzeń, w 2025 r. powinna miesięcznie wynosić ok. 4000 zł brutto, czyli w skali roku 48 000 zł. Mnożąc to razy 1,5 miliona osób wychodzi nam kwota 72 miliardów zł rocznie. Jeśli pensja rodzicielska zastąpiłaby program „Rodzina 500 Plus" i inne świadczenia rodzinne, które łącznie kosztują nas niecałe 30 miliardów, oznaczałoby to, że musimy znaleźć dodatkowo około 40–45 miliardów zł.

Tak, to jest kosmiczna kwota. Oczywistym jest, że nie da się znaleźć takich pieniędzy w dzisiejszym budżecie. Jeśli jednak popatrzymy na wydatki publiczne na szkolnictwo podstawowe i gimnazjalne, wyjdzie nam, że wydajemy na nie blisko… 50 miliardów zł. Właśnie dlatego proste wyliczenie kosztów pensji rodzicielskiej na tym etapie jest w jakimś sensie bezzasadne, bo wprowadzenie takiego programu musi się wiązać z kompleksową zmianą sposobu myślenia o wielu innych politykach, w tym także polityce podatkowej.

W tym ostatnim przypadku, w imię solidarności pokoleniowej, należałoby wprowadzić jakąś formę progresji dla osób, które już wychowały swoje dzieci i nie ponoszą kosztów związanych z ich edukacją i utrzymaniem, spłatą kredytów hipotecznych, etc.

Oznaczałoby to, że osoby w wieku 50+ objęte zostałyby czymś w rodzaju „podatku solidarnościowego", którego stawka byłaby niezależna od wysokości osiąganych dochodów (progresja uzależniona od wieku, a nie dochodów). Rozwiązanie takie wydaje się o tyle efektywne, że osoby w wieku 50+ powinny uzyskiwać statystycznie najwyższe dochody.

Ze zrozumiałych powodów trudno jest jednak takim podatkiem obciążyć dzisiejszych 50-latków – powin-

ny go płacić dopiero te osoby, które skorzystają z pensji rodzicielskiej.

Ważnym elementem uzupełniającym pensję rodzicielską i podatek solidarnościowy powinno być uelastycznienie wieku emerytalnego i uzależnienie go od okresu pracy zawodowej. W takim przypadku prawo do „wcześniejszej" emerytury rodzice nabywaliby po ukończeniu 30 lat pracy, co w praktyce oznaczałoby podwyższenie wieku emerytalnego do 70. roku życia. Osoby niekorzystające z pensji rodzicielskiej musiałyby przepracować minimum 40 lat – te 10 lat różnicy mogłyby stanowić dodatkową zachętę do skorzystania z pensji rodzicielskiej (dodatkowo można rozważyć skrócenie wieku emerytalnego dla rodziców, którzy wychowali co najmniej dwójkę/trójkę dzieci). Jednocześnie należałoby rozważyć wprowadzenie zachęt do pozostawania na rynku pracy po osiągnięciu wieku emerytalnego, np. w postaci zwrotu zaliczek na podatek dochodowy i składek na ubezpieczenia społeczne. Takie rozwiązanie jest bardziej akceptowalne politycznie niż sztywne podniesienie wieku emerytalnego, a jednocześnie koresponduje z wydłużającą się zdolnością do pracy zawodowej, wynikającą zarówno z wydłużenia życia, jak i zmiany charakteru tejże pracy.

Podobnie jak w przypadku pensji rodzicielskiej, także i tu trudno szacować korzyści i koszty wprowadzenia takiego rozwiązania. Mam świadomość, że odpowiedzialna polityka nie powinna abstrahować od uwarunkowań finansowych. Z drugiej jednak strony w obliczu próby całkowitej zmiany systemu nie powinno się rozpoczynać od liczenia, tylko od myślenia. Jak doskonale pokazał program „Rodzina 500 Plus", wszystko (lub prawie wszystko) jest kwestią ustalenia priorytetów.

Poza wymiarem budżetowym, poważne wątpliwości związane z wprowadzeniem pensji rodzicielskiej rodzi także zdolność trzydziestolatków do umiejętnego wykorzystania środków otrzymanych od państwa. Może się zdarzyć, że jako społeczeństwo wydamy ponad 60 miliardów zł, a nie będzie to miało żadnego przełożenia ani na dzietność, ani na jakość więzi rodzinnych czy procesu „wychowawczo-kształceniowego". Zgodzę się, że takie ryzyko występuje, podobnie jak występowało w przypadku programu „Rodzina 500 Plus". Czy pesymiści mieli rację? Trudno ocenić. Badania nie wskazały przecież jakiegoś radykalnego wzrostu sprzedaży napojów alkoholowych, co wieszczyły osoby nieprzychylne pomysłowi Prawa i Sprawiedliwości na politykę rodzinną. Moja odpowiedź jest ideologiczna, i mam tego pełną świadomość – wierzę w ludzką racjonalność, nawet jeśli jest ona ograniczona. Dlatego też pokładam nadzieję, że ta ogromna suma pieniędzy może długookresowo przynieść pozytywne efekty społeczne, co oczywiście nie wyklucza inicjowania działań o charakterze edukacyjnym, adresowanych do młodych rodziców. Szczególną rolę w tym zakresie powinny przejąć organizacje społeczne, w tym związki wyznaniowe z Kościołem katolickim na czele.

Jeszcze inny problem, na który uwagę zwrócić mogą krytycy tego rozwiązania, to uzależnienie trzydziestolatków od wsparcia państwa, co z kolei może prowadzić do jakiejś formy ich upośledzenia. Popularne jest twierdzenie, że zaczynamy szanować pieniądze i mądrze je wydawać dopiero jeśli sami je zarobimy. Zapewne jest w tym jakaś racja.

Pytanie jednak brzmi, czy faktycznie wszyscy młodzi rodzice są w stanie samodzielnie utrzymać swoje rodziny. Albo czy faktycznie jesteśmy w stanie tak zmienić rynek pracy, aby wszyscy rodzice otrzymywali godziwe (z perspektywy potrzeb) pensje. W świetle rosnących nierówności i spadającego udziału płac w PKB to w moim przekonaniu utopia. Podobnie jak teza, że pokolenie '89 jako pierwsze w historii ostatnich 300 lat odziedziczy realny majątek.

Może i odziedziczy, ale obejmie to zaledwie kilka, może kilkanaście procent badanych. Nie jest przypadkiem, że w globalnym rankingu poświęconemu majątkowi zakumulowanemu w poszczególnych krajach, Polska mieści się raczej bliżej Libanu niż Szwecji.

Wprowadzenie większej redystrybucji może oczywiście utrudnić akumulację kapitału, ale w moim przekonaniu osoby najbogatsze i tak go zakumulują, niezależnie od systemu podatkowego. Z kolei wyrównanie szans na starcie dla jak największej części wspólnoty tworzy w długim okresie możliwość powszechniejszej akumulacji kapitału. Tym bardziej, że ani ta progresja nie dotknie tylko najbogatszych, bo będzie w końcu

uzależniona od wieku, ani nie będzie prawdopodobnie tak duża. Zwłaszcza, że pieniądze potrzebne na sfinansowanie pensji rodzicielskiej w założeniu mają też pochodzić z przesunięć obecnych wydatków – w nowym modelu nie będzie choćby potrzeby utrzymywania tak dużej infrastruktury szkolnej (nieruchomości, etc.) czy też tak pokaźnej liczby nauczycieli. Na marginesie można dodać, że część z nich mogłaby zasilić rynek pracy, zgłaszający już dziś ogromne zapotrzebowanie na pracowników.

ZACZNIJMY SIĘ SPIERAĆ!

Mam świadomość, że zarówno powyższa diagnoza, jak i propozycje rozwiązań, mają charakter wycinkowy i są opisane w powierzchowny sposób. Że brakuje liczb, danych, szczegółów. Że tezy nie są w pełni nieuzasadnione. Że brakuje propozycji z zakresu polityki zdrowotnej, rynku pracy, społecznej, etc. Że cała wizja jest kontrowersyjna, a dla niektórych pewnie kosmiczna i utopijna. Nie zmienia to jednak moim zdaniem faktu, że o solidarności pokoleniowej musimy zacząć na poważnie rozmawiać. Podobnie jak musimy rozpocząć poważną debatę o systemie edukacyjnym, który przez swoją totalność stanowi jeden z najważniejszych elementów każdego modelu społecznego.

Podsumowując, starałem się pokazać, że prędzej czy później będziemy musieli coś zrobić z instytucją rodziny i instytucją szkoły. Lepiej się do tego solidnie, strukturalnie przygotować, niż później chaotycznie reagować na kolejne kryzysy. Nawet jeśli naszą odpowiedzią miałyby być reformy na znacznie mniejszą skalę. Warto bowiem zacząć od ogarnięcia wzrokiem całego lasu, zamiast zabierać się za lustrowanie pojedynczych drzew.

Marcin Kędzierski

główny ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego. Stały współpracownik czasopisma idei „Pressje". Adiunkt na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie.